

UDRĘKA 14 MLN POLAKÓW

WYKLUCZENIE KOMUNIKACYJNE



GŁOŚNY, SZCZERY I PEŁEN EMOCJI
KOBIECY KRZYK
WYMIERZONY W PATRIARCHAT

Wspomnienia płonącego ciała

reżyseria ANTONELLA SUDASASSI FURNISS

W KINACH OD 25 PAŹDZIERNIKA

AURORA



Zakochany w swoich minach

Uczę się. Uczę się cały czas. Tak mówi o sobie prezydent Duda. Czego tak uparcie się uczy głowa państwa? I jakie są tej nauki efekty? Największy postęp widzimy, gdy prezydent przemawia. Oczywiście po polsku. Bo gdy mówi po angielsku, śmieją się już licealiści. Nauka gry aktorskiej idzie mu znacznie lepiej. To nie jest dawny Duda mamroczący coś pod nosem. Bezbarwny i sztywny, jakby kij połknął. Widzimy oratora zakochanego w swoim głosie. A jeszcze bardziej w mimice i gestach. Mimice z wyraźnym rysem komicznym. I szczególnym eksponowaniem brody, która ciągle wędruje mu ku górze. Duda, budując swój przekaz, przemawia tak, jakby treść miała drugorzędne znaczenie. Widać, jak cieszy go aktorska rola, w której występuje na scenie.

Ale to, że scena jest polityczna i każde słowo ma znaczenie, jakoś go nie krępuje. Dla doraźnego efektu potrafi powiedzieć wszystko. Niestety, skutki tego, co mówi i robi, ponosi cały kraj. W doprowadzeniu praworządności w Polsce do tego tak rozpaczliwego stanu Duda ma wielki osobisty udział.

W obszarach będących konstytucyjną odpowiedzialnością prezydenta RP Andrzej Duda w ciągu dekady sprawowania urzędu cofnął się do poziomu, na którym był w czasach przed studiami. Opinia promotora jego pracy doktorskiej i oceny środowiska prawniczego Uniwersytetu

Jagiellońskiego są dla niego bezlitośnie krytyczne. Coraz częściej mówi się o odebraniu Dudzie tytułu doktora prawa z powodu sprzeniewierzenia się zasadom postępowania obowiązującym doktorów.

Za wielokrotne łamanie artykułów konstytucji prezydent Duda powinien stanąć przed sądem. Nie tylko przed bezwzględny Trybunał Stanu. Bez sprawiedliwej oceny jego dwóch kadencji nie będzie naprawy państwa, a szybko mogą się pojawić kontynuatorzy tego bezprawia. W miarę jak Dudzie upływa kadencja, mimo patologicznych relacji z prezesem Kaczyńskim coraz gorliwiej wspiera on obóz, który zapewnił mu na 10 lat dolce vita.

Miał być strażnikiem konstytucji, a jest ochroniarzem PiS i coraz większej grupy przestępców i złodziei. Do konstytucji ma taki stosunek jak wielu Polaków do przepisów ruchu drogowego.

Pokazał to w przemówieniu, które wygłosił w Sejmie. Piszę o przemówieniu, bo słowo orędzie jest tu równie na miejscu jak nazwa PiS. Duda zabrał – aż chce się napisać, że ukradł – Polsce dwa miesiące rządów koalicji, gdy na żądanie Kaczyńskiego powołał po raz pierwszy w historii Polski rząd marionetkowy. W Sejmie mówił równie długo, co tendencyjnie i bezrefleksyjnie. Wygłosił długą listę oskarżeń pod adresem tych, którzy próbują wyciągnąć kraj z bagna, w jakie sam nas wpakował.

Jeżeli chcecie wesprzeć nasz tygodnik, proszę o wpłaty na: Fundacja Oratio Recta Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Przegląd

Na jesienne wieczory e-booki PRZEGLĄDU

CZeka JUŻ 48 TYTUŁÓW

CZYTASZ TANIEJ WIESZ WIĘCEJ

kupuj szybko i wygodnie na sklep.tygodnikprzeglad.pl

KRAJ

- 8 **Bój to będzie ostatni?**
PiS i PO w nieustającej walce
- 11 **Królowie życia i destrukcji**
Zarabianie w neo-KRS
- 14 **Udręka 14 mln Polaków**
Więźniowie wykluczenia transportowego
- 19 **Polska na trzeźwo**
Obajtek mierzy wysoko?
- 22 **Czwarty bliźniak Kaczyńskiego**
Czym się zasłużył Czabański
- 26 **Ignorancja czy celowa polityka?**
Polemika z Anną Marią Żukowską

OPINIE

- 28 **Paul R. Pillar**
Odetnij jedną,
wyróżnie kolejną głowa „terrorysty”

KULTURA

- 30 **Książki z gwarancją poziomu i 11 120 tytułów na koncie**
80 lat wydawnictwa Czytelnik
- 46 **Boks i kino idą w parze**
– rozmowa z Xawerym Żuławskim
- 50 **Jeszcze w zielone gramy**
– rozmowa z Martą Dzido
- 52 **Kislinga obraży kobiety**
Malarz porównywany z Picassem
- 54 **Culturalia**
- 66 **Muzeum otwiera się tylko raz**
Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

SPORT

- 34 **Futbol maniakalno-depresyjny**
W Polsce króluje Ronaldo

ZAGRANICA

- 36 **Człowiek z ambicji**
Kim jest teraz Elon Musk?
- 40 **Rzym w przebudowie**
Korespondencja z Włoch

HISTORIA

- 44 **Którędy wyciekł tajny referat Chruszczowa?**
Trop polski, ale nie tylko

OBSERWACJE

- 65 **Szlak przez Bałkany**
Droga Aamira do życia w Europie
- 60 **Przepisy z pokolenia na pokolenie**
Tradycyjna kuchnia suwalska

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 **Jerzy Domański**
Zakochany w swoich minach
- 25 **Jan Widacki**
Strategia migracyjna
- 33 **Andrzej Szahaj**
Zysk ponad moralność
- 39 **Stanisław Filipowicz**
Jankesi
- 43 **Roman Kurkiewicz**
Tusk najlepszym kandydatem PiS na prezydenta
- 49 **Tomasz Jastrun**
Niemoralna propozycja
- 55 **Wojciech Kuczek**
Końska dawka Chelmońskiego

19

KRAJ



POLSKA NA TRZEŻWO

Obajtek mierzy wysoko?



40

ZAGRANICA

RZYM W PRZEBUDOWIE

Korespondencja z Włoch

50

KULTURA



JESZCZE W ZIELONE GRAMY

– rozmowa z Martą Dzido

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. TOMASZ STAŃCZAK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl c24ceecd08



✉ Dwa teksty w „Polityce”

Jako stały czytelnik PRZEGŁĄDU kolejne numery zaczynam od lektury felietonistów: prof. Jana Widackiego, prof. Andrzeja Romanowskiego, Tomasza Jastruna i innych. Wyrażane w nich treści i opinie w pełni podzielam, są one zgodne z moimi poglądami.



Prof. Widackiemu gratuluję felietonu „Dwa teksty w »Polityce«” (nr 39/2024) i jednocześnie dziękuję za podjęcie tematu. Problematyka lustracji i działalności Instytutu Pamięci Narodowej od wielu lat jest obecna na łamach tygodnika. W tej sprawie ja także zabrałem głos, a redakcja opublikowała mój list w nr. 2/2020. Wskazałem wówczas zasadność likwidacji IPN. Od wielu lat takie opinie wyrażało grono wybitnych historyków polskich, w tym prof. Janusz Tazbir, swego czasu prezes Polskiej Akademii Nauk.

W świetle powyższych faktów mam propozycję, aby redakcja i jej wybitni felietoniści przygotowali list otwarty do premiera Donalda Tuska w sprawie podjęcia pilnych prac legislacyjnych, które doprowadzą do likwidacji IPN, tej instytucji głodnej pieniędzy publicznych, której budżet, jeśli się nie mylę, jest większy od budżetu PAN.

Sądzę, że liczne grono profesorskie, zwłaszcza reprezentantów nauk historycznych i prawnych, z wielką ochotą podpisze taki list. Uczynię to także ja, profesor nauk ekonomicznych.

Czesław Skowronek

✉ Ekonomia bez końca historii

Przeczytałem bardzo ciekawy artykuł prof. Grzegorza W. Kołodki „Ekonomia bez końca historii”, ale mam wątpliwości dotyczące fragmentu o zmianie paradygmatu ekonomii. W zależności od tego, jak zawartą w nim tezę o zysku rozumieć, albo z nią się zgadzam, albo uważam, że Pan Profesor się myli. Jeżeli owa teza dotyczy państwa, jest ona jak najbardziej słuszna, natomiast jeśli ma dotyczyć przedsiębiorstw i w pewnym zakresie konsumentów, uważam to za błąd. To moje myślenie wzmacnia zdanie: „Dlatego tak ważne są instytucje państwa i prawa troszczące się poprzez stosowne regulacje o uczciwą konkurencję”, a ja bym dodał: o realizację celów państwa i społeczeństwa. Moim zdaniem najskuteczniejszą metodą oddziaływania na przedsiębiorstwa jest stworzenie takich regulacji, aby największy zysk można było osiągnąć, postępując zgodnie z oczekiwaniami regulatora. Dlatego zysk jest potrzebny. Są udane przykłady stosowania takich regulacji, np. opłaty za emisję gazów cieplarnianych czy dotacje do tworzenia źródeł OZE, a także podatek akcyzowy w przypadku konsumentów. Takie rozwiązanie łączy efektywność ekonomiczną przedsiębiorstw w gospodarce rynkowej z efektywnością planowania długookresowego państwa w celu osiągnięcia celów społecznych.



Paweł Zieliński

ZDJĘCIE TYGODNIA



Nowym trenerem Igi Świątek został Belg Wim Fissette. Nz. z rodaczką Greet Minnen podczas meczu Belgia-Węgry.

W okresie od 2013 do 2023 r. w sądach rejonowych **czas postępowania w sprawach cywilnych wydłużył się z 9,2 do 16,5 miesiąca (o prawie 80%)**, a w sprawach gospodarczych z 11 do 17,7 miesiąca.

W ciągu ośmiu miesięcy tego roku **sektor bankowy zarobił na czysto ponad 28,8 mld zł**, czyli o 1 mld więcej niż w całym 2023 r. Czy może być inaczej, skoro w Polsce są najdroższe kredyty hipoteczne w Europie (7,91%)? W większości zyski banków nie zostają w Polsce. A zyski banków nastawionych na rolnictwo trafiają do Francji i Hiszpanii. Brak polskiego banku dla rolnictwa to głupota albo coś gorszego.

Przybywa zwolenników sklepów otwartych w każdą niedzielę. Chce tego 52,6% uczestników badania UCE Research i Grupy Offerista.

Polska pożyczy od USA ponad 3 mld dol. na zakup 96 śmigłowców AH-64 Apache.

20-30 tys. osób umiera co roku w Polsce z powodu sepsy. Według ocen lekarzy notujemy rocznie ok. 100 tys. takich przypadków.

10% dzieci w województwach podlaskim, lubelskim i podkarpackim nie zostało zaszczepionych przeciwko niektórym chorobom zakaźnym.

Anita Gargas, która od września 2016 r. do grudnia 2023 r. jako Anita Gargas Media sprzedawała program „Magazyn śledczy Anity Gargas” TVP Kurskiego, **dostała w tym czasie ponad 27 mln zł.** Płacono

jej za każdy odcinek od 84 414 zł do 105 075 zł. Korzystała przy tym z archiwów TVP, PAP i TAI („Gazeta Wyborcza”).

Rafał Książek otrzymał **Górnośląską Nagrodę Literacką „Juliusz” za książkę „Śnialnia. Śląski underground” (Wydawnictwo Literackie).**

Po rolnikach, mających problemy przez tańsze ukraińskie zboże, w kłopotach znalazła się branża cementowa. Nieuczciwa konkurencja z Ukrainy może oferować niższe ceny, bo nie jest obciążana nojnymi opłatami ani kosztami transformacji energetycznej.

Rząd PiS zablokował australijskiej spółce **Prairie Mining Limited budowę kopalni węgla na Lubelszczyźnie.** Po przegranych procesach będzie to kosztowało Polskę 1,3 mld zł.

641 mln osób obserwuje Cristiana Ronaldo na Instagramie.

Czy ambony myśliwskie będą wymagały zgłoszenia w trybie prawa budowlanego? Taki jest pomysł Ministerstwa Klimatu i miałyby **objąć 116 tys. ambon** Polskiego Związku Łowieckiego oraz 17 tys. będących w gestii Lasów Państwowych.

Najwięcej piwa, 136 litrów na mieszkańca rocznie, **piją Czesi**, którzy wyprzedzają Austriaków (102 litry) i Polaków (93 litry).

Tylko **5% z 525 tys. nauczycieli**, którzy pracowali w polskich szkołach i przedszkolach w 2023 r., **ma mniej niż 30 lat.**

PRZEBŁYSKI

Gen. Kukuła od toastów

Czekaliśmy. I czekamy na choć jedno słówko prawdy o gen. Kukule po jego słowach w Akademii Wojsk Lądowych, że „nasze pokolenie stanie z bronią w rękę”. Nie chodzi tu o analizę talentów intelektualnych gen. Kukuli, bo to byłby żart. Po tym, w jakim stanie zostawił Wojska Obrony Terytorialnej, których był dowódcą, awansowanie go przez Dudę i Błaszczaka na szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego jest obrażą dla światłej części generacji. Kukuła WOT zostawił bez obsady etatowej, za to z przekroczonym budżetem. Dobry jest tylko w samoreklamie. I toastach. Pamiętamy jego opowieść z czasów ministra Macierewicza: „Pierwszy toast za Antoniego”. Teraz pewnie ten pierwszy jest za Władysława. Czy to właśnie z gen. Kukulą mamy iść na wojnę?



Giertych za i przeciw

Kontakty o. Tadeusza Rydzki z Romanem Giertychem to perwersja w czystej postaci. Mecenas i poseł Giertych atakuje Radio Maryja i jego twórcę, zarzucając im pobieranie „haraczu” od różnych instytucji, czyli działalność przestępczą. W odpowiedzi redakcja Radia Maryja wystosowała do Giertycha list otwarty. I przypomniała mu: „Kiedyś bronił Pan naszej rozgłośni. Na podobne zarzuty sformułowane wobec Radia Maryja oraz o. Tadeusza Rydzki wypowiedział Pan znane medialnie słowa: »Winniśmy domagać się od organów władzy ścigania osób, które w tak bezprecedensowy sposób przesiadują wielkiego Polaka i pasterza naszej rodziny«”.

Trochę czasu od tych słów minęło. Wystarczająco dużo, by od miłości przejść do nienawiści. Teraz czekamy na trzeci etap tych relacji.

Panika w Skierniewicach

Gdy prezydent Duda wychwalał w Sejmie swoje rzekome sukcesy, zapomniał o nominacji sędziowskiej Mikołaja Pawłaka. Nie znamy (jeszcze) autora pomysłu tej kompromitacji, za to Pawłaka znamy aż nadto. Wręczając mu nominację sędziowską, Duda pokazał, gdzie ma praworządność. Wcześniej plótł coś o sercu, ale chyba ten organ nie obsunął mu się tam, gdzie się kończą plecy?

Mikołaj Pawlak to najgorszy rzecznik praw dziecka w historii tego urzędu. Zapracował na to miano m.in. słowami, że metoda in vitro jest „niegodziwa”. Jako sędzia Sądu Rejonowego w Skierniewicach będzie mógł pokazać kobietom swoje ultrakatolickie poglądy.

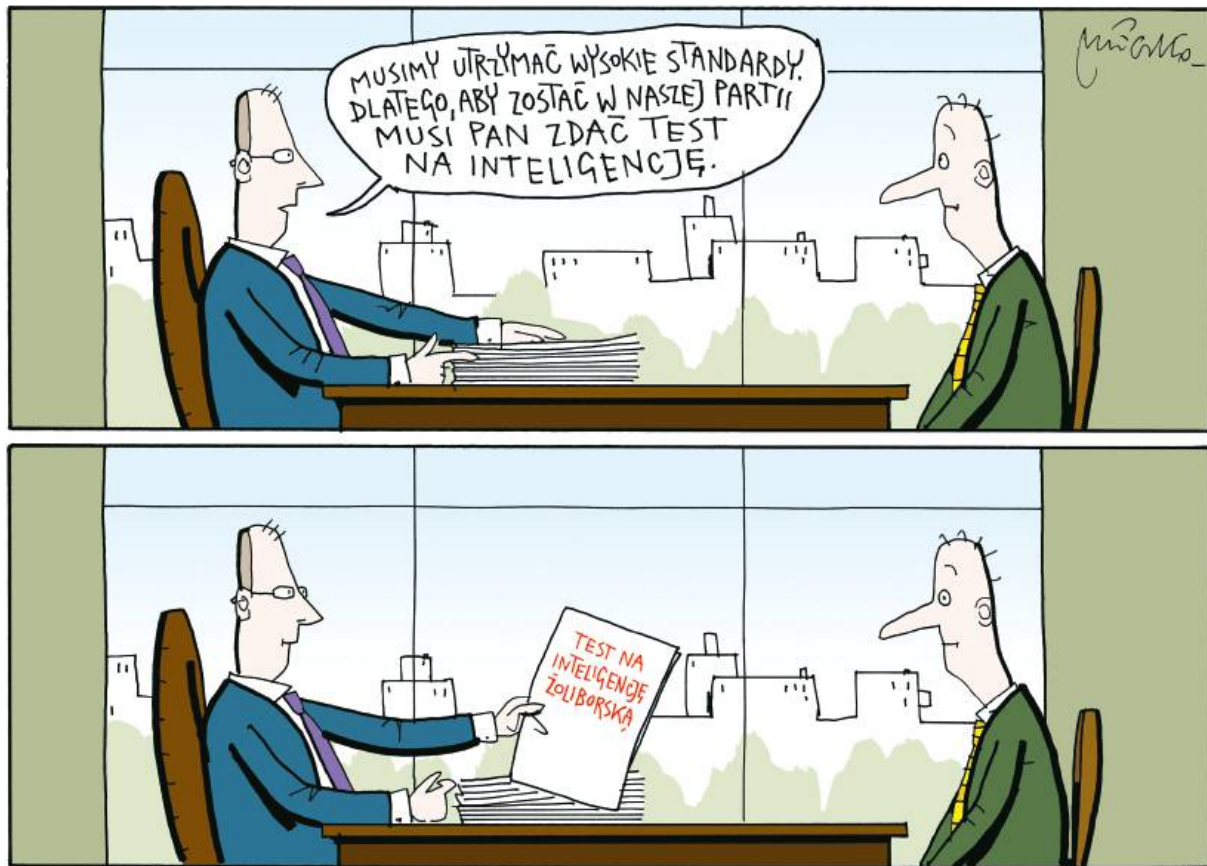


Z Maroka też wyleciał

Tylko trzy miesiące Czesław Michniewicz trenował marokański klub FAR Rabat. Wcześniej przez cztery miesiące był w saudyjskim Abha Club. Dłużej, bo całe 11 miesięcy, trenował reprezentację Polski.

Coś z tym Michniewiczem musi być nie tak, skoro go żegnają, ledwie zatrudnili. W Widzewie Łódź był siedem miesięcy. W Jagiellonii Białostok pięć, a w Polonii Warszawa też tylko trzy.

Przestało mu się wieść, gdy Ryszard F., sławny „Fryzjer”, poszedł siedzieć za aferę korupcyjną w PZPN. We wrocławskiej prokuraturze w 2009 r. Michniewicz tłumaczył się z 711 telefonów do „Fryzjera”. Łatwo nie było, przecież nie pracował w centrali telefonicznej. Zabrakło „Fryzjera”, to i wyników brak. Naiwnych działaczy klubowych trzeba szukać coraz dalej.



PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego w PiS nie szanują Andrzeja Dudy?

WITOLD BERES,

redaktor naczelny miesięcznika „Kraków i Świat”

Nawet smok wawelski, stwór durny, skoro zżarł barana wypchanego siarką przez Szewczyka Skubę, nie dałby się nabrać na podrzuconego mu do konsumpcji Pana Prezydenta RP. Ciekawe dlaczego? Odpowiedź niech pozostanie tajemnicą dla prezydenta, ale doskonale jest znana nie tylko milionom głosującym przeciwko PiS, ale i samym politykom PiS. Politykom tym trudno bowiem odmówić instynktu samozachowawczego. Owszem, krzyczeli i będą krzyczeć (jeszcze przez 288 dni w chwili druku tego numeru), że prezydent powiedział coś mądrego, bo zawsze broni ich interesów. Ale też doskonale wiedzą, że jego niewielka, mówiąc elegancko, stabilność gwarantuje kłopoty całej Polsce, a więc również i im. Czy np. człowiek na lewo i prawo wychwalający jednego z kandydatów na prezydenta USA (rzecz mało bywała w dyplomacji) będzie przydatny, jeśli wygra kandydat

drugi, a kolejnym politykom PiS przyjdzie szukać azylu przed wymiarem sprawiedliwości Rzeczypospolitej?

PROF. STEFAN NIESIOŁOWSKI,

były poseł

Nawet w PiS widzą jego straszną głupotę. Duda to człowiek niebywale ograniczony. Niestety, Polacy nie są narodem geniuszy politycznych, skoro mają w swojej historii takie wyczyny jak powstanie warszawskie, powstanie styczniowe czy zamach majowy. Mówię nie o agentach czy zdrajcach, ale o przyzwoitych ludziach, którzy dochodzili do błędnych wniosków. Mimo wszystko w PiS przeważa pogląd, że Duda to postać kompromitująca. Myślę, że nie wymieni trzech królów polskich w kolejności chronologicznej. Kaczyńskiemu wyrwało się, że nie rozmawiał z Dudą cztery i pół roku. To w jego ustach wyraz bezmiaru pogardy. Duda musi być dla Kaczyńskiego rozczarowaniem, nawet jeśli czasem jest przydatnym pacholkiem. Na myśl

przychodzi słynny Adrian z „Ucha Prezesa” Górskiego. Coś musi być na rzeczy...

DR MIROSŁAW OCZKOŚ,

specjalista ds. wizerunku

Część mu zazdrości, że to nie oni kandydowali na prezydenta, chociaż nikt nie wierzył w wygraną. Dlatego nie lubią go za to, że wygrał. Druga część nie lubi Dudy za to, że popsuł ustawy lub nie do końca wszystko popierał. Trzecia część nie szanuje go za to, że jest plastusiem Kaczyńskiego, który zgadza się na wszystko, ale czasem się wycofuje, bo brak mu kręgosłupa. To człowiek bez właściwości, którego wstydzi się nawet jego promotor. PiS żyje w sprzeczności co do oczekiwań wobec Dudy. Chcą, żeby był uległy, a zarazem twardy. To pomieszanie z poplątaniem. Jeżeli człowiek całe życie się uczy, to trudno, żeby był samodzielny. W ostatnim czasie Duda próbuje zaś ugrać coś na własną rękę. A takich nie lubi się jeszcze bardziej. Nie wiadomo, co taki może popsuć, co gdzie powie lub zablokuje.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

BÓJ TO BĘDZIE OSTATNI?

Kaczyński i Tusk znów ruszają do bitwy. I jeńców brać nie będą

Robert Walenciak

W mediach wyglądało to pięknie. Kongres PiS z jednej strony, konwencja Platformy z drugiej, z mikrofonami najważniejsze osoby – Tusk oraz Kaczyński. Ale czy ktoś jeszcze pamięta, o czym mówiono? Co obiecywano? Czy któraś partia zyskała po tych imprezach, kosztownych przecież, choć kilku wyborców? Na pewno nie, a co mówiono – nikt już nie pamięta, wybrzmiała co najwyżej deklaracja Tuska o nowej polityce migracyjnej, ale wydarzenia z 12 października zostały już zapomniane, przykryte innymi.

O co więc w nich chodziło? Miejmy świadomość, że adresowane były nie do szerokiej publiczności, ale do dużo węższej – do własnych partii, własnych działaczy, własnego wojska. Były odprawą przed bitwą, o której prezes PiS już zdążył powiedzieć, że będzie na śmierć i życie.

Kaczyński: będziemy gryźć trawę

Rok temu PiS przegrało wybory, raczej ku swemu zaskoczeniu, i wciąż nie doszło po tej niespodziance do siebie. Dowodziły tego wystąpienia na kongresie – refleksji nad utratą władzy w nich nie było. W zasadzie temat zamknął Kaczyński prostym stwierdzeniem, że naród zgłupiał, chwilowo zresztą. „Wypada mi tu powtórzyć cokolwiek rosyjskie, ale celne stwierdzenie prof. Legutko – mówił. – On użył nie do końca polskiego słowa »zdużenie«. To właśnie chodzi o »zdużenie« Polaków. Głupi ludzie, głupi konsumenci”.

A kto jest mądry? Odpowiedź była oczywista – my. „Jesteśmy tutaj elitą naszej partii i, co za tym idzie, elitą narodu”, tłumaczył prezes.



Kongres Prawa i Sprawiedliwości, Przysucha, 12 październik 2024 r.

Dokonał też opisu sytuacji w sposób, można rzec, klasyczny – czyli Polska w ruinie. Tusk zaatakował demokrację, praworządność (nawet Jaruzelski przestrzegał prawa, Tusk natomiast wybiera sobie przepisy, które mu się podobają, a prokuratura została przejęta siłą), kulturę, Kościół, prawa człowieka, rolnictwo – głosił prezes. Opis ów został wzmocniony wizjami tego, co nastąpi za chwilę lub już istnieje.

„Już teraz wpuszczają do Polski wielu nielegalnych imigrantów – straszył Kaczyński. – Podkreślam, że nielegalnych, a nie legalnych pracowników sezonowych. Ci ludzie już teraz stanowią niebezpieczeństwo. Są takie miejsca, nawet w Warszawie, gdzie dzielnicowi ostrzegają obywateli w takich spokojnych dzielnicach, w których nie zamykało się drzwi”. W ten sposób nawiązał do opowieści o strefach zamkniętych, w których rządzi prawo szarijatu. Prawica chętnie o tym mówi, to jest jej miejska legenda, bo w rzeczywistości w Warszawie takich dzielnic z opowieści prezesa nie ma.

Lider PiS mówił też o zdradzie. Że Tusk wprowadzi w Polsce euro i nie sprzeciwi się zmianom związanym z Zielonym Ładem, który służy jedynie firmom niemieckim. Dlaczego to robi? Bo spłaca zobowiązania, wszak doszedł do władzy dzięki niemieckiemu poparciu.

„Stoimy przed niezwykłymi wyzwaniem – konkludował Kaczyński. – Polska przed nimi stoi, a my jesteśmy jedyną siłą, która ma możliwość, by Polskę przed tym wszystkim obronić”. Obronić Polskę, czyli odzyskać władzę. Ale jak?

Prezes mówi otwarcie, że kluczowe będą przyszłoroczne wybory prezydenckie. „To będzie walka na śmierć i życie”, zapowiada. I dodaje, jak ma to wyglądać: „Będziemy musieli »gryźć trawę«, walczyć w każdym miejscu, w każdym powiecie. Będziemy musieli zebrać podpisy i prawdopodobnie, bo nas okradziono, będziemy musieli zbierać pieniądze”.

Kaczyński więc alarmuje, ale tym razem chyba bez zbędnej przesady. Bo rzeczywiście będzie to dla PiS

bój o wszystko. Jeżeli pisowski kandydat te wybory przegra, Platforma i Tusk zdobędą pełnię władzy. I zrobią z PiS, co będą chcieli. Jeżeli z kolei kandydat PiS je wygra, obecna koalicja się rozpadnie. I wróci stan rzeczy z całkiem niedawnych czasów. Wtedy zbudowane zostaną instytucje, które skutecznie zabezpieczą PiS przed utratą władzy, no i nastąpi rozliczenie polityków obecnej koalicji oraz tych, którzy im służą.

Oto więc przesłanie Kaczyńskiego: PiS przypadkowo straciło władzę, w zdradziecki sposób, bo włączyli się Niemcy, a teraz Polska jest niszczone i podporządkowywana Niemcom. Sprzeciw wobec tej władzy jest patriotycznym obowiązkiem. A jedyną siłą, która może skutecznie się jej przeciwstawić, jest elita narodu, czyli PiS. Teraz wszystko się rozstrzygnie.

Prezes w swoim stylu podkreśla zatem emocje, dolewa benzyny do ognia, podnosi temperaturę. Chce mobilizować swój lud i straszy tych, którzy się wahają, czy nie lepiej iść na jakiś kompromis, straszy też funkcjonariuszy i urzędników, którzy pracują dla rządu, że rewanż może nadejść.

Tusk: trzeba wygrać wojnę, nie jedną bitwę

Kaczyński ma charakterystyczny ton wypowiedzianego – pół proroka, pół generała – że oto bój ostatni, że partia, że obce siły. To kalki z PRL, z tej gorszej części PRL-owskiej propagandy, ale najwyraźniej zapadły mu głęboko w pamięć, więc straszy i mobilizuje.

Jednak Tusk też straszy i mobilizuje. Swoich. To znakomity mówca, choć innych używa środków. Jest w swoim przesłaniu bardziej inteligentny, na pewno mniej kiczowaty i pompacyjny. Skraca dystans. „To jest chyba dzisiaj ten moment, żeby cała Polska usłyszała, że Koalicja Obywatelska i cała Koalicja 15 Października, że wszyscy mamy świadomość, ile zawdzięczamy tym milionom, które poszły [do urn] i wyrwały władzę z rąk tych ludzi, którzy przez osiem lat psuli polskie państwo, niszczyli nasze nadzieje i nasze marzenia”, mówił podczas konwencji.



Konwencja Koalicji Obywatelskiej w Warszawie.

I oczywiście przypominał zło, które PiS czyniło: „W czwartek Grupa PZU poinformowała, że audyt otwarcia za lata 2016-2024 wykazał szkody na kwotę ponad 700 mln zł. Wśród nieprawidłowości wykazano m.in. transakcję nabycia bankrutującej spółki Ruch za prawie 270 mln zł przez spółkę Grupy PZU, wsparcie inicjatyw medialnych partii wówczas rządzącej czy usługi – jak to określono – doradców zarządu. »Nie mieli określonego zakresu obowiązków i po ich usługach nie ma żadnego śladu, choć kosztowali Grupę PZU 45 mln zł«, zaznaczyła spółka. Słyszę czasami z pisowskiej strony, jak oni mówią: »Dlaczego oni atakują nas i nasze rodziny, przecież my nic nie robiliśmy«. No to jest dokładnie definicja tego problemu i to PZU bardzo dokładnie pokazuje, jak wyglądało ich wyobrażenie o państwie: nic nie robić i dużo zarobić”.

Co w związku z tym czeka więc Platformę? Bój ostatni? Na początku „przyśpieszenie i utrzymanie kursu zmian”. Tusk mobilizował, obiecując pot, krew i łzy: „Chcę dzisiaj dodać wam otuchy, energii i przestrzec przed słabością czy zagrożeniami, bo my jesteśmy tak naprawdę na początku drogi”.

Jakiej drogi? To już dopowiedział w środę, 16 października, po orędziu Andrzeja Dudy. „Debatowanie nad

wystąpieniem prezydenta wydaje się zajęciem dość jałowym – mówił. – Nie możemy skończyć na jednej zwycięskiej bitwie. Trzeba wygrać wojnę o wolną Polskę, a nie tylko jedną bitwę. Dzisiaj nikt nie ma wątpliwości, że to, co było istotą wyborów 15 października: niepodległość, demokracja i bezpieczeństwo Polski, będzie także istotą waszych wyborów zarówno każdego dnia, jak i za te ponad 200 dni, kiedy będziemy kończyć dzieło naprawy, obrony i odnowy Rzeczypospolitej. Na to liczę”.

Surmy bojowe

Kaczyński i Tusk idą więc na zwanie i w zasadzie nic w tym nowego. Co najmniej od roku 2005 prowadzą taką politykę, ona przynosi im korzyści, spycha innych na bok. Teraz jednak idą na zwanie z rzeczywistym przeświadczeniem, że wybory prezydenckie zadecydują o tym, jaka i czyja będzie Polska w najbliższych latach.

Kaczyński czuje moc sondaży, które znów dają prawicy większość, więc chce to wykorzystać. Tusk musi mobilizować, bo partia traci ducha bojowego, nie mówiąc już o kibicujących do tej pory premierowi publicystach.

Na naszych oczach Tusk dokonuje wielkiego zwrotu. W ważnej sprawie łapie byka za rogi. A tym bykiem jest ▶

► strategia migracyjna, którą przedstawił podczas konwencji. Oto jej „opakowanie”:

- „Państwo musi odzyskać stuprocentową kontrolę nad tym, kto do Polski przyjeżdża i wjeżdża”.

- „Zredukujemy do minimum nielegalną migrację w Polsce. Wyplenimy te praktyki, które de facto omijały polskie interesy, naruszały bezpieczeństwo Polek, Polaków i państwa. Zlikwidujemy je do zera”.

- „Jednym z elementów strategii migracyjnej będzie czasowe terytorialne zawieszenie prawa do azylu i będę się domagał uznania w Europie dla tej decyzji. A to dlatego, bo my dobrze wiemy, jak to jest wykorzystywane przez Łukaszenkę, Putina, przez szmuglerów, przemytników ludzi, handlarzy ludzi. Jak to prawo do azylu jest wykorzystywane dokładnie wbrew istocie prawa do azylu”.

- „To, co PiS zrobiło z polityką migracyjną, woła absolutnie o pomstę do nieba. To był najbardziej promigracyjny, w sensie nielegalnej migracji, rząd w Europie. Żaden rząd w Europie nie zrobił tyle złego, z punktu widzenia bezpieczeństwa swojego narodu, ale także granic UE, jak PiS w Polsce”.

Oto więc mamy Tuska, który ogłasza zawieszenie prawa azylu i w kwestii migracji mija PiS z prawej

strony. To zresztą kolejny taki manewr, premier już któryś raz zostawia swoich lewicowych wyborców na lodzie i rusza ku prawej stronie. Co akurat dość łatwo wytłumaczyć. Nie tylko Polska, ale praktycznie cała Europa w sprawie migracji jest w stanie wrzenia, a partie, które chcą zatrzymania migrantów, wygrywają wybory. Lud, czy to polski, czy niemiecki, czy włoski, jest w swoich opiniach jednoznaczny. Tusk wobec tego, czy nam się to podoba, czy nie, idzie za głosem ludu. Owszem, ryzykuje, że straci część wspierających go ludzi lewicy, działaczy pomagających imigrantom. Ich głosy rozczarowania i oburzenia słychać wyraźnie. A co w zamian?

Donald Tusk jest zbyt doświadczonego politykiem, by sądzić, że automatycznie zyska w ten sposób głosy wyborców obawiających się migracji, dziś głosujących na prawicę. Raczej jest to inna gra. W pierwszej warstwie obliczona na rozwiązanie problemu. I to takiego, który dla rządu był uciążliwy. W warstwie drugiej jest to świetny ruch przed wyborami prezydenckimi. Bo w ten sposób demonstrowa temat, który niósłby kandydata prawicy. A w dodatku ustawia PiS na ławie oskarżonych. To zaś skuteczne działanie, zresztą w PiS do dziś wielu uważa, że o ich ubiegłorocznej porażce zadecydowała afera wizowa...

Tusk ma pod górkę

Gra Tuska wykracza zatem poza klasyczny bój lewicy z prawicą, Polski solidarnej z Polską liberalną. On chce narzucić coś innego, mówi, że 15 października Polacy się zjednoczyli i wyrzucili nieudolną i zepsutą ekipę.

Ale co dalej? Dalej Tusk ma pod górkę. Po pierwsze, rocznica 15 października nie była okazją do świętowania, dominowały raczej głosy rozczarowanych.

Po drugie, premier musi widzieć, że jego ekipa nie radzi sobie medialnie, tu jest wyjątkowo nieporadna, w zasadzie jak on sam nie powie, to nie powie nikt. A to kosztuje.

Po trzecie, jest cały obszar spraw, które denerwują ludzi, a nie widać szansy na ich załatwienie – poczynając od rosnących cen.

Po czwarte, PiS, choć wciąż w powybiorczym szoku, na tyle już się ogarnęło, że jest realnym zagrożeniem dla Platformy. Już się broni, już ma „dobre odpowiedzi”. Próbowali nimi się posłużyć Andrzej Duda. Prezydent wołał np. w Sejmie, że rozliczenia PiS to „polowanie na czarownicę”. Politycy PiS z kolei krzyczą, że to „zemsta”. Co zastanawiające, po stronie koalicji nie ma na to czytelnej odpowiedzi. Tak jakby nikt nie potrafił przypomnieć, że chodzi o rozliczenie nie PiS, tylko złodziei. A chyba nie chcemy państwa, w którym bezkarne można kraść.

Po piąte wreszcie, premier ma coraz większy kłopot z koalicjantami. Częściowo to jego wina, że rzuca zbyt mocny cień. Ale po części to wina liderów mniejszych partii, którzy nie wiedzą, jak zatrzymać odpływ swoich wyborców do KO. I działają nerwowo. Wprawdzie to problem mało ważny dla zwykłych ludzi, ale dla polityków kluczowy. Tusk będzie musiał go rozwiązać, okazać mniejszym partiom więcej szacunku. Pewnie załatwi to w taki sposób jak zawsze, czyli wzywając do kolejnego politycznego boju.

Polski uśmiechniętej już więc nie ma, jest Polska walcząca.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Razem? Raz!

Partia Razem przeprowadziła referendum wśród swoich członków, czy opuścić Koalicyjny Klub Parlamentarny Lewicy, czy w nim zostać. Ostatecznie ogłoszono, że 53,75% działaczy opowiedziało się za opuszczeniem klubu i utworzeniem samodzielnego koła parlamentarnego.

Cóż, ich sprawa. Ale od wyniku głosowania ciekawsze było co innego. Otóż dowiedzieliśmy się, że w referendum wzięło udział... 800 osób. Nie czujemy się, nie ma ważniejszej dla Razem decyzji. Jeżeli zatem wypowiada się w tej sprawie 800 osób, to znaczy, że tylu realnie działaczy ma ta partia. W całej Polsce.

Warto więc przypomnieć, że przedwojenna Komunistyczna Partia Polski, ugrupowanie nielegalne i zwalczane, miało od 8 tys. do 16 tys. członków. Natomiast Razem to siła przynajmniej 10 razy większa, wręcz potęża, a ówczesne starcia „mniejszości” z „większością” w KPP wyglądały jak walki olbrzymów.

No i nasuwa się pytanie: jeżeli KPP miała łatkę sekciarskiej, oderwanej od rzeczywistości i bez znaczenia, to co powiedzieć o Razem? Jak zrozumieć, że ma ona ośmioro posłów w 26-osobowym klubie i narzuca ton? Zwykle w takich sytuacjach mówi się, że ogon kręci psem. Hm... Co to za ogon, wiemy. Więć co to za pies?

(ro)

Królowie życia i destrukcji

Nie ma lepszej pracy niż członkostwo w Krajowej Radzie Sądownictwa

Andrzej Sikorski

Wśród polityków Koalicji 15 Października krąży pomysł, aby „zagłodzić” nielegalną Krajową Radę Sądownictwa. W utworzonej w 2018 r. instytucji PiS ulokowało swoich nominatów udających apolitycznych, niezależnych i niezawisłych sędziów, którzy (wspólnie z Andrzejem Dudą) „wyprodukowali” ponad 2 tys. neosędziów. Ci neosędziowie, często bez stosownych kompetencji, zarówno merytorycznych, jak i etycznych, rozpiechli się po wszystkich sądach w Polsce, paraliżując wymiar sprawiedliwości.

Jednym z takich neosędziów jest Tomasz Wierchowicz z Opola, który w sześć lat z szeregowego sędziego sądu rejonowego, orzekającego w sprawach rodzinnych i z zakresu prawa pracy, został sędzią Naczelnego Sądu Administracyjnego. W normalnych warunkach taki



którzy zrobili błyskawiczne kariery dzięki neo-KRS, są setki.

„Zagłodzenie” upolitycznionej Krajowej Rady Sądownictwa miałoby polegać na obcięciu jej budżetu lub wręcz wstrzymaniu jej finansowania. Taki pomysł poparł prof. Krystian Markiewicz, prezes stowarzyszenia sędziowskiego Iustitia i szef Komisji

ale nie na tzw. wydatki sztywne, czyli diety członków, zwrot środków za dojazd na posiedzenia czy za zakwaterowanie. Jak widać, szkolna koleżanka Zbigniewa Ziobry martwi się nie o warunki pracy członków neo-KRS, ale o zasobność ich kieszeni. A chodzi o gigantyczne pieniądze za nicnierobienie – poza demowaniem i ośmieszaniem wymiaru sprawiedliwości.

Nielegalna Krajowa Rada Sądownictwa została utworzona w 2018 r. PiS ulokowało w niej swoich nominatów, którzy „wyprodukowali” ponad 2 tys. neosędziów.

awans zająłby co najmniej 20 lat, ale dla PiS nie ma rzeczy niemożliwych. Wierchowicz nie jest przypadkową osobą. Dzięki Zbigniewowi Ziobrze został prezesem Sądu Rejonowego w Kluczborku, a dzięki Mariuszowi Kamińskiemu komisarzem wyborczym na Opolszczyźnie (Państwowa Komisja Wyborcza powołuje komisarzy na wniosek szefa MSWiA). Wierchowicz przysłużył się PiS m.in. tym, że podpisywał listy poparcia dla kandydatów do neo-KRS, w tym owianemu złą sławą Łukaszowi Piebiakowi, zamieszanemu w aferę hejterską. Takich „sędziów” jak Wierchowicz,

Kodyfikacyjnej Ustroju Sądownictwa i Prokuratury. Według niego „to krok w dobrym kierunku”, „w ten sposób władze państwa postąpią nie tylko zgodnie z uchwałą Sejmu, ale przede wszystkim zgodnie z orzeczeniami Sądu Najwyższego i Naczelnego Sądu Administracyjnego, z których wynika, że funkcjonująca obecnie neo-KRS nie jest organem opisanym w konstytucji”.

Oczywiście przeciwna temu rozwiązaniu jest przewodnicząca neo-KRS Dagmara Pawełczyk-Woicka, która stwierdziła, że Sejm może co prawda ograniczyć część budżetu,

Hojne diety

Jakie bowiem dokonania ma neo-KRS? 20 września br. uznała, że rząd Donalda Tuska „nie jest organem tożsamym do Rady Ministrów, o jakiej stanowi Konstytucja”, a to dlatego, że trzy ministры, składając przysięgę przed prezydentem, użyły feminatywów, czego nie przewiduje rota ślubowania. Za taki wytrysk mądrości członkowie nielegalnego organu zainkasowali po 1,4 tys. zł. Tyle wynosi dieta za każdy dzień udziału w posiedzeniach i innych pracach rady, mogących trwać np. godzinę lub kilkanaście minut. (Wysokość diet jest każdego roku ustalana na innym poziomie i naliczana jako 20% przeciętnego wynagrodzenia w drugim ▶

► kwartale roku poprzedniego, ogłaszanego przez prezesa Głównego Urzędu Statystycznego).

Na dietach można nieźle się obłowić. W czołówce najlepiej wynagradzanych jest wspomniana Dagmara Pawełczyk-Woicka, która w 2018 r. zarobiła „tylko” nieco ponad 46 tys. zł. W kolejnych latach było to już: prawie 76 tys., prawie 75 tys., ponad 85 tys., niemal 147 tys. i ponad 208 tys. W 2024 r., do końca września – ponad 158 tys. zł. Czyli zaufana Ziobry w ciągu prawie siedmiu lat przytuliła ponad 795 tys. zł. Przeciętny Kowalski pracujący za pensję minimalną na pełnym etacie musiałby tyrać prawie 20 lat, aby tyle zarobić. A przecież na konto Pawełczyk-Woickiej wpływa co miesiąc jeszcze kilkanaście tysięcy złotych z tytułu pensji sędziowskiej.

Inni członkowie neo-KRS też nie mogą narzekać. Na konto Joanny Kołodziej-Michałowicz wpłynęło z tytułu diet ponad 675 tys. zł, Marka Jaskulskiego – prawie 715 tys. zł, Macieja Nawackiego – prawie 763 tys. zł, Rafała Puchalskiego – prawie 886 tys. zł. Rekordzistą jest Dariusz Drajewicz, który zarobił ponad 990 tys. zł.

Członkowie neo-KRS uczynili sobie z diet źródło pokaźnego stałego dochodu, często przewyższające ich sędziowskie pensje, co jest bulwersujące, gdyż w posiedzeniach rady uczestniczą w godzinach urzędowania sądów. Ale z zasiadania w nielegalnej KRS jest jeszcze jedna korzyść. Tacy sędziowie mają zmniejszony przydział spraw do załatwienia, więc pracują mniej niż ich koleżanki i koledzy z wydziałów.

Nie trzeba nawet pojawiać się w siedzibie neo-KRS. Diety przysługują też za pracę zdalną. Czyli będąc na obiedzie w restauracji albo na spacerze z psem, taki sędzia może połączyć się za pomocą smartfonu i zainkasować należną gratyfikację. To jednak nie wszystko. Ponieważ posiedzenia neo-KRS odbywają się tylko kilka razy w miesiącu, nie dałoby się za wiele zarobić. Na szczęście utworzono komisje, za udział w których także przysługują dietodniówki.

Ile zarobili nominaci PiS w neo-KRS na dietach (kwoty netto)*

Dagmara Pawełczyk-Woicka, neosędzia Sądu Okręgowego w Krakowie – **ponad 796 tys. zł**
Rafał Puchalski, neosędzia Sądu Apelacyjnego w Rzeszowie – **prawie 886 tys. zł**
Stanisław Zdun, neosędzia Sądu Okręgowego w Warszawie – **ponad 416 tys. zł**
Irena Bochniak z Sądu Rejonowego dla Krakowa-Podgórze – **ponad 352 tys. zł**
Katarzyna Chmura z Sądu Rejonowego w Malborku – **485 tys. zł**
Anna Dalkowska, neosędzia NSA – **prawie 485 tys. zł**
Dariusz Drajewicz, neosędzia Sądu Apelacyjnego w Warszawie – **ponad 990 tys. zł**
Grzegorz Furmankiewicz, neosędzia Sądu Okręgowego w Krośnie – **ponad 840 tys. zł**
Marek Jaskulski z Sądu Rejonowego Poznań-Stare Miasto – **prawie 715 tys. zł**
Joanna Kołodziej-Michałowicz, neosędzia Sądu Okręgowego w Słupsku – **prawie 676 tys. zł**
Ewa Łapińska, neosędzia Sądu Okręgowego w Sosnowcu – **ponad 608 tys. zł**
Zbigniew Łupina z Sądu Rejonowego w Biłgoraju – **ponad 772 tys. zł**
Krystyna Morawa-Fryźlewicz z Sądu Rejonowego w Nowym Targu – **234 tys. zł**
Maciej Nawacki z Sądu Rejonowego w Olsztynie – **prawie 763 tys. zł**
Paweł Styrna z Sądu Rejonowego w Wieliczce – **prawie 782 tys. zł**
Leszek Mazur z Sądu Okręgowego w Częstochowie – **ponad 533 tys. zł**
Jędrzej Kondek z Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy – **prawie 314 tys. zł**
Maciej Mitera z Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy – **ponad 642 tys. zł**
Teresa Kurcysz-Furmanik z Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Gliwicach – **ponad 208 tys. zł**
Jarosław Dudzicz z Sądu Rejonowego w Ślubicach – **ponad 408 tys. zł**

*Dane pochodzą z Krajowej Rady Sądownictwa i obejmują okres od stycznia 2018 r. do 30 września 2024 r.

Na przykład Anna Dalkowska, była zastępczyni Zbigniewa Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości (awansowana w ekspresowym tempie z sędziego sądu rejonowego na sędziego Naczelnego Sądu Administracyjnego), zasiada w trzech komisjach. Dzięki temu zarobiła (od 2022 r.) prawie 485 tys. zł. W trzech komisjach zasiada również Dariusz Drajewicz, a Rafał Puchalski w czterech, w tym jest przewodniczącym komisji etyki zawodowej sędziów i asesorów, co wydaje się kuriozalne, skoro sędziów należał do facebookowej grupy o nazwie „Popieramy Rząd Beaty Szydło Pana Prezydenta i PiS”, miał też być członkiem hejterskiej grupy Kasta/Antykasta.

Zabetonowany układ

W skład neo-KRS bis, której czteroletnia kadencja zaczęła się w 2022 r., weszło tylko kilka nowych osób. Oczywiście nie były przypadkowe. Anna Dalkowska zastąpiła na stołku wiceministra sprawiedliwości skompromitowanego Łukasza Piebiaka, a w resorcie odpowiadała za sądy. Oprócz spektakularnego awansu do NSA zastąpiła tym, że

jako wiceminister sprawiedliwości chciała odwołać wiceprezesa Sądu Rejonowego w Myśliborzu Alicję Karpus-Rutkowską. Sędzia postawiła się pisowskiej prokuraturze i nie zastosowała aresztu wobec uczestnika Strajku Kobiet, który uderzył księdza po cywilnemu. Duchowny prawdopodobnie wykrzykiwał coś w stronę manifestantów, prowokując ich; sprawa została załatwiona polubownie, a mężczyźni podali sobie ręce na zgodę. Ponadto prokuratura zebrała materiał dowodowy, więc nie było mowy o utrudnianiu śledztwa przez podejrzanego, na którego nałożono dozór policyjny. Przeciwno odwołaniu sędzi Karpus-Rutkowskiej byli prezes sądu, kolegium sądu, a także władze sądów ze Szczecina.

Sędzia Stanisław Zdun dzięki Zbigniewowi Ziobrze został w 2018 r. wiceprezesem Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy (był nim do 2022 r.). O Zdunie zrobiło się głośno, gdy tuż po wygranych przez PiS wyborach uniewinnił prawicowego dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego, który zdaniem prokuratury za łapówkę miał pomóc załatwić pozytywną weryfikację płk. Leszkowi Tobiaszowi w komisji weryfikacyjnej WSI, na czele której

stał Antoni Macierewicz. Sumliński przedstawiał się jako ofiara spisku WSI, a w aferę mieli być zamieszani politycy Platformy Obywatelskiej, w tym ówczesny marszałek Sejmu Bronisław Komorowski. W grudniu 2014 r. Zdun przesłuchał prezydenta RP jako świadka w Pałacu Prezydenckim, ku ucieście propisowskich mediów, które okrzyknęły proces „aferą marszałkową”. Obrońcą Sumlińskiego był mec. Waldemar Puławski, były prokurator z czasów PRL, którego Ziobro wkrótce po procesie zrobił dyrektorem departamentu kadr w Ministerstwie Sprawiedliwości, a potem zastępcą prokuratora generalnego ds. wojskowych. W 2021 r. Zdun zaliczył awans na sędziego Sądu Okręgowego w Warszawie.

Ciekawą postacią jest Irena Bochniak. Zanim zaczęła robić karierę pod skrzydłami PiS, przez kilkanaście lat kierowała jednym z największych w Polsce wydziałów ksiąg wieczystych, w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Podgórze. Gdy w 2017 r. Zbigniew Ziobro odwołał Beatę Morawiec z funkcji prezesa Sądu Okręgowego w Krakowie, jako

powód podał brak nadzoru nad kierowanym przez Bochniak wydziałem, w którym doszło do zaległości w załatwianiu spraw. Czyli według Ziobry to Morawiec odpowiadała za bałagan, a nie Bochniak, która nie tylko nie straciła stanowiska, ale jeszcze awansowała. Najpierw na prezeskę Sądu Rejonowego dla Krakowa-Podgórze, a potem wiceprezeskę Sądu Okręgowego w Krakowie.

Nowym członkiem neo-KRS jest Krystyna Morawa-Fryźlewicz. Prawniczka ta przez 23 lata była szeregowym sędzią w Sądzie Rejonowym w Nowym Targu, gdzie zajmowała się sprawami cywilnymi i rodzinnymi. W 2020 r. Zbigniew Ziobro awansował ją na prezeskę tego sądu. W zgłoszeniu przesłanym do Sejmu, w którym prezentowała swoją kandydaturę do neo-KRS, pochwaliła się nie dorobkiem naukowym ani orzecznictwem, ale tym, że propaguje wiedzę o tzw. żołnierzach wyklętych.

W październiku 2023 r. Morawa-Fryźlewicz skończyła 60 lat i złożyła do ministra sprawiedliwości wniosek o przeniesienie w stan spoczynku z dniem 1 lutego 2024 r.

Zrezygnowała też z funkcji prezesa sądu. Jednak 10 stycznia 2024 r. zmieniła zdanie i wycofała wniosek. Ministerstwo Sprawiedliwości uznało, że wycofanie jest nieskuteczne. W takiej sytuacji Morawa-Fryźlewicz poprosiła o pomoc nielegalną Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, która wydała postanowienie zabezpieczające, mówiące o tym, że Morawa-Fryźlewicz nadal jest sędzią (sic!).

Jednak pisowscy nominaci z upolitycznionej Krajowej Rady Sądownictwa mogą mieć poważne kłopoty. Wydział Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej po zawiadomieniu złożonym przez stowarzyszenie lustitka wszczął śledztwo w sprawie przekroczenia uprawnień i działania na szkodę interesu publicznego w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej przez 20 sędziów członków neo-KRS (zarówno I, jak i II kadencji), którzy, uczestnicząc w demolowaniu wymiaru sprawiedliwości, wzbogacili się na dietodniówkach, a także otrzymali awanse. Za takie przestępstwo grozi nawet 10 lat więzienia.

Andrzej Sikorski

APEL DO CZYTELNIKÓW

Prośba o wsparcie wydania wspomnień prof. Andrzeja Karpińskiego „Jak ja to widziałem. Wspomnienia z życia w trzech ustrojach”

Na nasz apel odpowiedziało już ponad 120 Czytelników. Zbliżamy się więc do momentu, w którym książka pojawi się na rynku. Planujemy, by był to koniec listopada.

Wspomnienia obejmujące trzy ustroje to książka szczególna. Autor (ur. w 1928 r.) nie tylko podejmuje próbę bilansu swojego ciekawego i aktywnego życia, lecz także kreśli szeroką panoramę polskiego życia społeczno-gospodarczego w ciągu kilkudziesięciu lat. Dotyczy to przede wszystkim gospodarki, którą Karpiński zajmował się jako praktyk (od pierwszych lat powojennych pracował w Komisji Planowania, przechodząc w niej wszystkie szczeble – aż po zastępcę przewodniczącego) i teoretyk, profesor w PAN i autor kilkudziesięciu książek.

Autor wiele widział i wiele wiedział. Brał udział w opracowywaniu programów przebudowy polskiej gospodarki, poznawał kulisy polityki na najwyższych szczeblach. Współpracował

z wszystkimi I sekretarzami KC PZPR. Pisze o tym otwarcie. Dlatego jego książka to wnikliwa analiza procesów gospodarczych w PRL, tym cenniejsza, że dokonana przez osobę, która uczestniczyła w ich programowaniu.

Karpiński broni dorobku PRL, uważa, że przyniósł on ogromny wzrost poziomu życia ludzi, w dużej mierze dzięki uprzemysłowieniu kraju. Dlatego boli go zrujnowanie polskiego przemysłu po 1989 r., dokonywane w imię wolnorynkowych dogmatów.

„Jak ja to widziałem” to osobista relacja ostatnich dekad naszej historii, to książka, która pomaga je zrozumieć.

Drodzy Czytelnicy,

Każdy, kto wpłaci co najmniej 100 zł, otrzyma egzemplarz książki z autografem.

Wpłaty prosimy dokonywać na konto wydawcy PRZEGŁADU:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

z dopiskiem: Na wydanie książki prof. Karpińskiego.

Prosimy też o podanie, do kogo i na jaki adres ma ona trafić.

Wykluczenie komunikacyjne

Udręka 14 mln Polaków

Mamy w Polsce miejscowości, do których nie dojeżdża żaden autobus ani pociąg



Niszcząca wiatra na przystanku w okolicach Łodzi.

Kornel Wawrzyniak

Budzik dzwoni o godz. 4 nad ranem. Dom stoi w szczerym polu, a dookoła panuje kompletna ciemność. W promieniu 4 km nie ma ani jednej latarni. Termometr pokazuje zaledwie kilka stopni. Rafał nie je śniadania, bo na to zdecydowanie za wcześnie. Ubiera się ciepło i po kilku minutach jest już na rowerze. Przez pola jedzie do pracy.

Rafał nie może zasnąć. Po pierwsze, dzięki tej pracy stać go na studiowanie. Po drugie, dojazd zależy tylko i wyłącznie od niego i jego roweru, odziedziczonego zresztą po starszym bracie. Miejscowość, w której mieszka rodzina studenta, nie ma żadnego połączenia komunikacyjnego z miastem.

– Nawet gdybym chciał dojeżdżać komunikacją, i tak mam do pokonania 6 km na rowerze, do najbliższego przystanku autobusowego. Rozkład mi jednak nie pasuje ani w przypadku dojazdów, ani powrotów. Na dodatek dojazd rowerem na przystanek plus jazda autobusem trwa dłużej niż samym rowerem, bo przystanek jest w inną stronę niż miasto – opowiada 20-latek, którego nie stać na wyprawkę z rodzinnego domu.

Wykluczeni

Historia Rafała w niczym nie odbiega od codzienności ok. 14 mln Polek i Polaków. Tytuł bowiem osób dotyczy wykluczenie komunikacyjne. Co to za zjawisko?

Wykluczenie transportowe (nazywane też często ubóstwem

komunikacyjnym) to całkowite lub częściowe ograniczenie możliwości korzystania z transportu publicznego. To nie kwestia wygody, ale de facto bardzo dotkliwa kategoria wykluczenia społecznego. Osoba, która go doświadcza, jest pozbawiona dostępu do usług publicznych i możliwości realizacji podstawowych form uczestnictwa w życiu społecznym. A wszystko jedynie przez fakt, że w pobliżu nie ma kursujących autobusów ani tym bardziej pociągów.

Hasło wykluczenie transportowe znajdziemy dziś w każdym polskim medium. Temat poruszany jest od prawa do lewa sceny politycznej i medialnej, np. na Kanale Zero, w podcaście Dwie Lewe Ręce, w głównych mediach czy nawet w Radiu Maryja. Mało kiedy głosy społeczeństwa są tak zgodne.

Problemu po prostu nie da się omiąć, skoro ok. 40% rodaków ma na co dzień kłopoty z dojazdem do pracy, szkoły czy lekarza.

Transformacja ustrojowa pozbawiła Polaków transportu publicznego. Zniknęły przewozy pasażerskie, w tym organizowane przez państwo przewozy autobusowe. Ucięto lokalne szlaki kolejowe, zburzono nawet część dworców. W Płońsku, niecałe 70 km pod Warszawą, na miejscu dworca PKS postawiono Biedronkę. Ta dość symboliczna sytuacja uzmawia, co się stało z transportem publicznym. W ciągu trzech dekad polska mapa transportu zbiorowego pokryta się białymi plamami. Najgorzej mają osoby z małych miejscowości na peryferiach. Część, podobnie jak nasz rowerzysta Rafał, jest pozostawiona sama sobie. Bez samochodu właściwie nie ma się żadnych możliwości.

Transformacja ustrojowa pozbawiła Polaków transportu publicznego. Zniknęły przewozy pasażerskie, ucięto lokalne szlaki kolejowe.

Wykluczenie komunikacyjne to również proces. Problem pogłębiał się latami i złożyło się na niego wiele złych decyzji kolejnych rządów. U podstaw katastrofy leży przede wszystkim źle przeprowadzona reforma transportu publicznego w ostatnich 30 latach. Doprowadzono do sytuacji, w której o pasażerów konkurowali przewoźnicy państwowi i prywatni. Na dodatek mamy zaniedbaną kolej, której infrastruktura przez lata tylko niszczała. Według dr. Jakuba Majewskiego, prezesa Fundacji Pro-Kolej, PKP od czasu transformacji nie wybudowały nawet 50 km nowych torów. Od 1989 r. żaden rząd nie był zainteresowany rozwojem kolei. Sporą część sieci kolejowej w ostatnich 35 latach zlikwidowano. Jeszcze w 1990 r. mieliśmy 26 tys. km linii kolejowych, dziś jest ich 19 tys. Z materiałów Ministerstwa Infrastruktury wynika zaś, że od 2004 r. powstało 12 tys. km nowych dróg.

Można powiedzieć, że problem wykluczenia komunikacyjnego obnaża niekonstytucyjne działanie państwa. W ustawie zasadniczej mamy

bowiem zapisane nie tylko prawo do godności osobistej, ale też wolność poruszania się po terytorium kraju, prawo do ochrony zdrowia i do nauki, a także zobowiązanie organów państwowych do pomocy na rzecz osób z niepełnosprawnościami. Oddanie walcowerem transportu zbiorowego prywatnym firmom lub zamknięcie połączeń ze względu na ich nieoptycalność uderza we wszystkie te gwarancje zawarte w Konstytucji RP.

Autobusy widmo

– Jedną z podstawowych barier w rozwoju transportu publicznego w Polsce pozostaje zarzut jego nierentowności. Tymczasem na kwestię transportu powinniśmy patrzeć jak na służbę zdrowia, czyli ważną usługę publiczną, którą po prostu warto obywatelom zapewnić, bo stanowi ona inwestycję w rozwój społeczeństwa

– ocenia Przemysław Panek, kierownik zespołu analiz strategicznych w firmie doradczej Multiconsult Polska.

Lista obwarowań i zasad dotycząca publicznego transportu zbiorowego jest długa. Tabor musi spełniać odpowiednie warunki jakościowe, w trakcie kontroli sprawdza się, czy wszystkie kursy danego dnia się odbyły. I tu paradoks, bo prywatnych przewoźników państwo już nie reguluje. W części miejscowości, gdzie wymarła komunikacja publiczna, pojawili się prywatni przewoźnicy, dla których to eldorado. Sami ustalają ceny biletów, jak również rozkłady jazdy, a jeśli któryś kurs się nie odbędzie albo kierowca nie zatrzyma się na danym przystanku, nie dzieje się nic. Wyłączając frustrację pasażerów. Prywatne autobusy często korzystają z opuszczonych przystanków lub zatrzymują się w miejscach znanych tylko wtajemniczonym. Takie „przystanki” nie mają nawet wiaty, w której można się schować przed deszczem lub wiatrem. Olga Gitkiewicz, autorka książki „Nie zdążę” o wykluczeniu komunikacyjnym, wielokrotnie słyszała

od swoich rozmówców, że korzystanie z transportu w Polsce kojarzy im się z udręką i zmęczeniem.

Nie trzeba zresztą mieszkać w małej miejscowości na peryferiach, aby doświadczyć wykluczenia komunikacyjnego. – W ramach eksperymentu pojechałam z Warszawy do Płońska komunikacją zbiorową. Wsiadłam w busik na Zachodnim i po sprawie. Problem zaczął się w drugą stronę, kiedy chciałam wrócić. Okazało się, że przez miasto wcale nie przejeżdża tyle PKS-ów, ile kursowało lata temu. Zapytałam znajomych, co zrobić. Okazało się, że mam stanąć na zakręcie, gdzieś przy sklepie, bo tamtędy przejeżdża prywatny bus. „Może o 17.00, może o 17.30, ale to już w niedzielę późno, może nie być miejsc”. Nic nie jest pewne – opowiada 37-letnia Milena, na co dzień mieszkająca w Warszawie.

Gdy popatrzymy na okolice Płońska, to właściwie nie ma tam żadnej komunikacji publicznej do pobliskich miejscowości. Osoby mieszkające na wsi kilkanaście kilometrów od miasta bez samochodu nie mają szansy pojechać do lekarza, do sklepu czy urzędu. O podjęciu pracy nawet nie ma co marzyć. Wyjazd do Warszawy staje się wyprawą. A mówimy o miejscowościach położonych 60-80 km od stolicy.

Olga Gitkiewicz w urzędach pracy w okolicach Radomia, Radomska czy Włocławka słyszała od pracowników, jak dużym problemem jest dla bezrobotnych niemożność dojeżdżania gdziekolwiek, w tym do nich. Aktualnie niektóre usługi urzędowe są przeniesione do internetu, ale w każdym urzędzie od czasu do czasu trzeba się po prostu pojawić fizycznie. Tymczasem prywatni przewoźnicy jeżdżą, jak im się opłaca. To zaś nie jest wygodna sytuacja dla pasażerów, którzy chcieliby w swoich planach oprzeć się na jakichś konkretach. Niestety, bez komunikacji publicznej ich życie to loteria.

Sytuacja stała się na tyle poważna, że w 2021 r. zwrócił na nią uwagę rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek. Aby jakoś wyjść z impasu, zaproponował stworzenie zapisów prawnych, które zobowiązywałyby ▶

► państwo do realizacji minimum zadań władzy publicznej w zakresie zapewnienia obywatelom transportu publicznego. Takie minimum mogłoby się opierać na ustanowieniu zestawu praw obywatela do transportu publicznego, który gwarantowałby dojazd do siedziby władz gminy, szpitala i szkoły. Rzecznik stwierdził też, że bez wprowadzenia takich wymogów zobowiązania państwa zawarte w konstytucji i ustawie o transporcie publicznym nie będą realizowane.

– Wiele osób nie chce być postrzeganych jako te, które sobie nie radzą. Wydaje nam się, że sami powinniśmy się troszczyć o usługi publiczne, kupować samochody i nimi jeździć. Lubimy także myśleć, że to nie nasz problem, tylko innych: osób starszych czy samotnych. Transport publiczny jest taką samą usługą publiczną jak edukacja, ochrona zdrowia, kultura – komentowała Olga Gittkiewicz w TVN24.

Dzieci pojadą resorakiem

Autorka „Nie zdążę” dowodzi, że wykluczenie komunikacyjne ma pleć, a nawet metrykę. To zazwyczaj starsze kobiety z bardzo małych miejscowości, które nie mają prawa jazdy. Często są schorowane i w pełni zależne od innych, jeśli chodzi o dojazd. Gdy zabraknie kogoś z rodziny lub sąsiada z samochodem, wizyta u lekarza staje się wręcz niemożliwa. Wydaje się jednak, że drugą najbardziej pokrzywdzoną grupą społeczną są dzieci i osoby młode, uzależnione od rozkładów jazdy (lub ich braku) oraz ewentualnej podwózki. Wykluczenie komunikacyjne nie sprowadza się jednak tylko do utrudnienia, jakim jest ograniczenie swobody przemieszczania się.

Mateusz Kowalik opisywał w portalu Krytyka Polityczna problemy młodych ludzi z okolic Wrocławia, którzy dojeżdżają do szkoły w mieście. Od rozkładu jazdy zależy, czy uczeń może pójść na dodatkowe zajęcia z języka obcego (zazwyczaj odbywają się popołudniami, po godzinach lekcyjnych) lub chociażby na kółko matematyczne. To wyraźne ograniczenie możliwości rozwoju dzieciaków ze wszystkich wsi

Walka z wykluczeniem – od czego zacząć?

Już w 2018 r. eksperci ds. transportu Maciej Dulak i Bartosz Jakubowski wskazali sześć pomysłów na walkę z wykluczeniem komunikacyjnym. W analizie dla Klubu Jagiellońskiego piszą o zobligowaniu samorządów do zapewnienia połączeń o charakterze użyteczności publicznej w postaci minimum czterech kursów dziennie z sąsiadującymi miejscowościami gminnymi, a także pomiędzy sąsiadującymi miastami powiatowymi.

Transport musiałby działać między godz. 6 a 22. W opracowaniu czytamy również o transformacji, którą można zrobić właściwie od ręki: „Prosta regulacja, wprost uprawniająca samorząd do skierowania środków (obecnie już wydawanych) na dowozy uczniów do organizacji regularnego transportu będzie dużym krokiem ku likwidacji transportowych białych plam”.

Dulak i Jakubowski postulują też, aby cała komunikacja lokalna była prowadzona przez regionalnego organizatora. W ten sposób mieszkańcy otrzymają zintegrowaną sieć połączeń z jednolitą taryfą biletową na pociąg, autobus czy komunikację miejską. Pomysł sprawdził się u Czechów, którzy mają jedną z najgęstszych sieci kolejowych w Europie i zaawansowaną sieć transportu autobusowego.

Na jednolitość komunikacji postavili w maju 2023 r. również Niemcy. W transporcie autobusowym i kolejowym obowiązuje jeden bilet za 49 euro miesięcznie. Poza tym eksperci kładą nacisk na to, aby organizator publicznego transportu zbiorowego mógł go rozszerzać poza granice swojego samorządu, nawet jeśli nie uzyska porozumienia z samorządem sąsiadującym. Według autorów można to było wprowadzić właściwie od ręki, i to już sześć lat temu.

rozsianych wokół większych miast. Ponadto zdarza się, że dziecko musi się zwolnić z końcowych 10-15 minut lekcji, aby zdążyć na ostatni autobus do domu. Zarazem jako społeczeństwo liczymy na to, że kolejne pokolenia będą coraz lepiej wykształcone. Tyle że nie potrafimy zapewnić młodzieży swobodnego kształcenia się i doboru zajęć pod kątem ich zainteresowań, a nie pod rozkład jazdy.

Kolejna niesprawiedliwość, której doświadczają dojeżdżające dzieciaki, to ograniczone szanse zawierania znajomości. Licealista śpieszący się na ostatni autobus o godz. 16 nigdy nie pójdzie po lekcjach z kolegami do kawiarni czy do kina. Młodsze dzieci również nie pójdą się pobawić z innymi po zakończeniu lekcji, bo są uzależnione od szkolnego autobusu. Przykład dzieci i młodzieży dobrze obrazuje, że wykluczenie komunikacyjne równa się tak naprawdę wykluczeniu społecznemu. Trudno tu mówić o kryterium równych szans dla wszystkich obywateli. Iwona Budych, prezes Stowarzyszenia Wykluczenie Transportowe, zauważa, że według danych Centrum Europejskich Studiów Regionalnych i Lokalnych (EUROREG) wykluczenie komunikacyjne utrudnia ponad 6 mln Polaków

realizację codziennych obowiązków, takich jak praca czy nauka.

Samochodoza

Mateusz Kowalik opisuje jeszcze jedną ważną kwestię. Wszystkie dzieciaki zdane na niełaszkę autobusów marzą tylko o tym, by dojeżdżać do szkoły samochodem. Licealiści z wszystkich wsi dookoła Wrocławia wyczekują prawka. Część nastolatków zaczyna więc dojeżdżać własnym transportem zaraz po ukończeniu 18 lat. I tak na rogatkach Wrocławia pięć dni w tygodniu rano i późnym popołudniem robią się potężne korki. Nie chodzi wyłącznie o młodych kierowców, to ogólnie mieszkańcy peryferii Wrocławia (mowa o miejscowościach położonych ok. 20-30 km od miasta), którzy nie mają innej możliwości dojazdu. Trzeba też pamiętać, że centra miast nie są z gumy. Więcej samochodów to walka o miejsca parkingowe, więcej smogu i frustracji mieszkańców. Skalę problemu uświadamiamy sobie dopiero, kiedy się okazuje, że według raportu producenta nawigacji TomTom Wrocław był najbardziej zakorkowanym miastem Polski w 2023 r. i znalazł się na 21. miejscu

Teren nieczynnego
dworca kolejowego
w Złotoryi.



listy najbardziej zakorkowanych miast na świecie. Z raportu wynika, że sytuacja w centrum Wrocławia jest gorsza niż w Nowym Jorku.

– Mój nauczyciel z liceum twierdził, że najgorzej żyć bez samochodu w mieście liczącym ok. 100 tys. mieszkańców, bo z jednej strony jakaś komunikacja miejska jest, ale z drugiej rzadko jeździ i wcześniej

muszę zostać w pracy dłużej, i już nie mam jak wrócić do domu albo czekałbym godzinę na przystanku. Próbowiałem latem, ale teraz, kiedy zrobiło się zimno i mokro, wystawanie na przystanku, jeśli ma się samochód, jest bez sensu. Bardzo mnie to dziwi, bo Toruń to jednak duże miasto, ponad 220 tys. mieszkańców – dodaje Łukasz.

się o balkoniku. Do najbliższego sklepu ma 2 km. Dojście do najbliższej wiaty autobusowej – kilkaset metrów – wymaga przejścia skrajem ulicy, bo nigdzie nie ma chodnika. To paradoks, bo babcia mieszka bardzo blisko zjazdu na autostradę, gdzie przejeżdżają setki samochodów. Ruch jak cholera, tylko autobusów jakoś brak – opowiada 33-letnia Amelia.

Do 20% miejscowości w Polsce nie dojeżdża transport publiczny. Drugie tyle ma go w minimalnym zakresie.

przestaje. I rzeczywiście rozkład jazdy w naszym mieście jest głupi. Przyjedzie pięć autobusów jeden po drugim, a potem przez 20 minut nic. Ale puenta jest jeszcze zabawniejsza – jakieś 70-80% trasy tych autobusów się pokrywa – opowiada 42-letni Łukasz, który prowadzi własną działalność gospodarczą w Toruniu.

Absurdy komunikacji miejskiej pchają za kierownicę auta kolejnych mieszkańców. – Moja historia to trochę problemy pierwszego świata. Chciałem być ekologiczny i korzystać z komunikacji zbiorowej. Niestety, nie da się, mimo że mieszkam w większym mieście. Wystarczy, że

– Dawniej liczba samochodów osobowych na 1 tys. mieszkańców świadczyła o zasobności społeczeństwa. W Polsce, gdzie wskaźnik ten należy do najwyższych w Europie, paradoksalnie stał się symbolem wykluczenia transportowego. Mieszkańcy, zwłaszcza mniejszych miejscowości, z braku oferty transportu publicznego decydują się na transport indywidualny – wskazuje ekspert od transportu Przemysław Panek.

– Mówi się, że problem mają małe miejscowości. To prawda. Ale wystarczy mieszkać na obrzeżach Łodzi i jest kłopot. Moja babcia, starsza osoba, jest aktywna, jednak porusza

Państwo na (nie)ratunek

Zjawiskiem wykluczenia komunikacyjnego pod koniec maja 2024 r. zajmowały się sejmowe Komisje Infrastruktury i Rolnictwa. Resort infrastruktury zapowiedział, że w 2025 r. zakończy się program Gospostrateg, w ramach którego ma powstać mapa wykluczenia komunikacyjnego. Wygląd to jak plan. Jednak dla specjalistów, którzy wiedzą, że zjawisko wykluczenia transportowego nie pojawiło się wczoraj, ale rozwija się od ponad 30 lat, musi to brzmieć jak żart. Szczególnie że wiele towarzystw i fundacji sporządziło już takie mapy i analizy lata temu. Wpisując w wyszukiwarkę internetową hasło: mapa wykluczenia komunikacyjnego, bez trudu znajdziemy kilkanaście aktualnych grafik z danymi.

► – Do 20% miejscowości w Polsce nie dojeżdża transport publiczny. Drugie tyle ma go w minimalnym zakresie (pojedyncze kursy w dni nauki szkolnej). Dostępu do transportu publicznego tak naprawdę nie ma kilkanaście milionów Polaków. Będąc uczciwym, trzeba przyznać, że mapa (wykluczenia transportowego – przyp. red.) i tak jest niekompletna. Okręgi obejmują bowiem tylko główną siedzibę zlikwidowanych PKS. Wiele z nich miało również placówki terenowe, więc okręgów powinno być więcej.

Najgorzej mają osoby z małych miejscowości na peryferiach. Bez samochodu właściwie nie ma się żadnych możliwości.

Wiele istniejących przedsiębiorstw autobusowych znacznie ograniczyło siatkę połączeń. Od 1989 r. w skali kraju siatka autobusowych połączeń regionalnych skurczyła się o 85-90%. Czyli tak naprawdę Polska mogłaby być jednym wielkim okręgiem – mówi Paweł Rydzyski, prezes Stowarzyszenia Ekonomiki Transportu.

Obecna na posiedzeniu Komisji Infrastruktury i Rolnictwa dyrektor Departamentu Transportu Drogowego Ministerstwa Infrastruktury Renata Rychter podkreślała, że prowadzone dziś analizy mają na celu „wprowadzenie zmian w ustawach o publicznym transporcie zbiorowym i Ustawie o funduszu rozwoju przewozów autobusowych o charakterze użyteczności publicznej”. Wskazała też, że celem zmian byłoby ułatwienie pasażerom dostępu do informacji o możliwych liniach komunikacyjnych, aby mogli wybierać najdogodniejsze połączenia.

Pytanie, jakie połączenia dyrektor DTD ma na myśli. Mniejmy nadzieję, że nie chodzi o te nieistniejące, jak w Turku, mieście powiatowym liczącym ponad 27 tys. mieszkańców. Nie ma tam kolei, a w miejsce PKS pojawił się prywatny przewoźnik. Jedyną możliwością dotarcia do Poznania jest przejazd 35 km prywatnym bussem do Konina, dopiero stamtąd przesiadka do stolicy regionu.

Walkę z wykluczeniem zapowiadał w 2019 r. sam prezes Jarosław Kaczyński. Rozwiązania pojawiły

się dwa. Po pierwsze, część małych miejscowości, takich jak Turek, miała zostać magicznie podpięta do wielkiej siatki połączeń kolejowych związanych z Centralnym Portem Komunikacyjnym. Ekspertcy wskazywali jednak, że to rozwiązanie jest kompletnie nieopłacalne. Z planowanej pączęzny zresztą nic już nie zostało, poza linią Y przebiegającą przez większe miasta. To jednak nadal pieśń przyszłości. Na przykładzie Turku było widać, że budowanie nowych połączeń kolejowych nie jest opłacalne.

– Gdybyśmy te pieniądze przeznaczili zamiast na inwestycję torową na wykup usługi przewozowej, to za taką samą cenę, wynikającą z inwestycji torowej, wykupilibyśmy autobus na mniej więcej 200 lat – twierdzi dr Michał Beim, ekspert w dziedzinie transportu z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Fundusz nie wystarczy

PiS powołało do życia Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych, specjaliści jednak twierdzą, że jego działanie pozostawia wiele do życzenia. Główny problem wskazuje Iwona Budych ze Stowarzyszenia Wykluczenie Transportowe. Często pieniądze oferowane przez FRPA są zbyt małe, aby pokryć realne koszty transportów. Iwona Budych już dwa lata temu podnosiła kwestię, że wciąż rosną koszty, czy to utrzymania floty i leasingu, czy paliwa. Waloryzacja stawek na podstawie umów z FRPA nie jest zaś wystarczająca. Autobusy to jednak przede wszystkim kierowcy, którzy godzinami siedzą za kółkiem. Paradoksalnie to na ich wynagrodzenie najczęściej brakuje środków. Mammy tu efekt domina. Zbyt małe stawki dla kierowców doprowadzają do braków kadrowych, te powodują likwidację połączenia, to z kolei generuje kary umowne za niewykonane kursy. Rosną straty przewoźników. Konkluzja: to trudny biznes, w który lepiej się nie pakować. Szczególnie z FRPA.

Iwona Budych podkreśla, że zbyt mała jest dopłata z FRPA na wozokilometr (wzkm). To używana w transporcie jednostka miary długości drogi wykonanej przez środki transportu w określonym czasie, odpowiadająca kilometrowi. Obecnie dopłata za wozokilometr sięga 3 zł, mimo że rekomendowana stawka wynosi 4 zł. Według niektórych przewoźników stawka na granicy opłacalności to 8 zł.

Procedura skorzystania z Funduszu Rozwoju Przewozów Autobusowych okazuje się skomplikowana. Wniosek trzeba składać co roku i co miesiąc z niego się rozliczać. Przygotowanie takiego planu pod FRPA również kosztuje, nawet kilkanaście tysięcy złotych. Wszystko po to, aby rocznie dostać kilkanaście tysięcy złotych refundacji.

– Nigdy nie było stuprocentowego wykorzystania tego funduszu. Gminy uznają, że jeśli nie jest to wpisane w szerszy i bezpieczny system finansowania transportu, nie będą na rok tą sprawą się zajmować – mówi Adrian Furgalski z Zespołu Doradców Gospodarczych TOR. FRPA zdaje się więc typowym bezsensownym rodzem z Barei. Taka duża kasa (przeszło 800 mln zł rocznie), która się nie opłaca. Jednak robi się jeszcze głupiej. Z danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że tylko za rządów „walczącego” z wykluczeniem komunikacyjnym PiS długość tras PKS zmalała z 710 tys. do 394 tys. km. Transport w Polsce obumiera, chociaż wydajemy na niego więcej pieniędzy niż kiedyś.

Nowa ekipa zapowiada, że w przyszłym roku odda do użytku interaktywną mapę wykluczenia transportowego. Ciekawe, ile milionów będzie kosztowała analiza rozpoznanej już dawno problemu i ile osób mogłoby za to dojechać do lekarza i do pracy, której nie podejmą ze względu na brak autobusów we wsi, ile dzieci czekałaby lepsza przyszłość, bo mogłyby zostać dłużej w szkole. Polska jest dziś nie tylko bankrutem komunikacyjnym, ale przede wszystkim bankrutem moralnym. Państwem, które przez swoją nieudolność pogłębia nierówności społeczne, zamiast z nimi walczyć.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Polska na trzeźwo

Obajtek ruszył w pielgrzymkę wyborczą po kraju

Maciej Mikota

Prezydent Duda w swoich pałacowych komnatach przytulał Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego, a także Dariusza Barskiego, byłego prokuratora krajowego utrzymującego, że wciąż jest prokuratorem krajowym. I to gotowym ścigać zbrodniarzy wszelkiej maści, z wyjątkiem – jak można mniemać – polityków Zjednoczonej Prawicy, albowiem stawianie kryminalnych zarzutów Romanowskiemu lub Macierewiczowi z założenia ma podstawy polityczne i stanowi objaw chorego przekonania, że polskość to nienormalność. Gdy jednak policja wywlokła z pałacu Wąsika i Kamińskiego i obaj mężowie stanu trafili do więzienia, patrioci w mig pojęli, że muszą znaleźć lepszą kryjówkę. Doszli do wniosku, że Parlament Europejski będzie w sam raz.

Za mandatami eurodeputowanych schowali się Wąsik, Kamiński, Michał Dworczyk oraz Daniel Obajtek. Spośród uciekinierów przed politycznymi szykanami były szef Orlenu uzyskał najlepszy rezultat – w czerwcowych wyborach dostał ponad 170 tys. głosów, bijąc rekord Podkarpacia – żaden polityk w dziejach Polski w okręgu wyborczym nr 9 nie otrzymał większego poparcia.

W latach 2021-2024 Daniel Obajtek zarobił niemal 10,5 mln zł oraz uciulał 1 mln zł i 20 tys. euro.

Przywiązani do tradycyjnych wartości Polacy nieraz bowiem już dowiedli, że im większy kaliber przewin ich reprezentantów, tym większym darzą ich szacunkiem i tym snadniej na nich głosują. Koalicja 15 Października winna mieć na względzie ten mechanizm, gdyż nazbyt śmiało rozliczanie pisowców i zbyt radykalne wyroki mogą wywołać skutki odwrotne do zamierzonych.



Ponieważ Obajtek nie cierpi z powodu nawału zajęć w PE, postanowił brylować na rodzimym podwórku. Nz. otwarcie biura poselskiego w Mielcu, 4 października 2024 r.

Szczury i śmieci

Ponieważ Obajtek, delikatnie mówiąc, nie cierpi z powodu nawału zajęć w PE, postanowił nie marnować swojego potencjału, porzucił brukselskie podwórko i zaczął brylować na rodzimym. Pierwsze spotkanie z wyborcami odbył w Mielcu. „Już

Europę czystą, to niech przyjadą do Polski, choćby nawet tu, i zobaczą Europę czystą, bo w tej Brukseli niedługo w śmieciach zginą i szczury ich zagryzą”, ogłosił. Wywód ten lewicowcy uznali za żenujący dowód braku kompetencji intelektualnych uprawniających do pełnienia funkcji prezesa geesu, a co dopiero olbrzymiego koncernu paliwowego. Ale Obajtek był z siebie dumny, obwieścił, że to ledwie preludium pielgrzymki, i powędrował do Wrześni.

Niemieckie progi

Przywitano go owacją na stojąco. Skandowano imię jego. Prezentowano transparent w barwach narodowych z napisem: „Za gospodarczy sabotaż dla Tuska i Bodnara będzie sroga kara”.

W podzięce Obajtek zaserwował publiczne opowieść o szczurach i śmieciach brukselskich, i to wzbogacając o wątek gospodarczy. „Chcą

► mnie dopaść za wszelką cenę. Orlen obecnie notuje straty, bo jest sparaliżowany dziesiątkami audytów i poszukiwaniem haków na Obajtku. Być może popełniłem jakieś błędy, jak każdy w biznesie, kto podejmuje dziesiątki decyzji dziennie, ale wiem, że niczego nie ukradłem i zawsze starałem się przede wszystkim wzmocnić polską gospodarkę!", wołał.

Zrobiło się patriotycznie nad wyraz, bo publiczność nie pozostawała dłużna i wołała: „Jebać Tuska!", „Tu jest Polska" i znowu: „Da-niel! Da-niel! Da-niel!".

W czasie wiecu podkreślano, że TVN zabija godność Polaków, podając newsy typu „Na Mazurach utonęły cztery osoby. Wszystkie były trzeźwe". Orzeczone, że Polacy wcale nie są pijakami, a rzekomy problem alkoholizmu można rozwiązać w prosty sposób: wystarczy wprowadzić normy niemieckie. My mamy 0,25 promila, oni 0,5. Policyjne dane wskazują, że 95% pijanych Polaków ma w wydychanym powietrzu 0,26-0,27 promila, co oznacza, że po wprowadzeniu niemieckiego programu problem

alkoholizmu zniknie jak ręką odjął, bo prawie wszyscy będą trzeźwi jak niemowlęta.

Donald Tusk podczas spotkania oberwał za Niemców porządnie, ale i zasłużenie, no bo ściągnął do pomocy powodzianom 100 niemieckich żołnierzy. Z 10. dywizji pancерnej! Dacie wiarę? Czołgiści specjalistami od powodzi! Oczywiście jest, że niemieccy pancerniacy przybyli na Dolny Śląsk, by dokonać rekonesansu, w celach ratunkowych przystaliby strażaków albo jakiś swój WOT, a nie doborową jednostkę.

Nie zabrakło prognoz, że Tusk sfalszuje wybory prezydenckie, żeby wygrać, a jak mimo wszystko przegra, to oskarży o fałszerstwo zwyciężcę. Na koniec: „Jeszcze Polska nie zginęła!".

I pomknął Daniel Obajtek na kolejne spotkanie, by słuchać zwykłych i trzeźwych Polaków.

Botoks i ćwiara

Świetny wynik w wyborach do europarlamentu Obajtek zawdzięcza

bliskiemu zwykłym Polakom zasobowi leksykalnemu (Obajtek o wuju: „skur**syn", „ch** pier***ony", „brudna pała", „stary buc, który na emeryturze powinien siedzieć po sześćdziesiątce") oraz wiszącej nad jego głową ćwiarze (25 lat pozbawienia wolności – przyp. red.). To również zasługa kompanów Obajtki ze Zjednoczonej Prawicy, którzy w 2023 r. do Kodeksu karnego dodali przepis przewidujący 25 lat więzienia za przestępstwo niegospodarności, jeśli szkoda przekroczy wartość 10 mln zł. W przypadku ekswojta Pcimia samo motywowanie politycznie obniżenie cen paliw wywołało szkodę wielokrotnie wyższą. Do tego należy dołożyć likwidację Lotosu, sprzedaż Rafinerii Gdańskiej, zakup Polska Press, loty prywatnymi samolotami na wyścigi F1, botoks, bez troski podejście do wydawania pieniędzy ze służbowych kart itd. Takie dossier musiało się przełożyć na mandat do PE i się przełożyło, ale pojawił się plus ujemny – świeżo upieczony europoseł musiał ujawnić stan majątkowy i źródła dochodów.



Filharmonia
Narodowa

SEONG-JIN CHO

8/9.11

Orkiestra Filharmonii Narodowej,
Michał Nesterowicz – dyrygent, Seong-Jin Cho – fortepian
Brahms, Bruckner

Na koncerty zaprasza
Mecenas Roku
Filharmonii Narodowej



Polska Grupa Energetyczna

Organizator

filharmonia.pl

MKiDN

Strategiczny
Mecenas



Bank Polski

Mecenas



Polska Grupa Energetyczna

Sponsor

TAVEX

Bezmajętny trybun

Z oświadczenia złożonego w Parlamencie Europejskim wynika, że w latach 2021-2024 Obajtek zarobił niemal 10,5 mln zł oraz uciął 1 mln zł i 20 tys. euro. Jest także właścicielem domu o powierzchni 270 m kw., którego wartość określił na pół miliona złotych, trzech gospodarstw rolnych o powierzchni od 0,4 do 11,5 ha oraz dzieł sztuki i zegarków o wartości 200 tys. zł.

Obajtek jest właścicielem domu o powierzchni 270 m kw., trzech gospodarstw rolnych o powierzchni od 0,4 do 11,5 ha oraz dzieł sztuki i zegarków o wartości 200 tys. zł.

Głównym źródłem dochodów była dla Daniela Wszystko Mogę fucha prezesa zarządu Orlenu. W 2021 r. zarobił 2,3 mln zł, w kolejnym o 100 tys. więcej, w ubiegłym zaś prawie 2,8 mln. W 2024 r. na konto Objatka wpłynęło 1,6 mln. Całkiem sporo, zważywszy że z funkcji prezesa został odwołany na początku lutego, co oznacza, że przepracował miesiąc z ogonkiem. Zarabiał też bez mała 700 tys. zł dzięki zasiadaniu w radzie nadzorczej Synthos Green Energy, spółki mającej od 2030 r. produkować reaktory jądrowe. Ponadto za 15 tys. euro miesięcznie pracował – i pracuje do dziś – jako dyrektor ds. rozwoju biznesu międzynarodowego w Bayer Construct Zrt. To węgierska spółka powiązana ze środowiskiem Viktora Orbána. Jej założycielem i prezesem jest Attila Balázs, partner biznesowy zięcia premiera Węgier. Właśnie w luksusowym apartamencie, którego współwłaścicielem jest Balázs, Obajtek miał mieszkać w ostatnich miesiącach, w trakcie kampanii wyborczej do europarlamentu oraz w czasie posiedzeń komisji ds. afery wizowej, na których się nie pojawił.

Zwykli Polacy z łatwością puszczają w niepamięć złodziejstwo, kumoterstwo i łapówkarstwo swoich wybrańców, ale ich bogactwa mogą nie przelknąć. Wszak swoim trybunem uczynili Jarosława Kaczyńskiego,

mężczyznę nie tylko bezżennego i bezdzietnego, lecz także w zasadzie bezmajętnego.

Mordercy z Buczy

Pensja europoła do niskich nie należy – co miesiąc 34 tys. zł na rękę – a rękawów wyrwać sobie nie trzeba, co pozwala na udział w krajowych kampaniach wyborczych. Daniel Obajtek mandat objął w lipcu, przez trzy miesiące wykazał się

jedynie podczas debaty na temat „Węgierskiej karty narodowej i jej skutków dla strefy Schengen oraz przestrzeni wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości”. Parlament wszczął dyskusję o karcie, bo Orbán pod pretekstem konieczności pozyskania imigrantów zarobkowych postanowił szeroko otworzyć bramy dla Rosjan i Białorusinów, stosując daleko idące ułatwienia w uzyskiwaniu przez nich wiz pracowniczych. Unia się wystraszyła, że agentura Putina i Łukaszenki zyska dodatkowe możliwości. Konserwatyści i Reformatorzy, grupa w PE, do której należy Obajtek, byli przeciwni karcie narodowej oraz ułatwianiu wjazdu Rosjanom i Białorusinom. Eurodeputowany Maciej Wąsik takież. „Nikt z nas chyba nie życzy sobie, żeby Unia gościła morderców z Buczy czy z Irpienia albo weteranów grupy Wagnera odpowiedzialnych za mordy w Mali czy w Syrii. Nie wolno nam traktować Rosjan, Rosji i Putina w pobłażliwy sposób. Apeluję o wycofanie się z tego pomysłu”, grzmiał ekswieźień polityczny czule niedawno tulony przez Andrzeja Dudę. Ale Daniela Objatka nie przeraziła perspektywa wypuszczenia chmary agentów.

„Czy wy naprawdę chcecie komukolwiek wmówić, że wizy pracownicze są zagrożeniem dla Europy w momencie, kiedy od 2015 r. dziesiątki tysięcy ludzi wjechało do

Europy? Zobaczcie, jak dziś Europa wygląda: niebezpieczna, gwałty, narkotyki, rozbój. Dziś Europa ma duży problem. Niejednokrotnie był krytykowany mój kraj, Polska, że nie chcemy imigrantów. Proszę zobaczyć, czy dziś jest niebezpiecznie w Polsce, w Warszawie? Nie, jest bezpiecznie. Czy dziś niebezpiecznie jest w Budapeszcie? Nie, jest bezpiecznie, proszę państwa. I ja nie wiem, czy wizy pracownicze tak naprawdę coś zmieniają w bezpieczeństwie Europy. Nic nie zmieniają. Ale również Niemcy, przecież, jeżeli chodzi o pracowników z Kenii, chętnie zapraszają. A już nie mówiąc o zamknięciu granic przez właśnie Niemcy. To są poważne dzisiaj problemy”, perorował w trakcie debaty w PE najśłynniejszy wójt Pciimia.

Zasiadanie za niemałe pieniądze na dyrektorskim stolcu w węgierskiej firmie może wywołać podejrzenia, że wystąpienie Objatka miało na względzie interesy jego płatnika z Budapesztu, lewactwo nie do takich podejrzeń jest zdolne. Na szczęście ludzie prawi dziur w całym szukać nie zwykli, więc poparcie dla byłego szefa Orlenu nie spadło nawet o promil.

Łaska i łezka

Tak czy siak, wygląda na to, że Obajtek rozpoczął kampanię prezydencką. Całkiem prawdopodobne, że do Pałacu Prezydenckiego trafi albo jako głowa państwa, albo jako szukający azylu więzień polityczny. To drugie jest możliwe, jeśli prezydentura w 2025 r. przypadnie w udziale pomazańcowi Kaczyńskiego. Albo jeśli Obajtek zostanie skazany jeszcze za kadencji Dudy, który niechybnie go ułaskawi i łezkę nad prześladowanym przez bodnarowców patriotą uroni podczas czułego misiaczkowania. Jako prezydent RP Obajtek nie musiałby ułaskawiać samego siebie i pod wieloma względami byłoby to optymalne rozwiązanie, lecz trzeźwo patrząc, to niezbyt realny scenariusz. Realniejsza jest wersja, że wygra Mastalerek lub Błaszczak – i raczej po to były szef Orlenu objeżdża Polskę.

Maciej Mikołajczyk

Czwarty bliźniak Kaczyńskiego

Polacy nie będą płakać
po przewodniczącym Rady Mediów Narodowych

Andrzej Sikorski

Odwołanie Krzysztofa Czabańskiego z Rady Mediów Narodowych wywołało histerię w środowisku PiS. Najbardziej oburzona była członkini RMN, posłanka Joanna Lichocka, która stwierdziła, że „jest to zamach na media” i „działanie przestępcze”, a odpowiedzialni „za zniszczenie mediów publicznych będą siedzieć”.

Czabański został odwołany, bo zgodnie z ustawą o RMN członkiem rady „nie może być osoba posiadająca udziały albo akcje spółki lub w inny sposób uczestnicząca w podmiocie będącym dostawcą usługi medialnej lub producentem radiowym lub telewizyjnym”. A były już szef RMN zasiada (m.in. z Jarosławem Kaczyńskim) w radzie fundacji Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego, która jest większościowym udziałowcem w pisowskiej spółce Srebrna. Ta zaś spółka jest udziałowcem spółki Słowo Niezależne, która jest akcjonariuszem spółki Telewizja Republika, będącej właścicielem telewizji o tej samej nazwie, zarządzanej przez czołowego pisowskiego propagandystę Tomasza Sakiewicza.

Gdyby Polska pod rządami PiS nie była państwem mafijnym, taki twór jak Rada Mediów Narodowych nigdy by nie powstał, a Czabański i Lichocka nie mogliby być jej członkami. RMN utworzona została w 2016 r. przez PiS, a właściwie przez Czabańskiego, który jako wiceminister kultury napisał ustawę przy współpracy z Lichocką (sic!). Czyli politycy PiS stworzyli organ państwowy „pod siebie”, co jest skandalem. Mało tego! Do ustawy wprowadzili zapis, który zabrania łączenia członkostwa w radzie m.in. z pełnieniem funkcji radnego, pracą w administracji rządowej, samorządowej, ale nie wpisali takiego zakazu dla parlamentarzystów. Oprócz Czabańskiego i Lichockiej



Krzysztof Czabański, zwany też „Czabanescu”, uchodzi za przyjaciela i wiernego towarzysza Kaczyńskiego.

w RMN posady znaleźli też inni posłowie PiS: Elżbieta Kruk i Piotr Babinetz. Dodajmy, że członkowie RMN dostają wynagrodzenie, choć się nie przepracowują, bo spotykają się tylko kilka razy w miesiącu, a w tym roku rada praktycznie zawiesiła działalność.

Ustawa o RMN została przepchnięta przez parlament w 2016 r. w ekspresowym tempie, bez jakichkolwiek konsultacji. Jedynym jej celem było przejęcie przez PiS całkowitej kontroli nad mediami publicznymi. Przy okazji złamano konstytucję (jak orzekł niezależny Trybunał Konstytucyjny), bo RMN m.in. bezprawnie zawłaszczyła kompetencje Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji przy powoływaniu oraz odwoływaniu członków zarządów i rad nadzorczych spółek publicznej radiofonii i telewizji.

Nie jest przypadkiem, że Krzysztof Czabański zasiada w radzie fundacji Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego, a prezes PiS powierzył mu przeprowadzenie operacji podporządkowania mediów publicznych. Panowie znają się od lat, a Czabański, zwany

też „Czabanescu”, uchodzi za przyjaciela i wiernego towarzysza Kaczyńskiego. I nie pierwszy raz ma kłopoty z powodu biznesowych powiązań z Kaczyńskim...

Fundacja Prasowa Solidarności

Ich drogi zeszyły się w 1989 r. w „Tygodniku Solidarność”. Naczelnym był tam Kaczyński (nominował go Lech Wałęsa), a Czabański został jego zastępcą. W 1990 r. Kaczyński i kilku jego zaufanych ludzi, wśród nich Czabański, założyło Fundację Prasową Solidarności. Dzięki wpływom politycznym, m.in. ustawie przygotowanej przez Adama Glapińskiego (wtedy ministra budownictwa i zastępcę Kaczyńskiego w Porozumieniu Centrum), i niejasnym powiązaniom fundacja za symboliczną opłatę przejęła od państwa po likwidowanym koncernie Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” poczytny wówczas tytuł prasowy „Express Wieczorny”, a przede wszystkim budynki i grunty

w centrum Warszawy. Ich obecna wartość może wynosić nawet kilkaset milionów złotych, a nieruchomości te zostały ulokowane przez prezesa PiS w różnych spółkach i fundacjach.

Pieniądze (16 mld starych złotych) na rozkręcenie interesu pożytych Fundacji Prasowej Solidarności postkomunistyczny Bank Przemysłowo-Handlowy, któremu prezesował Janusz Quandt. Menedżer zasłynął tym, że u schyłku PRL na polecenie Biura Politycznego KC PZPR lokował partyjne pieniądze w tzw. spółkach nomenklaturowych, obsadzonych m.in. przez ludzi PZPR i służb. W zamian

zaplecze biznesowe Porozumienia Centrum. Spółkę założył m.in. Jarosław Kaczyński, a w jej radzie nadzorczej ulokowany został Czaubański. Plany Telegrafu były rozległe i wszechstronne: budowa centrum handlowego, powołanie agencji fotograficznej i projektanckiej na użytek wydawnictw, postawienie 30 stacji benzynowych, a przede wszystkim uruchomienie prywatnej telewizji. Był jednak problem – spółka nie miała pieniędzy. Około 2 mln dol. wyłożyły więc bank BPH z prezesem Quandtem i Centrala Handlu Zagranicznego Budimex, w której

afery Quandt stracił stołek prezesa banku, natomiast Tuderek tłumaczył się, że zaufał Quandtowi, który namówił go do zainwestowania w partyjną spółkę.

W połowie lat 90. Czaubański trafił do kolejnej pisowskiej spółki, Srebrna-Media, która została wydzielona ze spółki Srebrna. Jej majątkiem jest prawo wieczystego użytkowania części budynku biurowego przy Srebrnej. Choć miała się zajmować działalnością medialną, uzyskuje dochody z najmu.

W Polskim Radiu

W 2006 r., gdy rządziło PiS, Krzysztof Czaubański został ulokowany na stołku prezesa Polskiego Radia. Przygotowany przez Najwyższą Izbę Kontroli raport pokazał, jak wyglądało zarządzanie rozgłośnią. Dokonano niespotykanej w historii czystki kadrowej. W krótkim czasie wyrzucono prawie 300 osób, a na ich miejsce przyjęto ok. 400 nowych, niekoniecznie z najwyższymi kwalifikacjami. Czystkami kierował wiceprezes radia Jerzy Targalski. Zwalniając znaną dziennikarkę Marię Szablowską, mówił, że „wokół widzi same stare kobiety” i chce oczyścić radio ze „złogów gierkowsko-gomułkowskich”. Innej zwalnianej pracownicy radia, z dwójką adoptowanych dzieci, powiedział, że jeśli wzięła sobie dzieci po pijakach, to jej problem. Nad powszechną ▶

Gdyby Polska pod rządami PiS nie była państwem mafijnym, taki twór jak Rada Mediów Narodowych nigdy by nie powstał, a Czaubański i Lichocka nie zostaliby jej członkami.

za wsparcie finansowe fundacja Kaczyńskiego i Czaubańskiego wydierzała bankowi powierzchnię biurową w budynku redakcji, za co otrzymała 37 mld zł za 13 lat, płatne z góry. Bank przekazał też fundacji ponad 1,2 mld zł darowizny. Część z tych pieniędzy została przetransferowana na konto Porozumienia Centrum, za co potem Kaczyński z Czaubańskim usłyszeli prokuratorskie zarzuty działania na szkodę fundacji. Jednak sąd pierwszej instancji ich uniewinnił. Po odwołaniu się prokuratury sprawa ciągnęła się jeszcze wiele lat, ale ostatecznie została umorzona.

Redaktorem naczelnym „Expressu Wieczornego” został Czaubański. Pod nowymi rządami gazeta stała się tubą propagandową braci Kaczyńskich, Wałęsy i Porozumienia Centrum. Część zespołu nie mogła z tym się pogodzić i założyła konkurencyjny „Express”, przekształcony potem w tabloid „Super Express”. W 1993 r. Jarosław Kaczyński sprzedał podupadający „Express Wieczorny” szwajcarskiemu koncernowi Marquard Media, któremu nie udało się już uratować gazety.

Spółka Telegraf

W tym samym czasie, co Fundacja Prasowa Solidarności, powstała spółka Telegraf, która miała stanowić

ponad połowę udziałów miał skarb państwa. Prezesem Budimeksu był Grzegorz Tuderek, który w 1989 r. startował do Sejmu z listy PZPR i był delegatem na ostatni zjazd partii.

Za zainwestowane w Telegraf pieniądze Quandt i Tuderek dostali papierowe akcje, ale bez prawa głosu, co jest niespotykane. Taka konstrukcja umów może wskazywać, że była to darowizna. Tymczasem 2 mln dol. wpompowane w Telegraf rozplynęły się. Wokół Telegrafu powstała sieć spółek, do których wytransferowano pieniądze. W wyniku

Redakcja tygodnika PRZEGLĄD zatrudni: sekretarza redakcji

Wymagania:

- wykształcenie wyższe humanistyczne,
- doświadczenie w pracy na stanowisku redaktora,
- doskonała znajomość ortografii i interpunkcji,
- znajomość programów z pakietu Microsoft Office (biegła) i Adobe, w tym InDesign (podstawowa), systemów zarządzania treścią na stronach internetowych (CMS),
- sprawne poruszanie się w mediach społecznościowych, kreatywność,
- znajomość języka angielskiego,
- umiejętność organizowania pracy własnej i zespołu oraz pracy pod presją czasu.

Zgłoszenia prosimy przysyłać na adres j.domanski@tygodnikprzeglad.pl, wpisując w tytule mejla: SEKRETARZ REDAKCJI.

► atmosferą szczucia i zastraszania nie mogło przejść do porządku dziennego nawet prawicowe Stowarzyszenie Wolnego Słowa, które zażądało odwołania Targalskiego.

Czabański nie reagował, a mógł przynajmniej ukrócić chamskie poczynania swojego zastępcy. Zadbaj

jak zauważyła NIK, „zmniejszenie wydatków w niewielkim zakresie dotyczyło kosztów reprezentacyjnych”, które każdego roku pochłaniały kilkaset tysięcy złotych. Czabański korzystał ze służbowej karty, kupując m.in. prywatną odzież. Sprawą zajmowała się nawet prokuratura, ale ponieważ

wiadomości z telefonu Krzysztofa Brejzy czy kampanie nienawiści przeciwko uchodźcom i osobom LGBT. W wyniku nagonki przebywający w Polsce legalnie obcokrajowcy pochodzenia azjatyckiego i afrykańskiego byli bici i znieważani przez tzw. prawdziwych Polaków, a kilka młodych transpłciowych osób nie wytrzymało szczucia i popełniło samobójstwo. Gdy po tragicznej śmierci syna postanki Magdaleny Filiks, który odebrał sobie życie po ujawnieniu przez Radio Szczecin, że był ofiarą pedofila (informację podano w sensacyjnym tonie, oskarżającym władze PO i samą postankę o tuszowanie sprawy), opinia publiczna żądała od Czabańskiego, aby odwołał prezesa szczecińskiej rozgłośni, bezczelny szef RMN wydał komunikat, ale... do prezesów Telewizji Polskiej, Polskiego Radia, 17 regionalnych rozgłośni publicznych i PAP zwrócił się „o dokumentowanie przypadków kierowania gróźb pod adresem spółek mediów publicznych i ich pracowników”.

Andrzej Sikorski

Ustawa o RMN została przepchnięta przez parlament w 2016 r. w ekspresowym tempie, bez jakichkolwiek konsultacji.

za to o wąską grupę 26 osób, dyrektorów, kierowników i doradców, którym zmienił umowy o pracę na korzystniejsze – chodziło o podwyżki, wydłużenie okresu wypowiedzenia, kwartalne premie oraz klauzule o zakazie konkurencji. Umowy zmieniono również Czabańskiemu i Targalskiemu, m.in. wpisując punkt o zakazie konkurencji (do 12 i 6 miesięcy). W tym czasie spółka płaciła im 100% miesięcznej pensji (kilkanaście tysięcy złotych), czyli maksymalną stawkę. Choć sytuacja finansowa radia była tragiczna, to,

przyjaciół prezesa PiS zwrócił pieniądze, umorzono ją. Czabański z Targalskim zostali odwołani dopiero w 2009 r., a ich odprawy kosztowały ok. 600 tys. zł.

Jako przewodniczący RMN Krzysztof Czabański odpowiada nie tylko za zniszczenie i upolitycznienie mediów publicznych, ale też za przekształcenie ich w przestępczą maszynę hejtu i szczucia na ówczesną opozycję i inne środowiska, które PiS uznało za wrogi. Wystarczy przypomnieć sprawę wykradzionych i spreparowanych za pomocą Pegasusa



UKRAÏNA!

9. FESTIWAL FILMOWY

21–27.10.2024 r.
Kinoteka / Kino Atlantic | Warszawa

01–17.11.2024 r. | online na platformie MEGOGO.PL
21.10–15.12.2024 r. | repliki festiwalu

www.ukrainaff.com

ORGANIZATOR



WSPÓŁFINANSOWANIE



Z Galicji



Jan Widacki

Strategia migracyjna

Od dawna zwracano uwagę, że Polska nie ma żadnej polityki migracyjnej, a doraźne działania na granicy, po pierwsze, nie rozwiążą problemu, po drugie, będą skutkować powszechnym łamaniem praw człowieka. Konsekwencje tej sytuacji to nie tylko cierpienie tych, których prawa są łamane, ale również demoralizacja tych, którzy w ramach wykonywania swoich obowiązków łamią prawa człowieka przy pełnej aprobacie przełożonych, oraz tych, którzy na to bezkarne łamanie praw patrzą. Nie dość, że patrzą, to jeszcze widzą, jak łamanie praw człowieka jest demagogicznie racjonalizowane koniecznością dbania o bezpieczeństwo państwa i zakrzykiwane patriotycznymi hasłami. W efekcie nasilają się w społeczeństwie nastroje nacjonalistyczne i ksenofobiczne.

Wiele środowisk w Polsce liczyło, że ten stan rzeczy zmieni się po objęciu rządów przez Koalicję 15 Października. Ale się nie zmienił. Prominentnym działaczem Platformy niemal z dnia na dzień przestała się podobać „Zielona granica” Agnieszki Holland. Nie ustały nielegalne pushbacki, wolontariusze alarmują, że nadal zdarzają się pobicia, a nawet przypadki ewidentnego znęcania się nad uchodźcami. Znowu utworzono strefę zamkniętą.

Z drugiej strony jest poza wszelką dyskusją, że granica musi być strzeżona, że wymaga tego bezpieczeństwo państwa. Kwestia granicy i nielegalnych imigrantów jest jednak fragmentem znacznie większego problemu. Zmiany klimatyczne, skutkujące wieloletnią suszą, a w związku z nią głodem, rodzą konflikty zbrojne, bratobójcze walki. Ludzie zamieszkujący rozległe, objęte kryzysami obszary Afryki i Azji chcą żyć. Aby przeżyć, muszą mieć co jeść, muszą mieć wodę, chcą mieć elementarne poczucie bezpieczeństwa. Emigrują więc tam, gdzie, jak sądzą, jest co jeść, jest woda, nie ma wojny. Ta fala migracji w kierunku Europy nie ustanie, co więcej, będzie się nasilać. Nie pomogą tu żadne mury, płoty, zasieki, brutalność funkcjonariuszy pilnujących granicy ani buńczuczne przemówienia polityków. To problem Europy i całego zachodniego świata. I tylko cała Europa może tu skutecznie zadziałać.

Zarazem w Europie zaczyna brakować rąk do pracy. Stara Europa, a wraz z nią Polska, wyludnia się. Polsce potrzebna jest mądra polityka migracyjna. Ta polityka musi być skoordynowana z polityką całej Unii Europejskiej. To dobrze, że podjęto prace nad „strategią migracyjną”, szkoda jedynie, że pisano ją chyba na kolanie i że jest ona nie tyle racjonalnym programem rozwiązywania

problemów migracyjnych, ile narzędziem propagandy w walce politycznej. Co gorsza, zawiera ona elementy niedopuszczalne, programowo ignorujące uznane i potwierdzone prawem międzynarodowym prawa człowieka.

To, że jest pisana na kolanie, można zasadnie podejrzewać, bo nie była poprzedzona żadną publiczną debatą, w której mogliby zabrać głos specjaliści od migracji, demografii, praw człowieka, prawa międzynarodowego czy bezpieczeństwa. Nie mówię już o tym, że nikt nie wysłuchał wolontariuszy ratujących od miesięcy ludzi przy wschodniej granicy. Za tym, że jest to narzędzie walki politycznej w kraju, przemawia choćby fakt, że została zapowiedziana na konwencji partyjnej, a nie na forum rządu czy w Sejmie. Retoryka, która temu towarzyszy, w tym wypowiedzi samego premiera Tuska – lekceważące prawa człowieka, prawo międzynarodowe i zobowiązania międzynarodowe Polski, konfrontacyjne wobec Unii Europejskiej – rodzi przypuszczenie, że w tym wszystkim

Fala migracji w kierunku Europy nie ustanie, będzie tylko się nasilać. Nie pomogą tu żadne mury, płoty, zasieki czy brutalność funkcjonariuszy.

nie chodzi o Putina czy Łukaszenkę, ale raczej o Mentzena i Konfederację. Wzrost ich popularności zaniepokoił Platformę i ta próbuje im odebrać część elektoratu, wychodząc naprzeciw jego upodobaniom. Zapowiedź zawieszenia prawa do azylu nie tylko łamie prawo międzynarodowe i polskie zobowiązania międzynarodowe, ale po prostu jest nieludzka.

Nic dziwnego, że została oprotestowana przez Amnesty International, Helsińską Fundację Praw Człowieka czy Polską Akcję Humanitarną, a także przez gremia europejskie. To zaś dało pretekst Bartłomiejowi Sienkiewiczowi do publicznego obrażania działaczy tych organizacji, przy okazji oberwało się Agnieszce Holland, którą dorzucił do tego grona. Nawiasem mówiąc, jego wywód w Polsce, obrażający wielu wymienionych z nazwiska ludzi zastużonych i szlachetnych, których europoseł łącznie nazywał z wyraźną pogardą „obrońcami praw człowieka”, nie był zbyt logiczny. Sienkiewicz zarzucał im „cyniczną grę polityczną” i „hipokryzję”, a równocześnie „odklejenie od rzeczywistości”. Naprawdę, Bartku, tak na trzeźwo przeszło ci to przez gardło? ■

Ignorancja czy celowa polityka?

Polemika z Anną Marią Żukowską

Krzysztof Janik

Kilka tygodni temu Anna Maria Żukowska – szefowa klubu Lewicy w Sejmie RP – zamieściła w portalu szczerego amerykańskiego demokraty Elona Muska tekst, który zdumiewa. Otóż według autorki Wojciech Jaruzelski był karierowiczem, prowadził czystki antysemickie w 1968 r., napadł w tymże roku na bratnią Czechosłowację, a później bezprawnie, wbrew konstytucji PRL, wprowadził stan wojenny. Myślałem, że Anna Maria robi sobie jaja, wszak słynie z poczucia humoru, czego dowód daje co chwilę w rozmaitych mediach. Czekalem więc na sprostowanie bądź informację, że to spiszek uknuty przez Muska wraz z „Gazetą Polską” lub „Warszawską”. No, ewentualnie popularyzacja znanego już stanowiska Instytutu Pamięci Narodowej. Wszak mają one dokładnie taki sam pogląd, czemu niejednokrotnie dawały wyraz. Nie doczekałem się, wobec tego piszę. Elektoratowi lewicy należy się wszak jakieś wyjaśnienie, a AMŻ jakaś lekcja historii.

Jedno przy tym przypomnienie. Historia to nauka nie o faktach czy wydarzeniach, lecz o procesach społecznych, o ich genezie, przebiegu i konsekwencjach. To także nauka nie o ludziach, tylko o kontekstach i motywach ich działania, a przede wszystkim o dylematach, które przed nimi stoją, i sposobach ich rozstrzygnięcia. Cała reszta to opowieść dla działawy w wieku przedszkolnym, która jeszcze niczego nie kuma i nie kojarzy.

Wpis mojej partyjnej koleżanki ma kilka warstw. Jedna z nich jest humorystyczno-prowokacyjna. Otóż – wyobrażam sobie – Anna postanowiła wstrząsnąć debatą nad PRL, nadać jej nowy impuls, wskazać



luki w badaniach nad historią. Dopieć Michnikowi i Romanowskiemu, którzy reprezentują pogląd przeciwny niż ona. Dokuczyć Kwaśniewskiemu, Reykowskiemu i Wiatrowi, którzy w tej sprawie zgadzają się z tymi pierwszymi. Skorygować nieprawdy historyczne zasiedlające nasze umysły i wyobraźnię.

Obawiam się, że to się nie udało. Trudno mi jakoś uwierzyć, że Jaruzelski i tysiące Mu podobnych wybrali się do Riazania, do Wojska Polskiego

dowódczych, to prawda. Ale powiedzmy też dzisiejszym generałom, że są karierowiczami. Wszak to politycy, także w demokratycznej Polsce, mianują generałów. A ci ostatni mają takie poglądy, jakich wymagają od nich ci pierwsi. W demokracji jest tak samo jak w PRL.

Nie zajmuję się tu opinią, że gen. Jaruzelski był organizatorem antysemickiej czystki w LWP. To zwykła nieprawda. Wystarczy zapytać tych, którzy wtedy w tym wojsku byli. Wojciech Jaruzelski został ministrem obrony narodowej w połowie 1968 r., wcześniej był szefem Sztabu Generalnego, którego pozycja polityczna była żadna. Owszem, był ministrem w czasie interwencji w Czechosłowacji, ale jaki miał wtedy wybór? Lubię tę młodość, która, nic nie wiedząc o realiach Polski Ludowej, radzi ówczesnym politykom, jak powinni postępować. Pewnie wołałaby, aby Polska była 17. republiką, wtedy wszystko byłoby jasne – wiadomo, kto wróg, a kto jeszcze większy wróg. A tu problem: to było

Okrasą wywodu jest teza o antykonstytucyjności stanu wojennego. Podziwiam szacunek Anny Marii Żukowskiej dla stalinowskiej konstytucji PRL.

tworzonego na terenie ówczesnego ZSRR dla kariery. Może jednak były to inne powody? Może – rozważ, Anno, taką ewentualność – kochali swoją ojczyznę, chcieli znowu zobaczyć ją wolną i szczęśliwą. A potem, po wojnie, zostali w wojsku, bo ono istotnie dawało możliwość kariery życiowej, zapewniało dach nad głową w zniszczonym kraju, że nie wspomnę o istniejącym wtedy poczuciu zagrożenia. Tak, robili w tym wojsku kariery, zostawali porucznikami, pułkownikami czy nawet generałami. Dochodzili do stanowisk

jednak suwerenne państwo, uwikłane w konteksty międzynarodowe, silnie powiązane z demoludami, inaczej niż dziś widzące gwarancje tej suwerenności. Wystarczy poczytać szczerych wrogów Polski Ludowej: Cata-Mackiewicza, Herlinga-Grudzińskiego, Giedroycia i innych. Czytanie „Gazety Polskiej” to trochę za mało.

Okrasą wywodu Anny Marii Żukowskiej jest teza o antykonstytucyjności stanu wojennego. Podziwiam jej szacunek dla stalinowskiej konstytucji PRL. Bliska jest pod tym względem tym politykom wczesnych

lat 90., których nazwisk nikt już nie pamięta, a którzy chcieli posadzić Jaruzelskiego na ławie oskarżonych. Bliski jest mi pogląd (wyjaśniam to szerzej w przedmowie do książki o Wojciechu Jaruzelskim, która ukaże się wkrótce), że bez stanu wojennego nie byłoby 1989 r. Wiem, że dla młodzieży jest to zbyt skomplikowane, ale człowiek uczy się całe życie. Może i do nich dotrze, że historia to nieoczywiste wybory, że, aby osiągnąć jakiś efekt, już dziś trzeba wiedzieć, który guzik nacisnąć. Umiał to Jaruzelski, umiał Kwaśniewski, może nauczył się tego Żukowska. Cała przyszłość w tej kwestii jeszcze przed nią.

Na razie nacisnęła chyba niewłaściwy guzik. To kolejna warstwa jej komunikatu. Otóż kilkaset tysięcy ludzi, którzy uważają, że PRL nie była okresem smuty i beznadziei, może

uznać, że nie mają swojej reprezentacji politycznej. Rozumiem politykę Nowej Lewicy. Odwołuje się ona do młodych wielkomiejskich. W tej grupie ma największe poparcie wyrażane w sondażach. Ale to może być

Aby osiągnąć jakiś efekt, już dziś trzeba wiedzieć, jaki guzik nacisnąć. Umiał to Jaruzelski, umiał Kwaśniewski, może nauczył się tego Żukowska.

zmyłka. To elektorat najbardziej płynny i niechodzący do wyborów. Dopóki się mieszka z mamusią, kwestie światopoglądowe są ważne. Czymś trzeba się różnić od poprzednich pokoleń. Ale kiedy się stanie wobec własnych małych dzieci, światopogląd robi się mniej ważny. Kiedy się mieszka na prowincji, bez autobusu,

żłobka i przedszkola, z perspektywą mało ambitnej pracy, liczba lekcji religii jest bez znaczenia. Zwłaszcza że lewica – ustami posłanki Pauliny Matysiak – zajmuje się nie brakiem tegoż autobusu, lecz CPK. Do gminy

co prawda nie dojedziemy (jak nie mamy samochodu), za to dolecimy. Szczęśliwej drogi! Polską B, C i D zajmą się inni. Lewica w tej mierze abdykowała, ale jej wartości i interpretacja świata nie. Te hasła wezmą inni. Zajmij się tym, Anno, aby tak się nie stało. Jest jeszcze trochę czasu, ale coraz mniej. ■

LIST

✉ W czym imieniu mówi Anna Maria Żukowska

Robert Walenciak w artykule „Na co choruje polska lewica?” wywołał mnie do tablicy stwierdzeniem, że „Anna Maria Żukowska o gen. Jaruzelskim mówi nie w swoim imieniu, ale w imieniu partii”. Czy Pani Żukowska rzeczywiście wypowiadała się w imieniu partii, wszystkich jej członków?

Będąc od wielu lat członkiem partii, o której pisze red. Walenciak, w swoich opiniach o różnorodnych zakrętach naszej historii kieruję się kryterium ich znaczenia dla naszego bytu państwowego i narodowego. Moim zdaniem najważniejszymi wydarzeniami w historii Polski i Polaków było odrodzenie państwowości w 1918 r. oraz ostateczne zakończenie w maju 1945 r. eksterminacji obywateli Polski (w latach II wojny światowej straciliśmy 17% populacji) i odtworzenie unicestwionego wydarzeniami wojennymi państwa, uznanego międzynarodowo, realnie istniejącego, z geograficznie i etnicznie bezpiecznymi granicami. Choć niestety politycznie i militarnie zależnego od zwycięskiego hegemonu. Te wydarzenia z naszej historii bez wątpienia udzieliły odpowiedzi na najbardziej zasadnicze pytanie, czy będziemy istnieć jako państwo i naród. Pozostałe zdarzenia, które miały miejsce po II wojnie światowej, i te dobre, budujące, i te mniej dobre czy wręcz złe i bolesne, choć ważne, w moim przekonaniu decydowały już tylko o jakości naszego życia, a nie o naszym być albo nie być.

Podchodząc z szacunkiem do będących następstwem tych zdarzeń indywidualnych losów poszczególnych osób czy grup społecznych, traktowanie ich przez niektórych polityków jako równorzędnych z wydarzeniami decydującymi o naszym istnieniu uważam za co najmniej niezrozumiałe.

Takie same kryteria gradacji ważności stosuję w ocenie działań gen. Jaruzelskiego. W okresie nabrzmiewających przemian lat 80., gdy ciągle obowiązywała doktryna Breżniewa, najważniejsze dla niego było niedopuszczenie do udzielenia Polsce „bratniej pomocy” i rozlewmu krwi, także zapaści gospodarczej wywołanej panującym w kraju chaosem. Ten sam człowiek, gen. Wojciech Jaruzelski, gdy kilka lat później pojawiły się bardziej sprzyjające okoliczności, odegrał istotną rolę w pokojowym przeprowadzeniu transformacji ustrojowej umożliwiającej demokratyzację i obecny rozwój kraju. Moim zdaniem były to realistyczne działania odpowiedzialnego męża stanu oraz, jak słusznie pisze red. Walenciak, „polityka myślącego kategoriami państwa, narodu, a nie jednej partii”.

Co do pozostałych zarzutów stawianych gen. Jaruzelskiemu przez panią Żukowską, cóż, w odpowiedzi polecam jej przeczytanie w tym samym numerze PRZEGLĄDU artykułu prof. Grzegorza W. Kołodki. Ten wybitny ekonomista, autor m.in. „Wędrującego świata” i sprawca postępu gospodarczego w czasach, gdy był dopuszczony do współudziału we władzy, na przykładach autorytetów ekonomicznych z poszczególnych epok cennie zauważył, że tworzyli oni teorie naukowe, opierając się na realiach swoich czasów. Tak też powinny być oceniane. Moim zdaniem działania polityczne również powinny być oceniane na podstawie realiów czasów, w których się dokonywały, a nie standardów obowiązujących współcześnie. Podobnie działania Generała i współczesnych polityków.

Pani Anna Maria Żukowska nie pytała mnie jako członka Lewicy o moją opinię o gen. Jaruzelskim, nie mogła więc się wypowiadać w tej sprawie w moim imieniu.

Roman Weydlich

Odetnij jedną, wyrośnię kolejną głowa „terrorysty”

Ciągłe wsparcie, którego Ameryka udziela Izraelowi, sprawia, że w oczach świata ona również jest odpowiedzialna za ofiary i cierpienie

Paul R. Pillar jest akademikiem (doktorat w 1978 r. uzyskał na Uniwersytecie Princeton) oraz byłym pracownikiem CIA z 28-letnim stażem. Jako pracownik wywiadu pełnił wiele funkcji. Był m.in. asystentem wykonawczym dyrektora CIA Williama H. Webstera – jedynej osoby, która sprawowała funkcję dyrektora zarówno FBI, jak i CIA. Pillar może się pochwalić kilkoma interesującymi książkami, takimi jak wydana w 1983 r. „Negotiating Peace. War Termination as a Bargaining Process”, „Terrorism and U.S. Foreign Policy” (wydanie pierwsze w 1999 r., uaktualnione w 2004 r.) oraz „Why America Misunderstands the World. National Experience and Roots of Misperception” z 2016 r. Obecnie Pillar jest związany z Center for Security Studies Uniwersytetu Georgetown i z Geneva Centre for Security Policy. Jego analizy można znaleźć na łamach pisma „The National Interest”, z którym współpracuje.

Poniżej prezentujemy fragmenty artykułu, który ukazał się 29 września w witrynie internetowej Responsible Statecraft. Z całością można się zapoznać pod adresem: responsiblestatecraft.org/nasrallah-israel-hezbollah/.

Paul R. Pillar

(...) Izraelski premier Benjamin Netanjahu twierdzi, że Izrael walczy z Hezbollahem, a nie z Libanem, ale to Liban cierpi na skutek walk. Kraj ten był pogrążony w głębokim kryzysie ekonomicznym przed obecnymi atakami [Izraela], a towarzyszący mu kryzys polityczny nie zostanie przezwyciężony poprzez zniszczenie organizacji, która jest jedną z głównych libańskich partii politycznych. Ugrupowaniem, które ma swoich ministrów w rządzie i posłów w parlamencie i jest częścią koalicji wraz z chrześcijanami i innymi siłami.

Izraelskie ataki, tącznie z zabiciem [Hasana] Nasrallah, nie wyeliminują zdolności – a na pewno chęci – różnych środowisk w Libanie, aby odpowiedzieć siłą na działania Izraela. Operacje izraelskie – na wzór tych przeciwko Hamasowi – opierają się na przeświadczeniu, że groźby użycia przemocy wobec Izraela

wynikają z wrogiego charakteru niektórych grup, jedyną zatem właściwą odpowiedzią jest zabicie jak największej liczby członków, a najlepiej przywódców tychże grup. Tymczasem główną przyczyną przemocy jest gniew z powodu działań Izraela, nie zależy ona od charakteru czy istnienia jakiejś konkretnej grupy. Jak uprzytamnia długa historia konfliktu Izraela z Palestyńczykami, jeśli jakakolwiek grupa oporu zostanie pokonana lub zmarginalizowana, gniew i chęć odwetu znajdą inne kanały zmanifestowania się. Warto pamiętać, że powstanie Hezbollahu i szybki wzrost jego sił na początku lat 80. XX w. były w dużej mierze wynikiem wściekłości z powodu izraelskiego ataku na Liban – pełnoskalowej inwazji z 1982 r. Doszło podczas niej m.in. do masakry w obozach dla uchodźców Sabra i Szatila. Hezbollah zdobył znaczne poparcie, obsadzając się w roli głównego obrońcy Libańczyków przed izraelskimi grabieżami.

Historia likwidowania Hezbollahu przez Izraelczyków jest długa i nie ma happy endu. W 1992 r., używając helikopterów bojowych, zabili ówczesnego sekretarza generalnego Hezbollahu Abbasa al-Musawiego. Otworzyło to drogę do przywództwa Nasrallahowi, który okazał się skuteczniejszy od Masawiego. Wyobrażenie o przemocy, jaka może się zrodzić pod wpływem ostatnich wydarzeń, dają dwa zamachy bombowe w Buenos Aires, z których każdy prawdopodobnie był odwetem za izraelskie ataki na interesy libańskich szyitów na Bliskim Wschodzie. W marcu 1992 r. przed ambasadą Izraela w ciężarówce z kierowcą samobójcą eksplodowała bomba, zabijając 29 osób i raniąc 242. Wzięcie odpowiedzialności za atak przez Organizację Islamskiego Dżihadu – powszechnie postrzeganą jako przykrywkę Hezbollahu – połączone było z oświadczeniem, że akt ten stanowił odwet za zabicie Musawiego (...). W maju 1994 r. izraelscy





Izraelski premier twierdzi, że Izrael walczy z Hezbollahem, a nie z Libanem, ale to Liban cierpi na skutek walk. Bejrut, 14 października 2024 r.

komandosi porwali przywódcę libańskiej partyzantki szyickiej Mustafę Diraniego, jednocześnie najeżdżając obóz Hezbollahu w południowym Libanie. Dwa miesiące później w samobójczym zamachu bombowym na centrum wspólnoty żydowskiej w Buenos Aires zginęło 85 osób, a ponad 300 zostało rannych. (...)

Ostatnie działania Izraela w Libanie – szczególnie zabicie Nasrallaha – prowokują nie mniejszą chęć odwetu niż w latach 90. Niezależnie od tego, jak bardzo izraelskie ataki mogły osłabić zdolności Hezbollahu do wojny konwencjonalnej w Lewancie, jego możliwości prowadzenia nieregularnych działań gdzie indziej prawdopodobnie się nie zmniejszyły. (...) Jeśli tego rodzaju ataki nastąpią, obserwatorzy, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, stwierdzą: „Hezbollah jest grupą terrorystyczną i to jest to, czym grupy terrorystyczne się zajmują”. Takie podejście będzie utrzymywać błędne postrzeganie terroryzmu jako działań złych ludzi, a nie taktyki, którą różne środowiska i narody stosują do różnych celów. (...) Izrael w tym konflikcie od dawna stosuje taktyki terrorystyczne, nie wyłącza-

zamachów przy użyciu samochodów pułapek ani tajnych egzekucji. Do tej listy doszło niedawno użycie pagerów zawierających materiały wybuchowe. Brak możliwości kontrolowania, kto stanie się ofiarą zdalnej detonacji tysięcy urządzeń, w połączeniu z tajnym charakterem operacji, w pełni kwalifikuje ją jako atak terrorystyczny. Nie zmienia tego fakt, że głównymi celami byli

Główną przyczyną przemocy stosowanej przeciwko Izraelowi jest gniew z powodu działań tego państwa.

członkowie Hezbollahu, po części dlatego, że bycie członkiem Hezbollahu – wielowymiarowej organizacji politycznej i paramilitarnej – nie jest tożsame z byciem bojownikiem zaangażowanym w walkę z Izraelem. Jednak nawet jeśli ofiarami byłiby sami bojownicy, wiele mówiące jest porównanie tego, co się stało, z najbardziej śmiertelnym atakiem Hezbollahu na USA. Chodzi o samobójczy zamach bombowy na koszary piechoty morskiej w Bejrucie w październiku 1983 r., w którym zginęło 241 amerykańskich żołnierzy.

Zdecydowana większość Amerykanów zakwalifikowała to wydarzenie jako terroryzm, choć pojawiły się głosy, że skoro zaatakowany został personel wojskowy przebywający na obcej ziemi, należałoby to traktować jako działania wojenne. Jeśli atak na koszary piechoty morskiej jest terroryzmem, to izraelska operacja z pagerami z pewnością też nim jest, zważywszy dodatkowo, że cele nie przebywały na zagranicznej misji wojskowej, lecz przeważnie znajdowały się we własnych dzielnicach, domach, firmach.

Czymś bardziej fundamentalnym od subtelności dotyczących definicji terroryzmu jest szerszy wzorzec przemocy politycznej powodujący cierpienie niewinnych ludzi. Bez względu na to, czy narzędziem są samoloty F-16, czy samochody pułapki, cierpienie ofiar jest tak samo dojmujące, a kwestie moralne zasadniczo takie same. Jeśli Izrael stosuje określoną formę przemocy – a zastosował jej znacznie więcej niż jego przeciwnicy – Hezbollah zaś inną, różnica ta odzwierciedla możliwości każdej strony, lecz nie jest politycznie ani moralnie znacząca.

Amerykańscy decydenci polityczni powinni się zastanowić nad tym wszystkim, szczególnie nad perspektywą odwetu terrorystycznego, i uwzględnić ten element, reagując na eskalację działań wojennych w Libanie. (...) Atak, który zabił Nasrallaha,

był tylko jednym więcej w długiej serii izraelskich działań podjętych bez informowania Stanów Zjednoczonych, nie mówiąc już o braniu pod uwagę stanowiska amerykańskiego. Jednak ciągłe bezwarunkowe wsparcie, którego Ameryka mimo wszystko udziela Izraelowi – zwłaszcza dostarczanie amunicji, której państwo to używa podczas swoich śmiertelnych ataków – sprawia, że w oczach świata ona również jest odpowiedzialna za będące ich skutkiem ofiary i cierpienie.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

Książki z gwarancją poziomu i 11 120 tytułów na koncie

Czytelnik ma 80 lat

Leszek Kamiński

Wojna jeszcze trwała, gdy w październiku 1944 r. w Lublinie powstała Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik. Była to jedna z pierwszych decyzji nowej władzy, która od początku za swój cel uznawała także demokratyzację kultury, ułatwienie szerokim rzeszom obywateli dostępu do kultury wysokiej. I w zrujnowanym kraju, gdy ciągle jeszcze trwała wojna, zaczęto wydawać masowo książki.

Temu właśnie miał służyć Czytelnik, po kilku miesiącach przeniesiony do Łodzi, a od 1945 r. działający w Warszawie. Już w tymże roku ukazały się wznowienia powieści Sienkiewicza i Żeromskiego, próbujące zaspokoić ogromny po wojnie głód polskiej książki. Jednocześnie publikowano nowe utwory, będące świadectwem przeżyć wojennych, takie jak „Krata” Poli Gojawiczyńskiej, „Dymy nad Birkenau” Seweryny Szmaglewskiej, „Noc” Jerzego Andrzejewskiego, „Z kraju milczenia” Wojciecha Żukrowskiego. Już w 1946 r. ukazały się 123 książki w łącznym nakładzie niemal 2 mln egzemplarzy.

Jednak Czytelnik stał się wkrótce instytucją znacznie poważniejszą niż typowe wydawnictwo książkowe. Był to prawdziwy koncern wydający także dzienniki i czasopisma („Życie Warszawy”, „Dziennik Polski”, „Szpilki”, „Kuźnicę”, „Przekrój”, „Przyjaciółkę” i wiele innych) oraz podręczniki szkolne, prowadzący drukarnie, biblioteki i księgarnie. Krótko mówiąc, starał się robić wszystko, co potrzebne do „zaspokojenia potrzeb kulturalnych mas pracujących”. Tak błyskawiczny rozwój zapewne nie byłby możliwy, gdyby nie pojawił się Jerzy Borejsza, założyciel i pierwszy prezes Czytelnika (1944-1948) oraz spiritus movens ówczesnej polityki kulturalnej; jak pisał Miłosz w „Roku myśliwego”, „władca udzielny prasy i literatury”, który stworzył „swoje państwo w państwie”.

Borejsza starał się przyciągnąć do Czytelnika (i pośrednio do nowej władzy) znanych pisarzy, którzy autorytet zdobyli w 20-leciu

międzywojennym, również tych, którzy przebywali na emigracji. I to mu się udało. Wśród autorów, których książki zaczęły się ukazywać w masowych, wcześniej niewyobrażalnych nakładach, szybko znaleźli się Maria Dąbrowska i Zofia Nałkowska, Julian Tuwim i Konstanty Ildefons Gałczyński, Jarosław Iwaszkiewicz i Czesław Miłosz („Byłem w jego stajni, wszyscy byliśmy”). Równolegle Czytelnik umożliwiał publikacje pisarzom młodym i początkującym, którzy nieraz stawali się jego autorami i wiązali się z oficyną na Wiejskiej na długie lata. Wymienić tu można Tadeusza Konwickiego, Kazimierza Brandysa, Igora Nowełego, Juliana Strykowski, Bohdana Czeszkę i wielu innych.

Od 1945 r. ta sama nazwa, ta sama formuła prawna (spółdzielnia), ten sam adres (Warszawa, Wiejska 12A).

Borejsza stał się symbolem „łagodnej rewolucji” (określenie z jednego z jego artykułów), polityki kulturalnej otwartej, starającej się przyciągać, nie odpychać, rozumiejącej twórców, ich ambicje i potrzeby. Ale ta rewolucja trwała zaledwie kilka lat. Usztywnienie kursu politycznego osłabiło pozycję Borejszy, doprowadziło do odsunięcia go od kierowania Czytelnikiem. Ponadto zdarzył mu się fatalny wypadek samochodowy, którego skutki niewątpliwie przyspieszyły jego śmierć (1952).

Stopniowo imperium Czytelnika kurczyło się. Literaturę popularno-naukową przejęło wydawnictwo Wiedza Powszechna, prasą i księgarzami zajęły się inne instytucje. Ale te zmiany w dłuższej perspektywie wyszły wydawnictwu tylko na dobre, bo mogło się skupić na literaturze.

Trudno znaleźć w dziejach powojennej literatury polskiej powieściopisarza czy poetę, który nie drukowałby w Czytelniku. Nazwisk jest tak wiele, że ich spis mógłby zająć kilkadziesiąt stron. Tu ukazały się tak ważne w historii naszej literatury dzieła, jak „Ocalenie” Czesława Miłosza, „Kwiaty polskie” Juliana Tuwima, „Popiół i diament” Jerzego Andrzejewskiego, „Sennik współczesny” Tadeusza Konwickiego, „Czerwone tarcze” i liczne tomy opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza, „Spiżowa brama” Tadeusza Brezy, „Cesarz” i „Szachinszach” Ryszarda Kapuścińskiego. Tu tomikiem „Dla tego żyjemy” debiutowała w 1952 r. Wisława Szymborska.

Wyróżnikiem Czytelnika stały się też edycje dzieł zebranych lub wybranych wybitnych twórców. Zaczęto od Adama Mickiewicza i Stefana Żeromskiego. Ale później pojawiły się podobne inicjatywy dotyczące pisarzy współczesnych. Warto przypomnieć wielotomowe edycje Tuwima, Gałczyńskiego, Iwaszkiewicza, Nałkowskiej, Hłaski, Stachury, Kapuścińskiego, Wata. Sensacjami wydawniczymi stały się dzienniki Marii Dąbrowskiej, Zofii Nałkowskiej i Jarosława Iwaszkiewicza.

Publikacja w Czytelniku oznaczała zawsze swoistą nobilitację, była

gwarancją poziomu. Wydawnictwo zapewniało autorom opiekę redakcyjną, przyjazne doradztwo i staranną szatę edytorską. Bo rozumiano na Wiejskiej, że dobry tekst wymaga starannej oprawy. Współpracowało z wydawnictwem wielu wybitnych grafików, którzy nadali książkom oryginalny, niepowtarzalny styl. Okładki zwykle są na pozór skromne, ale wysmakowane, m.in. dzięki oryginalnemu liternictwu. Nie epatują agresywnym rysunkiem, fotografią czy kolorystyką, ale są przejrzyste i komunikatywne.



Błyskawiczny rozwój zapewne nie byłby możliwy, gdyby nie pojawił się Jerzy Borejsza, założyciel i pierwszy prezes Czytelnika (1944-1948) oraz spiritus movens ówczesnej polityki kulturalnej.

Największy wpływ na ich wygląd miał Andrzej Heidrich, związany z wydawnictwem kilkadziesiąt lat, a w latach 1974-1990 jego naczelny grafik, który wyróżnił się także jako autor projektów polskich banknotów i znaczków pocztowych. Do klasyki wydawniczej należą jego projekty okładek, m.in. do książek Iwaszkiewicza, Kapuścińskiego czy serii Nike. Przyciągające oko i nietracące nic ze swojej atrakcyjności po latach projekty okładek dla Czytelnika tworzyli również Jan Bokiewicz, Jerzy Jaworowski, Jan Młodożeniec, Maciej Buszewicz, Maciej Sadowski i wielu innych czołowych polskich grafików.

Choć domeną Czytelnika była literatura polska, zwłaszcza współczesna, to ogromną popularność przyniosły mu przekłady literatury światowej. Poświęcona im była jedna z jego najpopularniejszych serii – Nike. Tomiki o formacie kieszonkowym (choć często grube) zawierały dzieła najwybitniejszych twórców zagranicznych. Umożliwiły zapoznanie się z takimi pisarzami, jak Julio Cortázar, Jorge Luis Borges, John Steinbeck, Heinrich Böll, William Faulkner, Gabriel García Márquez czy Philip Roth. Te niewielkie książki cieszyły się ogromną popularnością. Nie tylko pozwalały poznać literaturę Zachodu czy Ameryki Łacińskiej, ale też umożliwiały zapoznanie się z ważnymi nurtami literatury rosyjskiej i radzieckiej, które z racji kontrowersyjności politycznej nie były oficjalnie promowane. Wymieńmy tu takie nazwiska jak Isaak Babel, Andriej Biły, Michaił Bułhakow, Michaił Zoszczenko, Iwan Bunin, Andriej Płatonow. Zapoczątkowana w 1957 r. seria liczyła 360 tytułów.

W latach 50. Czytelnik wydawał (średnio) 600 tys. egzemplarzy książek rocznie. Według miarodajnych szacunków w ciągu 80 lat jego istnienia do księgarń trafiło ich dobrze ponad 10 mln. Był potentatem, wydawał książki ważne i popularne, rozchwytywane przez odbiorców. Jednak realia rynku wydawniczego zmieniały się. Rynek nie służy kulturze wysokiej ani ambitnej literaturze. Pojawiały się nowe oficyny, stare zniknęły lub zmieniły profil. Czytelnik jednak trwał, miewał okresy lepsze lub gorsze, ale zawsze starał się swój profil utrzymać.

Jak można scharakteryzować tę oficynę wydawniczą? Cechuje ją przede wszystkim staranna selekcja tytułów. Są to zawsze książki na wysokim poziomie, rzetelnie opracowane pod względem językowym, porządnie wydrukowane. W czasach, gdy czołowy dziennik krajowy informuje czytelników o likwidacji korekty (co niestety wyraźnie widać), a liczni wydawcy książkowi redukcję kosztów także zaczynają od podobnych decyzji, taka troska o solidność redakcyjną jest godna podkreślenia. ▶

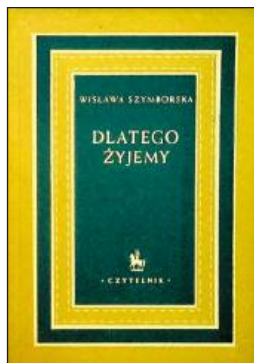
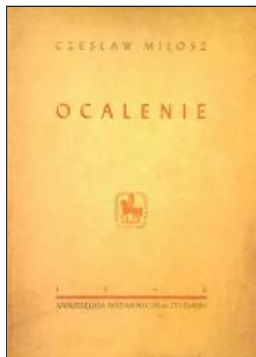
► Czytelnik świadomie unika tandetnej komercji. Publikowane książki nie mają już ogromnych nakładów – nie setki tysięcy, lecz kilka tysięcy egzemplarzy najwyżej. Mają jednak grono wiernych odbiorców, zyskują uznanie krytyki. Selekcja tytułów pozwoliła na wypracowanie pewnych edytorskich specjalizacji i znalezienie nisz rynkowych.

Od kilkunastu lat Czytelnik kojarzy się np. z przekładami dzieł węgierskiego autora Sándora Márai-a (z przyczyn politycznych przed 1989 r. w Polsce, ale i w swojej ojczyźnie, nieobecnego). Okazało się, że ta nietatwa proza trafia do polskich miłośników literatury. Czytelnik stał się polskim wydawcą Márai-a, publikując już ponad 30 książek autora „Żaru”. Spośród nich szczególne zainteresowanie wzbudził kilkutomowy wybór dzienników. A czekają nas jeszcze kolejne edycje, bo Márai był pisarzem wyjątkowo płodnym.

Drugim autorem, którego można uznać za wizytówkę tej oficyny, stał się austriacki powieściopisarz i dramaturg Thomas Bernhard. A dodajmy do tego całkiem już spory pakiet przekładów prozy japońskiej, w tym dzieła noblisty Yasunariego Kawabaty.

Szczególne kulturotwórcze znaczenie można przypisać pewnej serii wznowień, którą łatwo byłoby uznać za idącą pod prąd wymagań rynku. Zaskakujący sukces odnoszą mianowicie kolejne edycje klasycznych dzieł historiografii starożytnej, niewznawianych od kilkadziesiąt lat. Opatrzone są nowymi wstępami, wzbogacone o mapy, ilustracje itp. Efektowne tomy zawierają np. „Żywoty cesarów” Swetoniusza, „Dzieje” Herodota, „Wojnę domową” i „Wojnę gallicką” Cezara czy „Wojnę peloponeską” Tukidydesa.

Poszerza się również oferta tytułów polskich. Więcej niż kiedyś jest wśród nich pozycji z kategorii non-fiction. Są to chociażby portrety wybitnych twórców ujęte w formę wywiadu rzeki (dyrygent Antoni Wit, Andrzej Dąbrowski), pamiętniki (np. trzy tomy wspomnień Zofii z Odrowąż-Pieniążków Skąpskiej) czy



klasyczne reportaże. W tej ostatniej grupie wyróżnia się głośny, szeroko komentowany i nominowany w tym roku do nagrody Nike reportaż Cezarego Łazarewicza „Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa”. I tak jak Ryszard Kapuściński wierny był Czytelnikowi, tak Czytelnik wierny jest Kapuścińskiemu, utrzymując

w ciągłej sprzedaży jego książki i publikując poświęcone mu opracowania. Sensacją wydawniczą niewątpliwie staną się wkrótce zapiski autora „Wojny futbolowej” z 1984 r., wcześniej niewydane, zatytułowane „Zegar piaskowy”. Ponadto Czytelnik na podstawie umowy ze spadkobierczynią dysponuje prawami do wydanych przez siebie dzieł Kapuścińskiego.

SW Czytelnik to rzadki u nas przykład kontynuacji. Od 1945 r. ta sama nazwa, ta sama formuła prawna (spółdzielnia), ten sam adres (Warszawa, Wiejska 12A). I zasadniczo taki sam lub podobny program. Zasiadający obecnie w dawnym gabinecie Jerzego Borejszy Marian Sewerski, kierujący wydawnictwem od 2017 r., jest świadomy faktu, że dziedzictwo ośmiu dekad zobowiązuje.

– Czasy się zmieniły i dziś to jest inne wydawnictwo. Ale to ciągle ten sam Czytelnik. Poziom edytorski wydanych książek jest dla nas najważniejszy. W jakże odmiennych realiach rynkowych i politycznych staramy się kontynuować dzieło naszych poprzedników. Zależy nam na literaturze najwyższej jakości i taką staramy się oferować. Nie ścigamy się z wydawcami bestsellerów.

Mamy swoich wiernych czytelników. Liczni, jak się okazało, miłośnicy starożytności otrzymają od nas wkrótce dzieła Salustiusza, Juliusza Cezara i Anny Komneny, a zainteresowani historią Polski sięgną pewnie chętnie po „Ostatniego króla Polski” Adama Zamoyskiego i po raz pierwszy przetłumaczoną na nasz język książkę tego historyka o Izabeli Czarторыńskiej. Wkrótce ukażą się przekłady kolejnych książek Sándora Márai-a i Yasunariego Kawabaty. Planujemy też serię chińskiej literatury współczesnej. I oczywiście dobrą polską poezję i prozę. Czytelnik wydał do tej pory 11 120 tytułów. Naszą ambicją jest coroczne wzbogacanie tej listy o nowe wartościowe pozycje.

Leszek Kamiński



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Zysk ponad moralność

Sprawa alkoholu w tubkach narobiła sporo hałasu. I słusznie. Pora teraz na wyciągnięcie z niej nieco głębszych wniosków. Potwierdza ona rzecz od dawna znaną – że kapitalizm jest amoralny, a w każdym razie stał się amoralny. Nawet nie tyle niemoralny, ile właśnie amoralny, dążenie do zysku ma bowiem usprawiedliwiać wszystko. Choć, jeśli moralność akurat się opłaca, np. w celu przekonania nieco wrażliwszych klientów, że przedsiębiorstwo jest „odpowiedzialne społecznie”, to można w nią na pokaz „zainwestować”. (Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to zawsze jest inwestycja, a nie szczerą chęć poprawy). Jeśli jednak stoi na przeszkodzie zwiększeniu zysków, biada jej. I są to sprawy określone systemowo, a nie charakterologicznie. Oznacza to, że niemoralnie postępują w kapitalizmie ludzie, którzy sami wcale nie muszą być niemoralni. Oni raczej uważają, że systemowo warunkowane dążenie do zysku usprawiedliwia zawodową niemoralność. Tym bardziej że ci, którzy chcieliby postępować przyzwoicie, nieraz przegrywają z konkurencją.

Niemoralność po prostu się opłaca. Kapitalizm to system z wpisaną weń zasadą, że sukces jest pochodną bezwzględności. Tych, którzy mają skrupuły, pokonają na wolnym rynku ci, którzy idą jak taran, niszcząc po drodze wszystko. W ten sposób opłacalność niemoralności wymusza niemoralność nawet tych, którzy chcieliby postępować moralnie. Łamiąc przy okazji charakter, szczególnie ludzi młodych, którzy często nastawieni są idealistycznie. I tak cały system zaczyna się zsuwać po równi pochyłej. Aby nie działał całkowicie przeciwko ludziom, trzeba go regulować. Nakładać mu pęta. Sam jest bowiem jak potwór o ogromnej sile, który niespętany zagrozi wszystkim, także sobie; częściowo spętany wykorzysta swoją energię do celów, które wyznaczy mu nadzorca. I dopiero wtedy można zachować pewną równowagę między dążeniem do zysku a interesami ogółu.

W tym sensie nie ma bardziej niebezpiecznych idei niż te, które głoszą konieczność pozostawienia rynku kapitalistycznego samemu sobie, uchylenia wszelkich regulacji i zdania się na indywidualny osąd co do korzyści i strat, również moralnych. Gdyby je potraktować serio, jak postuluje w Polsce Konfederacja, nikt nie powinien reagować oburzeniem na pomysł pakowania alkoholu w tubki przypominające musy owocowe, a już z pewnością nikt nie powinien starać się tego proceduru przerwać regulacjami prawnymi. Jeżeli iść konsekwentnie tym torem, to tylko w odniesieniu do kwestii sprzedaży alkoholu byłoby jeszcze pole do popisu. Dlaczego bowiem nie ustawić kiosków z piwem w szkołach ponadpodstawowych,

w których część uczniów uzyskała pełnoletniość, dlaczego nie zaopatrzyć szkolnych i studenckich stołówek w alkoholowe małatki, dlaczego nie pozwolić, żeby alkohol znalazł się w automatach ulicznych, tak jak znajdują się tam dzisiaj batony czy butelki z wodą? Marketingowcy, do dzieła!

Polska i tak jest dziwadłem w oczach świata, ponieważ dopuszcza sprzedaż alkoholu na stacjach benzynowych. Nic nam już nie zaszkodzi. I nie pisze tego abstynent (bynajmniej). Nie trzeba być jednak abstynentem, żeby dostrzec absurd dzisiejszej sytuacji, gdy alkohol jest łatwiej dostępny niż chleb. A sytuacja jest szczególnie niebezpieczna, gdyż biznes chce wychować sobie nowe pokolenie ludzi podatnych na oddziaływanie używek, wręcz uzależnionych. Stąd coraz więcej ofert skierowanych do nastolatków, ostatnio np. nikotyna w cukierkach czy smakowe papierosy elektroniczne. Boję się, że w przygotowaniu jest też ofensywa skierowana wobec dzieci, o czym

Opłacalność niemoralności wymusza niemoralność nawet tych, którzy chcieliby postępować moralnie.

świadczy coraz więcej reklam z ich udziałem (skandal). I choć będzie w niej raczej chodziło o wychowanie sobie nowych konsumentów, a nie od razu używkowych nałogowców, to sprawa jest równie niebezpieczna. Odbywa się bowiem Wielka Manipulacja, która ma za zadanie tak zsocjalizować nowe pokolenia, aby nawet nie przyszło im do głowy negowanie status quo. Już pokolenie dzisiejszych nastolatków, a także dzieci jest poddawane obróbce kapitalistycznej na tak wielu frontach, że musi się poddać i uznać, że nadrzędnym celem ludzkiego życia jest sprawianie sobie przyjemności przez konsumpcję.

Gdy połączymy tragiczne w skutkach oddziaływanie mediów społecznościowych, owocujące epidemią zaburzeń psychicznych wśród nastolatków i dzieci, presję wywieraną na nich przez przemysły alkoholowy i nikotynowy, powszechną dostępność śmieciowego jedzenia, całkowity upadek prestiżu sportu, idiotyczną ideologię konkurencji od kotylaski aż po grób, uzyskamy mieszaninę, która wręcz gwarantuje wychowanie pokolenia pokiereszowanego psychicznie i osłabionego biologicznie (otyłość, brak sprawności ruchowej). Takiego losu chcielibyśmy dla naszych dzieci i wnuków? To ma być ów „nowy, wspaniały świat” kapitalizmu? My, dorośli, jakoś się obronimy, ale nasze dzieci i wnuki skazane są na klęskę. Chyba że się wreszcie ockniemy i zaczniemy działać. Być może nie jest jeszcze za późno. ■

Futbol maniakalno-depresyjny

Selekcjoner Probiez wciąż realizuje plan minimum, nasza kadra nie zaskakuje ani in minus, ani in plus

Wojciech Kuczek

Cokolwiek by napisać o dwóch kolejnych meczach kadry w Lidze Narodów UEFA, to nie wyniki, zgodne zresztą z przewidywaniami, stanowią o historycznej randze tych wydarzeń. Podczas meczu z Chorwacją na boisku znalazło się w tym samym czasie dwóch czarnoskórych reprezentantów Polski, kilka dni wcześniej też obaj zagrali, ale nie jednocześnie. Michael Ameyaw, syn Polki i Ghańczyka, błyszczący na ligowych boiskach w częstochowskim Rakowie, oskrzydlał ofensywne akcje; Maxi Oyedele, syn Polki i Nigeryjczyka, w ciągu kilku tygodni przebojem wdarł się do pierwszego składu warszawskiej Legii i reprezentacji. Obaj

– niby truizm, ale wreszcie unaoczniony także na boisku. No i tak się składa, że ci chłopcy o genach afrykańsko-słowiańskich ruszają się z piłką, by tak rzec, nie mniej zgrabnie od sportowców z dziada pradziada nadwiślańskich.

Pamiętam jak przedwczoraj, czyli ćwierć wieku temu, syn mojego kumpla był niewymownie zdziwiony, że Emmanuelowi Olisadebe „ta opalenizna nigdy nie zejdzie”, a naród dziwował się czarnoskóremu reprezentantowi Polski niczym szlachta zagrodowa na widok Diabła Sławańskiego. Od tamtej pory zdążyły jednak dojrzeć owoce mariaży międzyrasowych, słabości Polaków do dziewcząt egzotycznej urody i Polek do zamorskich przystojniaków. I być może to dzięki nim będziemy

Wobec Portugalii stanowczo przesadziliśmy z gościnnością: od czasów papieskich pielgrzymek kult jednostki nie manifestował się u nas tak bałwochwalczo jak w przypadku miłości tłumów do Cristiana Ronaldo. Fani koczowali pod hotelem, aby załapać się na autograf, jeden nawet wbiegł na murawę, żeby zrobić sobie selfiaka z legendarnym napastnikiem (grzywnę zapłacą rodzice, a internetowa sława liczy się w milionach lajków; zakaz stadionowy obowiązuje w kraju, a młody delikwent należy do generacji, która woli lecieć na Santiago Bernabéu, niż oglądać mecze nad Wisłą). Kiedy CR7 strzelił swojego 132. gola dla drużyny narodowej (światowy rekord wszech czasów), stadion eksplodował radością, jakby to nasza drużyna zdobyła bramkę, kibice w drodze na stadion i z powrotem skandowali nazwisko snajpera przeciwników – nie ma co tym się gorszyć, Ronaldo jest produktem kultury masowej o nadzwyczajnej żywotności. Wyścig z drugim tytanem sportu, Lionelem Messim, trwa, kolejne pokolenia nie mogą się nadziwić, że ci dwaj goście nadal rządzą w swoich drużynach (Messi we wtorek zaliczył hat-tricka i dwie asysty przeciw Boliwii).

Portugalczyki przylecieli po trzy punkty, Ronaldo po hołdy – i wszystko, czego chcieli, podano im na tacy. Najpierw liderzy drużyn z Manchesteru – Bernardo Silva i Bruno Fernandes – pyknęli sobie akcję jak na treningu, potem Rafael Leão przebiegł pół boiska konwojowany przez naszych uczynnych obrońców, a na koniec Jan Bednarek wyręczył Diogo Jotę i załadował samobója. Wigoru nam wystarczyło na bramkę honorową dzięki akcji duetu Urbański-Zieliński. Biorąc pod uwagę aktywność i formę Nicolai Zalewskiego, można by uznać, że o sile naszej piłki stanowią

Kiedy CR7 strzelił swojego 132. gola dla drużyny narodowej, stadion eksplodował radością, jakby to nasza drużyna zdobyła bramkę.

wypadli przeciętnie, jak cała drużyna, choć jak na debutantów całkiem poprawnie, zwłaszcza Ameyaw kilka razy szarpnął efektownie i „namieszał” w polach karnych rywali. Oyedele to jeszcze nastolatek, ale w Legii gra na pozycji defensywnego pomocnika jak stary wyga – przeciw Portugalczynom nie miał wiele do powiedzenia, bo to bodaj najlepsza druga linia w Europie, ale mam przeczucie, że to będzie reprezentacyjna szóstka na długie lata.

Brawa zatem dla Michała Probieza za te powołania: czas uświadomić 60 tys. pikników na stadionie i milionom przed telewizorami, że Wielka Błąda Polska to koncepcja archaiczna. Żyjemy w świecie etnicznie niejednorodnym, Polacy mają różne pochodzenie i kolor skóry

mieli szansę oszukać przeznaczenie. Albowiem mieliśmy całe stulecie, aby przekonać świat o tego, że w potomkach Wiślan i Polan wrze krew boiskowych wojowników, tymczasem dzisiaj smucimy się raczej opinią narodu piłkarsko wyklętego, który tylko przez jedną dekadę potrafił trzymać się w globalnej czołówce. Rzekłbym nawet, że dowodów na nasze wrodzone piłkarskie upośledzenie mamy aż nadto, czas zatem zacząć czerpać korzyści z prokreacyjnego rozpustarcia naszych rodaków i rodaczek.

Etnos Polaków się urozmaica, można więc przyjąć, że dzięki temu również piłkarsko nabierzemy kolorów. Tymczasem jednak jesteśmy monochromatycznym tłem dla piłkarskich gwiazd.



teraz gracze ligi włoskiej – niestety, kłam tej teorii zadał obrońca Verony Paweł Dawidowicz. Z Portugalią niemrawy, z Chorwacją już po prostu sabotujący wysiłki drużyny, trzeci gol dla Chorwatów padł po jego „kryminalnym” podaniu w poprzek boiska prosto pod nogi rywala, na wysokość naszego pola karnego. Nawet gdyby nie złapał urazu, Dawidowicz pozo- wał do zdjęcia z boiska jeszcze przed przerwą – i to zdjęcia na zawsze, skoro jego zmiennik Kamil Piątkowski, elektryczny i nieporadny w pucharowych meczach Salzburga, jawił się przy Dawidowiczu jako gracz o trzy klasy lepszy.

Mamy wyjątkowy kryzys w defensywie, właściwie Probiez może lepić naszą ostatnią formację z graczy w najlepszym razie lekkopółśrednich, jak Jan Bednarek, lub będących z dala od optymalnej formy, jak Jakub Kiwior. Z ekipy, która skutecznie pilnowała tyłów kosztem „zera z przodu” i wiecznie osamotnionego Lewandowskiego na szpicy, staliśmy się drużyną z tak dziurawą obroną, że jedynym sposobem na sukces jest ultraofensywna taktyka. Musimy z przodu ładować, ile wlezie, bo rywale zawsze nam coś wpakują. Tęsknota za kimś w rodzaju Gлика czy Pazdana z ich najlepszych czasów zmieniła się w marzenie o stoperze, który przynajmniej umie rozpoznać

swojego kolegę po koszulce i podać mu piłkę, zamiast asystować rywalom. Pragnienia mamy minimalne, a i tak pozostają niespełnione.

Wtorkowy mecz z Chorwatami ułożył się dziwacznie, tym bardziej że jego przebieg był bliźniaczy do skończonej godzinę wcześniej potyczki młodzieżówki z Niemcami. Nasza kadra U-21 wyszarpnęła zwycięski remis ze stanu 1:3 i awansowała do

Czas uświadomić 60 tys. pikników na stadionie i milionom przed telewizorami, że Wielka Błada Polska to koncepcja archaiczna.

przyszłorocznych mistrzostw Europy. Podobnie jak u seniorów szatu tam w obronie nie ma, w dodatku nasz najsolidniejszy młody stoper Ariel Mosór złapał kontuzję – nie zapowiada się zatem, byśmy mieli w najbliższych latach spokój we własnym polu karnym. Trzeba więc strzelać – i to się udawało wyjątkowo dobrze we wtorkowy wieczór także na Stadionie Narodowym. Chorwaci są jednak obecnie wyraźnie mniej wymagający od Portugalczyków, a i szczęście tym razem do nas się uśmiechnęło. Z Portugalią mogliśmy przegrać niżej, gdyby sędzia choć zatrzymał akcję po zwarcu Ameyawa i Nélsona Semeda, by sprawdzić VAR, mogliśmy

Mecz Polska-Chorwacja, w środku Michael Ameyaw. Warszawa, 15 października 2024 r.

też zremisować, gdyby uznał faul i dał nam rzut karny. Z Chorwacją mogliśmy przegrać, gdyby sędzia zauważył faul naszego zawodnika na Matanoviću przy akcji bramkowej – to decyzje sędziowskie w spornych sytuacjach decydowały o punktach w obu meczach; można by zatem uznać, że graliśmy z obydwojema przeciwnikami mecze wyrównane.

Szczęście też sprawiło, że brutalny atak bramkarza Chorwatów na kolano Roberta Lewandowskiego nie zakończył się jakąś koszmarną kontuzją – Lewy jeszcze raz okazał się piłkarzem pancernym, a ile daje naszej kadrze, pokazał w ciągu zaledwie pół godziny przebywania na boisku: asysta, „zarobiona” czerwona dla rywala i minimalnie niecelny strzał. Jako zmiennik nasz gwiazdor spisał się o wiele lepiej, niż wychodząc w pierwszym składzie, może należy zacząć go przyzwyczajać do roli superrezerwowego. Szkoci urwali punkt Portugalii, mamy zatem jasną sytuację – do utrzymania się w elicie Ligi Narodów potrzeba nam zwycięstwa, a przy odrobinie szczęścia nawet remisu za miesiąc przeciw Brytyjczykom.

Selekcjoner Probiez wciąż zatem realizuje plan minimum, nasza kadra nie zaskakuje ani in minus, ani in plus, jesteśmy chaotyczni i labilni, momenty przestojów przeplatamy nagłymi szarżami, uprawiamy futbol maniakalno-depresyjny, potrafiąc długimi fragmentami zdominować rywala, by potem w ciągu kilku minut stracić z nim trzy bramki, a na koniec wrócić do gry, wściekle atakując. Pozostaje sobie życzyć, by faza manii utrzymywała się jak najdłużej; lepszy bowiem futbol zaraźliwie niefrasobliwy i wariackie mecze na trzy do trzech niż żałobna piłka, którą zadręczał świat na mundialu w Katarze. ■

Człowiek z ambicji

Elon Musk dawno przestał być wyłącznie przedsiębiorcą.
Ale kim jest teraz?



Mateusz Mazzini

Twórca Tesli wreszcie przestał się krygować i oficjalnie popart kandydata republikanów w wyścigu prezydenckim.

Wielu może się on wydawać postacią wieloformatową. Jednak twórca Tesli, Starlinka i SpaceX jest raczej figurą zbudowaną z kilku grubo ciosanych bloków. Przy czym ani geniusz, ani zmysł do zarabiania pieniędzy, ani obsesyjne pragnienie bycia zauważonym przez celebrytów, opisane szeroko chociażby przez „New York Timesa” w kontrowersyjnej sylwetce, nie jest najpotężniejszą składową jego osobowości. Elon Musk kocha skupiać na sobie uwagę, porywać się z motyką na słońce, prawić bon moty, że „chciałby umrzeć na Marsie, ale nie w trakcie lądowania”,

lecz najbardziej motywuje go ambicja, która – śmiało można powiedzieć – przybrała rozmiary międzyplanetarne. A najgorsze, że nikt już nie wie, do czego owa ambicja prowadzi. I chyba nie wie tego sam Musk.

Ogon macha psem

Nie ma za bardzo sensu przytaczać tu długiej listy jego biznesowych i intelektualnych sukcesów, ale też nie powinno się ich deprecjonować. SpaceX jest dzisiaj właściwie jedynym narzędziem, za pomocą którego Zachód może jeszcze rywalizować

w wyścigu kosmicznym z Chinami czy ostatnio z Indiami. Ten projekt jest dobrym przykładem współpracy rządu federalnego z sektorem prywatnym, bo z technologii i sprzętu spółki Muska korzysta dzisiaj NASA, a z drugiej strony to dzięki grantom państwowym firma w ogóle mogła się rozwinąć i stanąć na nogi. Nieco mniej kolorowo wygląda sytuacja Tesli, choć to też produkt, który zrewolucjonizował mobilność na całym świecie. Sprzedaż jednak spada, magazyny są zapchane, nawet Musk nie jest w stanie już rywalizować z zalewem tańszych i relatywnie niezłych

elektryków z Chin. Do tego coraz więcej osób w USA i przede wszystkim decydentów w Białym Domu zaczyna się irtować na słowa miliardera i suflowaną przez niego neoliberalną agendę tzw. technooptymizmu.

Otóż Musk, podobnie jak zbliżeni do niego ideologicznie i finansowo inni magnaci z Doliny Krzemowej – Peter Thiel czy inwestor Marc Andreessen – uważa, że jakakolwiek ingerencja rządu w sektor technologiczny jest zawsze i w każdych warunkach zła. Władze powinny trzymać się z dala od szeroko rozumianej idei postępu, nie ingerować w monopole (które zresztą według Muska monopolami nie są), tylko pozwolić tłustym kotom dalej się bogacić. A wtedy wszyscy będziemy szczęśliwsi, bo postęp dokona się szybciej. W czasach, w których nawet najbardziej zagorzali obrońcy reaganowskiej idei skapywania majątku przestali umierać za neoliberalizm, w Dolinie Krzemowej idee rodem z „Atlasa zbuntowanego” Ayn Rand trzymają się mocno, choć są naiwne i pozbawione podstaw intelektualnych.

Dlatego w Waszyngtonie coraz więcej osób zaczyna rozumieć, że wyhodowały sobie potwora. Tesla urosła głównie na rządowych programach dotacji, wsparcia badań i rozwoju, ulg podatkowych, a ostatnio gospodarczego protekcjonizmu trumpowskiej i bidenowskiej administracji, który chroni biznesy Muska przed konkurencją z Chin. Doprowadziło to do gigantycznego wynaturzenia w kluczowym sektorze nie tylko gospodarki, ale całego życia publicznego w USA. W dobie olbrzymich inwestycji w energię odnawialną i starań o przejście na zeroemisyjność rząd federalny oddał kontrolę nad związaną z tym infrastrukturą właściwie jednemu człowiekowi.

Doskonale opisał to Ronan Farrow, reporter „New Yorkera”, w głośnym śledztwie na temat imperium Muska. Z jego ustaleń wynika, że 60% wszystkich stacji ładowania samochodów elektrycznych na terenie Stanów Zjednoczonych należy do właściciela Tesli. Oznacza to, że Musk może niemal dowolnie dyktować warunki w kwestii wszystkiego, co związane z elektromobilnością

– funkcjonowania tej technologii czy cen usług. I jednocześnie twierdzić publicznie, że to jego własne dzieło, a władze mają zostawić go w spokoju.

Jeśli dodać do tego, że całkowicie dominuje na orbicie okołoziemskiej, jego satelity stanowią według informacji „The Independent” aż dwie trzecie wszystkich aktywnych urządzeń tego typu latających nad naszą planetą, widać, że mamy do czynienia z człowiekiem, który nie musi liczyć się z rządem. Ani własnym, ani żadnym innym. Sam Starlink ma już 7 tys. satelitów, które umożliwiają połączenie z internetem w nawet najodleglejszych miejscach globu i przede wszystkim w strefach konfliktu. Co więcej, bywają momenty, w których to Musk płaci za utrzymanie infrastruktury, mimo że nie do końca na niej zarabia. Tak jest chociażby od początku inwazji Rosji na Ukrainę, kiedy zestawy Starlinka zostały wysłane do

– rząd na kłęczkach idzie do Doliny Krzemowej, prosząc, by miliarderzy łaskawie udostępnili swoje technologie, na które sektora publicznego nie stać. Co oczywiście jest iluzją i uproszczeniem, bo technologie te powstały i będą powstawać za publiczne pieniądze, ta zależność akurat się nie zmienia.

Fakt pozostaje jednak faktem, z Elonem Muskem jest problem. I to problem właściwie każdego z nas, nie tylko amerykańskich decydentów. Dotyczy on przede wszystkim działalności miliardera w ramach posiadanego przez niego portalu X (dawniej Twittera). Abstrahując od faktu, że odkąd Musk przejął platformę, straciła ona na wartości przeszło dwukrotnie, dzieje się tam też coś bardzo niedobrego dla debaty społecznej.

Otóż Musk, samozwańczy piewca wolności słowa w sieci, internetowy anarchista, organicznie nienawidzi słowa moderacja. W związku z tym

Miliarder uważa, że nie ma na świecie zasad, którym musi się podporządkować, jeśli akurat sam ich nie wymyślił.

Kijowa niejako na polecenie amerykańskiego Departamentu Stanu, choć administracja pokrywała tylko część kosztów operacji. „Washington Post” opisywał wtedy awantury, które Musk robił Antony’emu Blinkenowi, grożąc, że jeśli Biały Dom nie zacznie płacić, odetnie Ukraincom internet.

Sumując wszystkie te konflikty na różnych odcinkach relacji imperium miliardera z sektorem publicznym, można stwierdzić, że stało się to, czego każdy rząd powinien bać się najbardziej – ogon zaczął machać psem.

Problem nas wszystkich

W pewnym sensie musiało tak być. W wykładzie z października 2019 r. mówił o tym oksfordzki historyk prof. Timothy Garton Ash, który zauważył, że dawniej giganci amerykańskiego przemysłu pielgrzymowali po rady i wsparcie do Waszyngtonu. Bo to rząd federalny miał największą zdolność rozwiązywania problemów właściwie każdego obywatela kraju. Teraz jest odwrotnie

na X pełno dzisiaj wszelkiej maści ohydztwa. Antysemityzm po 7 października ub.r. wylewa się stamtąd codziennie, co widać w badaniach naukowców. Matthias Jakob Becker, badacz z Uniwersytetu Technicznego w Berlinie zajmujący się monitorowaniem ksenofobii i antysemityzmu na platformach społecznościowych, zauważa, że nawet kilka miesięcy po ataku Hamasu na izraelskie kibuce liczba antysemickich wpisów na X była kilkakrotnie większa niż w poprzednich latach. Musk nic z tym nie robi, podobnie jak z propagandą skrajnej prawicy czy islamskiego terroryzmu, ksenofobią bądź seksizmem. A ponieważ X jest mimo wszystko medium o globalnym zasięgu, można stwierdzić, że Musk psuje jakość społeczeństw wszędzie, gdzie działa.

I tu dochodzimy do sedna problemu. Miliarder uważa, że nie ma na świecie zasad, którym musi się podporządkować, jeśli akurat sam ich nie wymyślił. Skoro finansowo i technologicznie przerasta całe suwerenne ▶

► państwa, daje sobie mandat do tego, żeby naruszać ich regulacje prawne i mieć to w głębokim poważaniu.

Ostatnim rozdziałem tej wojny była dość kuriozalna konfrontacja w Brazylii, gdzie Sąd Najwyższy zobligował Muska do usunięcia wybranych kont, z których szerzono wyborczą dezinformację i zachęcano do politycznie motywowanej przemocy. Żeby awanturę pomiędzy X a kontrowersyjnym brazylijskim sędzią Alexandre'em de Moraesem dobrze wytłumaczyć, trzeba zrobić w tym miejscu kilka przypisów.

W tej akurat sprawie Musk trafił na godnego siebie adwersarza, przynajmniej pod względem ambicji.

De Moraes uprawia tzw. demokrację walczącą, często przesadza i naciąga uzasadnienia prawne swoich bardzo głośnych działań, ale w przypadku X trudno nie przyznać mu racji. W końcu Brazylia na początku 2023 r. stanęła na krawędzi zamachu stanu, bo Jair Bolsonaro niespecjalnie akceptował wyborcze zwycięstwo Luli. Jednocześnie sam nie chciał zaangażować się w próbę siłowego przejęcia władzy, próbował zrobić to rękami szefów sił zbrojnych i swoich najbardziej lojalnych zwolenników. Wehikułem jego kłamliwych

tez o wyborczym fałszerstwie był właśnie X (wtedy jeszcze Twitter).

De Moraes miał więc podstawy, żeby uznać brak moderacji na platformie za zagrożenie dla demokracji. Najpierw nakazał zablokowanie wybranych kont, co Musk demonstracyjnie zignorował w imię wolności słowa. Brazylijski sędzia odpowiedział z całą siłą, grożąc zamknięciem tamtejszego biura X i w ogóle delegalizacją platformy na terenie kraju. Dużo było w tym propagandy, bo Musk ustami swojego departamentu

Musk chce nie tyle nad światem panować, ile całkowicie go zaorać i stworzyć od nowa.

prasowego walił w sędziego z całej siły wpisami właśnie na X, ale ewidentnie Sąd Najwyższy nie zamierzał ustąpić. W pewnym momencie miliardier powiedział nawet, że wyrok go nie dotyczy i znajdzie sposób, żeby umożliwić Brazylijczykom korzystanie z X bez względu na konsekwencje. Zwyciężyła jednak logika biznesowa. Brazylia to dla platformy szósty największy rynek, liczba użytkowników wynosi tam 21,5 mln. W dodatku za łamanie zakazu, np. za pomocą VPN, de Moraes groził ogromnymi karami finansowymi, nakładanymi bezpośrednio na internautów. A tego Musk nie mógł zignorować, więc ostatecznie się ugiął. Usunięcie kilkunastu kont to niewielki koszt w porównaniu ze stratą przychodów z ruchu generowanego przez miliony wpisów dziennie.

Jest czego się bać

To nie był pierwszy tego typu konflikt w karierze miliardera. Awanturował się już wcześniej z rządem Australii, nie chcąc usuwać kont publikujących treści zachęcające do przemocy i naruszające prywatność ofiar napaści seksualnych. Był też w permanentnym stanie wojny z Komisją Europejską, bo Unia bardzo lubi regulować i najchętniej uregulowałaby także przestrzeń społeczeństwa w internecie, co dla Muska jest objawem czystej głupoty, i tak pomysły Brukseli nazywał.

Tu nie ma co się rozpisywać, on jest po prostu człowiekiem, któremu nikt nie będzie mówił, co ma robić, a jeśli ktoś mu powie, Musk zrobi dokładnie odwrotnie.

I to jest oś porozumienia łączącego go z Donaldem Trumpem. Twórca Tesli wreszcie przestał się krygować i oficjalnie poparł kandydata republikanów w obecnym wyścigu prezydenckim. Wystąpił zresztą razem z nim na wiecu w Butler, gdzie Trump 13 lipca przeżył zamach na swoje życie. Wyglądało to kuriozalnie, jak-

by podniecony chłopak w czapce bejsbolowej spotkał idola i skakał wokół niego jak nakręcony. Wygadywał przy tym typowe dla siebie rzeczy, że „Trump

jest jedynym kandydatem zdolnym ocalić demokrację w Ameryce”. A przecież jest dokładnie odwrotnie, co Trump sam przyznaje, mówiąc, że zostałby na jeden dzień dyktatorem, żeby ustanowić nowy porządek.

Muskowi to nie przeszkadza, bo jest tak samo próżny i skoncentrowany na sobie. Problem w tym, że w przeciwieństwie do Trumpa ma ogromny potencjał intelektualny i finansowy. Dlatego – i ta teza, choć ryzykowna, jest prawdziwa – to Musk, a nie Trump, jest bardziej niebezpieczny. Właśnie przez ambicje. Byłemu prezydentowi wystarczy powrót do Białego Domu i święty spokój od procesów sądowych. Reszta świata go nie interesuje, nieraz to udowadniał. Musk pragnie znacznie więcej: on chce nie tyle nad światem panować, ile całkowicie go zaorać i stworzyć od nowa. To prawdziwa skala jego aspiracji. Zakończenie obecnej umowy społecznej, reorganizacja ustrojów politycznych, utopia na skalę niewidzianą od czasów oryginalnego marksizmu. A ponieważ, jak już ustaliliśmy, siła sprawcza jest teraz w sektorze prywatnym, nie w administracji publicznej, to Musk byłby w większym stopniu prezydentem USA niż Donald Trump. Naprawdę jest czego się bać, choć ten strach może na początku przybrać miły dla oka kształt postępu.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Jankesi

Zyć można dla prawdy albo dla efektu. Dziś na ogół robimy wszystko dla efektu, gorączkowo próbując nadążyć za trendem. Takie skłonności czynią z człowieka idealnego kandydata na polityka. Czasy, gdy politycy zajmowali się przełamywaniem barier, a nie zdobywaniem poparcia poprzez pochlebstwa i fałszywe obietnice, już dawno minęły.

Bywa jednak, że coś jeszcze zaszeleści. Bardzo spodobał mi się Cornel West, który w amerykańskich wyborach próbował zdobyć nominację z ramienia zielonych – ciemnoskóry filozof, jazzman, nowojorski profesor. Błyskotliwy, przebojowy. Zapytany w rozmowie ze Stephenem Sackurem z BBC, co będzie po wyborach, odpowiedział: „Jeśli wygra Trump, będzie druga wojna domowa, jeśli wygra Biden, trzecia wojna światowa”. Ciekawe. Oczywiście Biden nie jest już kandydatem, ale nie zapominajmy, że Kamala Harris przyjęła namaszczenie właśnie z jego rąk. Nie będzie więc żadnym nadużyciem stwierdzenie, że jesteśmy wciąż na tym samym torze.

A gdzie szczęśliwa Ameryka, gdzie się podziała? Druga już wojna domowa na horyzoncie? Od dawna dużo się mówi na temat napięć, konfliktów, walki plemion politycznych. Przewidywania Westa nie są więc oderwane od rzeczywistości.

Ten tekst piszę z przekory i ze znużenia entuzjazmem otaczającym w naszym kraju koncepcję dziejów podyktowaną przez misjonarską egzaltację Jankesów. Ameryka jest w istocie podzielona. Jeden z najlepszych esejów na temat wojny domowej, Południa i losów Ameryki napisał Robert Penn Warren, autor świetnie u nas znanej powieści „Gubernator”. Warren był także historykiem i poetą (dwukrotnie Nagroda Pulitzera za poezję). We wspomnianym esej „Dziedzictwo wojny domowej” („The Legacy of the Civil War”) koncepcja Manifest Destiny, Objawionego Przeznaczenia, została przedstawiona jako „niskiego lotu urojenie”. Południe utrzymywało dystans – pod jego słońcem mesjanizm Jankesów obracał się wniwecz. Dwa odrębne światy? Po wojnie secesyjnej – pod sztandarami Rekonstrukcji – dokonała się w istocie okupacja Południa. Jakie rezultaty przyniosło nawracanie? Wciąż trwają dyskusje. Południe miało oczywiście na sumieniu swój wielki grzech – niewolnictwo, ale czy wychowawcy byli ludźmi bez skazy? Czy zmuszanie w Nowym Jorku do prostytucji 12-letnich dziewczynek – pytali zbuntowani publicyści – było demonstracją moralnej przewagi Północy?

Co powiemy dzisiaj? Czy Południe wybaczyło? Nie ma oczywiście prostej odpowiedzi. Poptłynęło wiele krwi i wiele łez. Przelały się strumienie atramentu. Mimo upływu czasu wciąż krążą widma przeszłości. C. Vann Woodward, opisując w książce „Brzemie historii Południa” („The Burden of Southern History”) nieuchronną erozję dawnego świata, podkreślał jednocześnie: na Południu „doświadczenie zła i doświadczenie tragedii” zneutralizowało gorączkowy entuzjazm Jankesów („szaleństwo Jankesów”, mawiano). Amerykańskiemu triumfalizmowi i religii sukcesu przeciwstawiono tu własne, tragiczne odczucie historii. Prawdziwy Southerner pragnął czegoś więcej niż „być jedynie Amerykaninem”.

Poczucie dystansu przetrwało, jest też obecne w nurcie kultury masowej. Wielki przebój zespołu Lynyrd Skynyrd „Sweet Home Alabama” jest w istocie hymnem Południa. Panowie śpiewają pod flagą Konfederacji. W słowach piosenki bez trudu odnajdziemy ton antypatii.

Poczucie moralnej wyższości staje się często dźwignią upadku.

Złoty proszek z misjonarskich uniesień Ameryki zdmuchiwali nie tylko patrioci Południa. Urodzona w Nowym Jorku pisarka Susan

Sontag przekonywała, że sekretem Ameryki jest „energia przemocy”, która „sublimuje się w prostacki materializm oraz pragnienie posiadania”. Wiara w Boskie Przeznaczenie funkcjonuje ostatecznie jako perpetuum mobile gwałtu – oznacza, że „trzeba dalej kłaść trupem kolejne hordy czerwonoskórych, by mogła zatriumfować cnota”.

Jaki sens ma amerykańskie poczucie misji? Hans Morgenthau, jeden z patronów realizmu, uważał, że ma ono u podstaw naiwne wyobrażenia dotyczące dobra i zła. By naprawiać świat – twierdził – trzeba często wchodzić w sojusze z najniższymi instynktami, a nie działać przeciwko nim. Polityki międzynarodowej nie należy więc mieszać z niskiego lotu moralizatorstwem.

Poczucie moralnej wyższości staje się często dźwignią upadku. Interesujące pytanie, nawiązując do „Wojny peloponeskiej” Tukidydesa, postawił eseista Robert Kaplan: czy przegrana przez Amerykę wojna w Wietnamie nie powinna stać się ważnym znakiem ostrzegawczym? Upadek Aten, uważał Tukidydes, zapoczątkowała niefortunna wyprawa na Sycylię. Ambicje poniosły zbyt mocno. Wietnam jako amerykańska Sycylia?

Zakończę apelem: pora uderzyć się w piersi. Niestety, tor naszej polityki – dotyczy to także przekazu medialnego – wyznaczają konwulsje moralizatorstwa. Romantyzm przyuczył nas do ekwilibrystyki na krawędziach otchłani. Dokąd zaprowadzą nas parodie romantyzmu? ■

Rzym w przebudowie

W 2023 r. Włochy odwiedziło 451 mln turystów.
Dopiero teraz zaczyna się tu dyskutować
o nadmiernej turystyce.

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

„Dlaczego nie postawią tu dużych plansz ze zdjęciami zabytków, przy których można robić sobie selfie? – zapytała pewna turystka pod fontanną di Trevi. – Tak robią już w Azji. Zwłaszcza w Tajlandii, bo tam niebo jest zasnuwane smogiem. Więc jak ktoś sobie cyknie fotkę na fototapecie z niebieskim niebem, przynajmniej nie straci wyjazdu”.

Turyści, którzy w tym roku odwiedzili Rzym, nie byli zadowoleni. Wszędzie remonty, zasłonięte zabytki, w komunikacji wielkie utrudnienia. Największe rozczarowanie przeżyli jednak ci, którzy do Wiecznego Miasta przyjechali w drugim tygodniu października i zobaczyli fontannę di Trevi ogrodzoną plastikowymi panelami. Najstynniejsza barokowa fontanna jako ostatnia została poddana nadzwyczajnym pracom konserwacyjnym, które potrwać kilka tygodni. W ciągu miesiąca ma powstać specjalna platforma spacerowa, z której będzie można podziwiać zabytek. Wyznaczony zostanie też limit osób przebywających na kładce w tym samym czasie. W ten sposób władze Rzymu mają nadzieję ograniczyć liczbę gości na najbardziej obleganym placu świata. Rozważane jest również wprowadzenie w przyszłości opłaty 2 euro za dostęp do fontanny.

Co jednak z rytuałem wrzucania monet do wody, mającym zapewnić powrót do Wiecznego Miasta? Wymyślił go niemiecki archeolog Wolfgang Helbig, zainspirowany antycznym obrzędem rzucania oboli do źródeł, by zaskarbić sobie przychyłność bóstw. W ten sposób

fontanna zaprojektowana przez Nicolò Salviego stała się światową celebrytką. Wrzucenie jednej monety gwarantowało powrót do Rzymu, dwóch – miłość, a trzech – rychły ślub. To z tego powodu fontanna di Trevi była zawsze tak oblegana. Wyłowione z niej pieniądze przeznaczano na rzymski Caritas, a w czasach turystyki masowej była to kwota niemała.

Nie wiadomo jeszcze, jak władze Rzymu rozwiążą ten problem. Mówi się o „zamontowaniu specjalnego koszyka”. Czy turyści przyzwyczajają się do koszyka i kładki, która służy barokowemu monumentowi? Rzymska celebrytka może stracić na popularności – a wraz z nią bary i sklepy przy placu, których właściciele już protestują.

Do rozpoczęcia Roku Jubileuszowego pozostały dwa miesiące. Burmistrz Gualtieri zapewnia jednak, że zdąży ze wszystkim i miasto będzie jak nowe.

Renowację fontanny di Trevi pozostawiono na sam koniec, aby nie odstraszyć turystów. Od wakacji jednak w remoncie są prawie wszystkie fontanny Rzymu, zwłaszcza te na placu Navona i przy Panteonie. Zasłonięto je rusztowaniami i ogrodzono panelami ze zdjęciami zabytków. Rzucić okiem można na nie przez okienka w ogrodzeniu. Ten sam los spotkał most św. Anioła ozdobiony rzeźbami Berniniego oraz jego uczniów, a wcześniej monumentalny pomnik Wiktora Emanuela II (już powoli odstawiany), „Pietę” Michała Anioła i baldachim Berniniego w bazylice św. Piotra (prace renowacyjne już zakończono

i odsłonięcie tego ostatniego nastąpi 27 października).

Rok Święty ogłoszony przez papieża Bonifacego w 1300 r. i obchodzony co 25 lat był zawsze dla Rzymu okazją do odnawiania monumentów będących jego symbolami, a przede wszystkim budowania nowych. Z okazji roku 1475 zbudowano most Sykstyński, który rozwiązał problemy komunikacyjne średniowiecznego Rzymu, z okazji 1725 r. powstały słynne Schody Hiszpańskie, a w roku 2000 przebudowano Muzea Watykańskie.

Także Jubileusz 2025 ma swoje symbole: przebudowę placu Pia, który stanie się deptakiem i będzie łączył Watykan z Zamkiem św. Anioła, oraz przejazdu pod nim, będącego newralgicznym punktem

ruchu drogowego w Rzymie; przebudowę placu del Risorgimento i pobliskiej ulicy Ottaviano; przebudowę placu przed bazyliką św. Jana na Lateranie; przebudowę placu dei Cinquecento przed dworcem kolejowym Termini oraz budowę parkingu pod nim.

Watykan zaniepokojony

„Mamy nadzieję, że widoczne opóźnienia uda się nadrobić w jak najkrótszym czasie”, upomniał niedawno publicznie burmistrza i nadzwyczajnego komisarza Jubileuszu 2025 Roberta Gualtieriego nowy wikariusz diecezji rzymskiej, prałat



Fontanna di Trevi na czas remontu została ogrodzona plastikowymi panelami.

Baldassarre Reina. „Prace są opóźnione, a niedogodności widoczne dla wszystkich”, powiedział w wywiadzie dla agencji Ansa. Już pod koniec września opóźnieniami zaniepokoił się prałat Rino Fisichella odpowiedzialny za organizację Roku Świętego ze strony Watykanu: „Na placu del Risorgimento nie widzimy żadnych robotników”.

Kto przechodzi od metra Ottaviano do Watykanu – a codziennie robią to tysiące turystów, pielgrzymów i mieszkańców Rzymu – rzeczywiście odnosi wrażenie, że za ogrodzeniami z jubileuszowym logo nie dzieje się nic. Minęło kilka miesięcy, a kostki brukowej nie ułożono. Podczas wrześniowej ulewy plac budowy został zalany.

Najwięcej obaw wywołują jednak główne roboty drogowe, trwające już prawie rok. Chodzi o przejazd podziemny pod placem Pia, którym poruszało się wcześniej 3 tys. pojazdów na godzinę. Reorganizacja ruchu spowodowała korki w całym śródmieściu i opóźnienia autobusów. Poza tym budowa znajduje się na wprost bazyliki św. Piotra, w miejscu, skąd media zawsze transmitowały wielkie

wydarzenia w Watykanie. Przed wakacjami dokonano tu odkryć archeologicznych, znajdując warsztat foluszników. Na terenie tym w starożytności znajdowały się cesarskie rezydencje podmiejskie, m.in. ogrody Agrypiny.

Jeszcze większą niespodziankę archeologiczną skrywał plac na Lateranie, przed tamtejszą bazyliką, będącą katedrą Rzymu i pierwszą siedzibą papieży. Odnaleziono tu fundamenty średniowiecznego pałacu papieskiego, znanego jako Patriarchio, którego istnienie do tej pory potwierdzały tylko źródła historyczne. To odkrycie na wielką miarę, ale plac przed bazyliką św. Jana na Lateranie, gdzie znajdują się Drzwi Święte, stanowi miejsce niezwykle ważne podczas jubileuszu.

Najgorzej chyba prezentuje się teraz plac dei Cinquecento przed głównym dworcem kolejowym, Termini. Tu przyjeżdżają turyści i stąd odjeżdża większość autobusów miejskich. Jest to także główna stacja metra, na której krzyżują się dwie linie. Niestety, przez dokumentnie rozkopany plac trudno dostać się na dworzec i do metra lub odnaleźć przystanek autobusowy.

Wszystko ma być na czas

Do rozpoczęcia Roku Jubileuszowego 2025 pozostały zaledwie dwa miesiące. Burmistrz Gualtieri zapewnia jednak, że zdąży ze wszystkim do 24 grudnia i miasto będzie jak nowe. „Nie ma opóźnień. Prace są zaawansowane na 95%”, twierdził w jednym z ostatnich wywiadów.

„Gdyby tak nie było, czekałaby nas epokowa porażka. Sprawa wymagałaby rezygnacji burmistrza, a nawet tego, by poleciało kilka głów w Watykanie”, napisał dziennik „Il Foglio”. Zdaniem gazety, jeżeli chodzi o plac Pia, aby zamknąć budowę na czas, w rekordowym tempie usunięto znaleziska archeologiczne, by utworzyć coś w rodzaju skansenu w ogrodach Zamku św. Anioła, a koszty prac wzrosły o ponad 15 mln euro. Tutaj prace powinny się zakończyć do 24 grudnia.

Co jednak robi burmistrz, jeżeli trzy budowy symbolizujące ten jubileusz (plac św. Jana na Lateranie, piazza dei Cinquecento i piazza del Risorgimento) do grudnia będą gotowe dopiero w połowie?

Solą w oku jest przede wszystkim piazza del Risorgimento niedaleko ▶

► Watykanu. Projekt jubileuszowy zakłada przebudowę i częściowo stworzenie deptaku, ale prace rozpoczęły się dopiero we wrześniu. Zdaniem dziennika „Il Foglio” zostaną one podzielone na dwie części: prace tymczasowe umożliwią otwarcie go w terminie, a dopiero po zakończeniu jubileuszu nastąpi właściwa przebudowa. Według włoskiej gazety tak samo będzie z pozostałymi dwoma placami. Na Lateranie budowa musi być zlikwidowana do grudnia, bo bazylika laterańska wraz z bazylikami św. Piotra, św. Pawła za Murami i Matki Bożej Większej to miejsca, gdzie znajdują się Drzwi Święte. Będą zatem odwiedzane przez pielgrzymów chcących przestąpić ich próg. Teren piazza San

umierali w Rzymie, a tak tylko chodzą i brudzą”, pożałił się pewien rzymianin.

„Te ulice są takie wąskie. Dlaczego oni nie zamkną centrum dla ruchu kołowego, aby turyści mogli tu swobodnie chodzić?”, zapytała mnie kiedyś pewna przyjezdna. A przecież tu mieszkają zwyczajni ludzie, ich dzieci chodzą do szkoły, poza tym trzeba dowieźć produkty żywnościowe do restauracji dla turystów, w których też ktoś musi pracować.

Termin overtourism wszedł do użytku w 2015 r., ale we Włoszech dopiero teraz zaczyna się dyskusja o nadmiernej turystyce. Nie chodzi o turystykę masową, lecz

targach turystycznych TTG Travel Experience w Rimini. W 1950 r. na świecie było zaledwie 25 mln turystów, 20 lat później już 200 mln, a w roku 2000 liczba ta wzrosła pięciokrotnie, do ponad 1 mld na całym świecie. Za pięć lat może przekroczyć 2 mld. W 2023 r. Włochy odwiedziło 451 mln turystów. W trudnej sytuacji polityczno-ekonomicznej i przy problemach sektora produkcyjnego turystyka rekompensuje wzrost gospodarczy i pomaga zwiększyć PKB.

To tylko statystyka. W praktyce dynamika przepływów turystycznych rozkłada się w sposób zróżnicowany, prowadząc do pogłębiania nierównowagi i przeludnienia turystycznego. Dotyczy to głównie najpopularniejszych kierunków, tzw. miast sztuki, które budują markę Włoch. 18% całkowitego krajowego i międzynarodowego ruchu turystycznego koncentruje się w 10 największych włoskich miastach. Rzym jest ulubionym kierunkiem z wynikiem ok. 29,2 mln odwiedzin rocznie (7,1% całkowitej liczby przyjazdów do Włoch), następuje są Wenecja – 11 mln (2,7%), Mediolan – 10,4 mln (2,5%), Florencja – 7,4 mln (2%), Turyn – 3,5 mln, Bolonia – 3 mln, Neapol – 2,7 mln, Rawenna – 2,6 mln, Weronia – 2,4 mln i Asyż – 1 mln.

Największym problemem jest jednak nie liczba turystów, lecz ogólny wskaźnik przeludnienia, obliczany na podstawie kombinacji kilku kryteriów, mierzących gęstość turystyczną, gęstość zakwaterowania, intensywność turystyczną, ilość odpadów miejskich produkowanych przez sektor turystyczny. We Włoszech najwyższą wartość osiąga on w Wenecji (ponad 14 tys. turystów na kilometr kwadratowy miasta), ale niepokojący jest także w Weronie, Neapolu, Rzymie i we Florencji.

W tych miastach niektóre punkty (place, zabytki, muzea) mogą mieć znacznie większy wskaźnik turystycznego przeludnienia. Do takich miejsc należy właśnie plac przed monumentalną fontanną di Trevi. Stąd pomysł, a może konieczność, aby ograniczyć dostęp do niego podczas Roku Jubileuszowego.

Agnieszka Zakrzewicz

Podczas przebudowy placu na Lateranie odnaleziono fundamenty średniowiecznego pałacu papieskiego, którego istnienie potwierdzały tylko źródła historyczne.

Giovanni zostanie więc uporządkowany, a po jubileuszu na nowo rozpocznie się badania archeologiczne.

Co do dworca Termini, tu rewitalizacja rozpoczęła się w dwóch bocznych częściach placu, ale nie w części centralnej, gdzie zlokalizowane jest wejście do metra. Nie będzie czasu na wykonanie całości projektu, a zwłaszcza wybudowanie parkingu. Roboty zostaną ukończone w grudniu, a w roku 2026, po jubileuszu, będą wznowione.

Za dużo odwiedzających

Szacuje się, że z okazji Roku Świętego 2025 do Rzymu przyjadą co najmniej 32 mln pielgrzymów i turystów. Dziesięć razy tyle, ile jest obecnie mieszkańców miasta. Rzym to lokomotywa turystyczna Włoch i do tej pory był przyzwyczajony do turystyki. Żyje z niej wielu, ale nie wszyscy. Ci, którzy w turystyce nie pracują, mają już dość: remontów, korków, chaosu, nadmiaru zwiedzających i związanych z tym problemów. Napięcie oraz stres rosną.

„Co ja z tego mam? Produkuję trumny. Moimi klientami są miejscowi, a nie turyści. Gdyby chociaż

o turystyczne przeludnienie, które dotyczy pewnych miast czy miejsc, prowadzi do dezintegracji ich tkanki społecznej, odpływu rdzennych mieszkańców i usług, wzrostu cen kupna i najmu nieruchomości oraz cen ogólnych. Światowa Organizacja Turystyki (UNWTO) definiuje nadmierną turystykę jako „wpływ turystyki na miejsce docelowe lub jego część, który nadmiernie obniża postrzeganą jakość życia mieszkańców i/lub jakość doświadczeń odwiedzających”. W ten sposób dochodzi do konfliktów pomiędzy mieszkańcami i turystami. Mieliśmy z tym do czynienia w różnych krajach Europy. W Barcelonie mieszkańcy zaatakowali turystów pistoletami na wodę i ogłosili koniec wynajmu przez Airbnb od 2029 r. W Niemczech protestowali przeciwko konsekwencjom najmu krótkoterminowego. W Grecji demonstrowano w obronie wolnych plaż kolonizowanych przez wielkich touroperatorów. Na Wyspach Kanaryjskich manifestowano przeciwko przeludnieniu turystycznemu.

Aby zrozumieć to zjawisko, trzeba przytoczyć kilka liczb, które padły na tegorocznych międzynarodowych

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Tusk najlepszym kandydatem PiS na prezydenta

Myślałem o tym, żeby na spokojnie popastwić się nad byłym prezydentem Bronisławem Komorowskim, który wychynął z matecznika, co by płaciliwie bronić myśliwych, którym niby to dzieje się w Polsce krzywda. Lamentacjami podzielił się w odnowionej TVP Info, gdzie powiedział: „Dla wielu dziennikarzy i polityków myśliwi z łowców stali się zwierzyną. Jest teraz moda, żeby im dotożyć jak najmocniej”. Nie zapominajmy, że to komentarz czynnego myśliwego, który jako prezydent ukrywał tę swoją ówczesną aktywność i okłamywał społeczeństwo, że nie poluje. Teraz jako nieformalny pierwszy lobbysta broniący interesów myśliwych podzielił się „przemysleniami”, zaznaczając, że zło czai się gdzie indziej: „Problemem nie są polscy myśliwi, tylko m.in. włoscy i austriaccy. Trzeba pilnować tego, żeby ptaki, które chronimy, nie zostały zastrzelone podczas lotu we Włoszech lub Austrii. Oni strzelają o wiele więcej niż polscy myśliwi”. Zdaniem Komorowskiego, również zabijając zwierzęta, myśliwi de facto ich bronią.

Zmiany przygotowywane przez obecny rząd dotyczą m.in. propozycji badań okresowych myśliwych (to jedyna grupa z prawem posiadania i używania broni palnej nieobjęta tym obowiązkiem), ograniczenia polowań zbiorowych i przy stosowaniu noktowizji, obowiązku informowania właściciela nieruchomości o planowanym polowaniu indywidualnym na jego gruncie czy konieczności otrzymania pozwolenia na budowę ambony. Te i inne propozycje zmian w prawie łowieckim doprowadzają myśliwych do białej gorączki. Wtedy, jak widać, rusza im w sukurs stary wiarus z jeszcze ciepłym sztucerem.

Kiedy myślałem, że nic tych wistów nie przebijie, wyjechał na białym koniu Donald Tusk z nową polityką migracyjną, czyli m.in. propozycją ogólnoeuropejskiej zgody na „zawieszenie” prawa azylowego. Prawa, przypomnijmy, zapisanego w konwencjach genewskich czy w polskiej konstytucji (tak, tak: konstytucja, konstytucja!!!), gdzie mamy cały art. 56, który stanowi: 1. Cudzoziemcy mogą korzystać z prawa azylu w Rzeczypospolitej Polskiej na zasadach określonych w ustawie. 2. Cudzoziemcowi, który w Rzeczypospolitej Polskiej poszukuje ochrony przed prześladowaniem, może być przyznany status uchodźcy zgodnie z wiążącymi Rzeczypospolitą Polską umowami międzynarodowymi.

Zakłęcia Tuska, że bezpieczeństwo, że Finlandia już to zrobiła, że Łukaszenka i Putin, że w ogóle te prawa człowieka to fanaberie – co wyraził potem dobitnie Bartłomiej

Sienkiewicz, atakując szefową polskiego oddziału Amnesty International: „Środowiska ochrony praw człowieka to ludzie odklejeni od rzeczywistości, ich poziom manipulacji i fałszu jest niebywały” – wszystko to smutne i dość beznadziejne. Mówi się, że to szarża polityczna przeciw PiS. Nie kupuję tych zakłęb, nie walczy się z faszyzmem, proponując jego większe dawki, choć akurat liberalne centrum tak to widzi.

Tu dochodzimy do sedna problemu reprezentacji, wszak nie na Platformę Obywatelską oddawałem z tysiącami ludzi swój głos przeciw PiS. Podobno podczas posiedzenia rządu, na którym klepano wizję polityki migracyjnej Tuska, czworo lewicowych ministrów było przeciw. Być może to ten moment, kiedy trzeba zadać sobie pytanie, czy dalsze żyrowanie przez lewicę rządów Koalicji 15 Października ma jakiś inny sens niż pęcznienie politycznego zysku Platformy i Tuska. Może to wychodzi Tuskowi

Jak oglądaliśmy i oglądamy proces pożerania przystawek przez PiS, tak teraz jest moment pożarcia lewicy przez koalicję.

w sondażach, może jest to celny strzał w Kaczyńskiego z jego straszeniem uchodźcami w 2015 r. – ale to nie jest Polska, której chcemy, życzymy sobie czy którą jesteśmy w stanie zaakceptować, my, identyfikujący się z ideałami lewicowymi, z ideałami założycielskimi obecnej Unii i Europy. Bez walki o te prawa nie ma Europy po XX w. Powiedzieć, że nie jest lewicy z Tuskiem po drodze w tej konwencji, to nic nie powiedzieć. Pisałem tu o kłopotach PiS ze znalezieniem swojego kandydata na prezydenta. To już kłopot z głowy – mają Tuska.

Rezygnacja z azylu? Spełnia się marzenie najczarniejszych pisowskich i konfederacyjnych sotni. Niestety, ustępstwa na tym polu nie są mądrością polityczną, są naiwnością, za którą płaci się potem najwyższą cenę. Jak oglądaliśmy i oglądamy proces pożerania przystawek politycznych przez PiS, tak teraz jest moment pożarcia lewicy przez koalicję, która jest tylko maską Platformy. Naprawdę lewica nie musi tej żaby zjadać. I ewentualne non possumus to nie są puste, odklejone i naiwne gesty. Wygrażanie słabszym i zbrojenie się nad wyraz przeciw silniejszym nie jest prawdziwą polityką, lecz w istocie obroną interesów jeszcze innych potęg politycznych i biznesów militarystycznych. Naprawdę już to wszystko przerabialiśmy – nie musimy. Żadnego azylu dla polityki bez azylu Donalda Tuska. ■

Którędy wyciekł tajny referat Chruszczowa?

W założeniu „tajny” stał się tajemnicą poliszynela, numerowane broszurki z jego treścią krążyły po kraju

Andrzej Werblan

25 lutego 1956 r., w ostatnim dniu obrad XX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w Moskwie, na zamkniętym posiedzeniu bez delegacji zagranicznych, I sekretarz Komitetu Centralnego Nikita S. Chruszczow wygłosił niezapowiedziany w programie zjazdu obszerny referat „O kulcie jednostki i jego następstwach”, potępiający zbrodniczy terror panujący pod rządami Józefa Stalina. Zapoczątkował w ten sposób pierwszą fazę destalinizacji.

Trwała ona krótko, ale miała poważne konsekwencje dla Związku Radzieckiego i państw bloku radzieckiego, a także dla ruchu komunistycznego. Referat, traktowany jako tajny, bardzo szybko nabrał wielkiego rozgłosu w całym świecie. W Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich był czytany na zebraniach aktywu partyjnego. Kierownictwa partii komunistycznych z państw bloku otrzymały tekst bez prawa publikacji, ale ze zgodą na zapoznanie „aktywu”. Delegacje zachodnich partii komunistycznych, obecne na zjeździe, zostały o treści referatu poinformowane, tekstu jednak nie otrzymały. Prasa światowa stosunkowo szybko dowiedziała się o wydarzeniu; już po dwóch tygodniach relacjonowała rewelacje Chruszczowa, pełny tekst referatu został opublikowany przez amerykański Departament Stanu USA na początku czerwca. Trochę wcześniej, bo już w maju, w języku polskim referat nadało Radio Wolna Europa i w tzw. akcji balonowej był on masowo ekspediowany do Polski w postaci małej broszurki. Dość



Na XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Nikita Chruszczow wygłosił słynny referat „O kulcie jednostki i jego następstwach”, potępiający zbrodniczy terror panujący pod rządami Józefa Stalina. Moskwa, 25 lutego 1956 r.

powszechnie się sądzi, że tekst referatu Chruszczowa „wyciekł” do amerykańskich służb propagandowych z Polski. Jest to bardzo prawdopodobne, choć źródłowo wciąż niepotwierdzone.

Kierownictwo Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej otrzymało oryginalny, rosyjski tekst referatu w jednym egzemplarzu zaraz po XX Zjeździe, ale pod nieobecność

Bolesława Bieruta, który pozostał w Moskwie z powodu ciężkiej choroby, nie podejmowano żadnych decyzji o upowszechnianiu tego dokumentu.

Bardzo ograniczone grono osób mogło go przeczytać w kancelarii sekretariatu Komitetu Centralnego PZPR. Dopiero 17 marca, już po śmierci i pogrzebie Bieruta, pod rządami nowo wybranego

I sekretarza KC Edwarda Ochaba, kopie rosyjskojęzycznej, oryginalnej wersji rozesłano członkom Biura Politycznego i Sekretariatu KC. Parę dni później podjęto decyzję o zapoznaniu z pełną treścią referatu Chruszczowa wszystkich organizacji partyjnych. Sporządzono polski przekład, wydrukowano kilka tysięcy broszurek opatrzonych klauzulą „wyłącznie do użytku organizacji partyjnych” oraz numerami, jak druki ścisłej ewidencji, i przekazano komitetom wojewódzkim. Po odczytaniu na zebraniach miały być zwrócone i następnie zniszczone. W ówczesnej sytuacji silnego politycznego poruszenia zalecenie to nie było respektowane ani egzekwowane. Referat w założeniu „tajny” stał się tajemnicą poliszynela, numerowane broszurki z jego treścią krążyły po kraju, podobno były do nabycia na bazarach, do dziś pojedyncze egzemplarze znajdują się w posiadaniu bibliofilów. Bez zbytniej trudności zatem niejedynemu egzemplarz mógł trafić do rąk dziennikarzy lub dyplomatów zachodnich.

Nie wynika stąd wszakże, iż Polska była jedynym źródłem „wycieku”. Znamienne, że wersja nadawana przez RWE oraz wysyłana w akcji balonowej była zupełnie innym od sporządzonego w Warszawie, choć wiernym, przekładem na język polski. Stylistyka nasuwa sugestię, że przekładu tego dokonano nie z rosyjskiego oryginału, lecz z wersji anglojęzycznej.

Oczywiście amerykańskie służby informacyjne niezależnie od tego, czy uzyskały tekst polski, czy oryginalny rosyjski, i tak dla ochrony źródła musiałyby w dalszym upowszechnianiu posłużyć się jedynie angielskim przekładem. Źródła pierwotne mogły jednak być różne. Obok polskiego do rozważenia jest kilka jeszcze tropów.

Przed laty, prowadząc w Ministerstwie Spraw Zagranicznych kwerendę archiwalną z 1956 r., zauważyłem interesującą informację nadesłaną przez większość polskich ambasad z państw kapitalistycznych. W kwietniu w ambasadach ZSRR w tych krajach odbywały się zebrania własnego personelu dyplomatycznego oraz zaproszonych kierownictw placówek dyplomatycznych „bratnich”

państw bloku radzieckiego, na których odczytano referat Chruszczowa. Jak widać, tekst ten krążył po całym świecie, mógł zatem „wyciec” w wielu miejscach i na wiele różnych sposobów. Wydaje się, że bezpośrednio po XX Zjeździe samemu Nikicie Chruszczowowi nie zależało na utrzymaniu tajemnicy. Przebywał w Polsce od 15 do 21 marca, uczestniczył w pogrzebie Bolesława Bieruta (16 marca 1956 r.) i w plenarnym zebraniu KC PZPR, na którym wybrano

w walce wewnętrznej, jaka toczyła się na Kremlu.

Parę miesięcy po XX Zjeździe, m.in. wskutek reperkusji owego referatu, szala w tej walce zaczęła się przechylać na stronę przeciwników wszelkiej, nawet ograniczonej de-stalinizacji. W czerwcu 1957 r. neostalinowska opozycja podjęła próbę przewrotu pałacowego i upadkowi Nikity Chruszczowa zapobiegła jedynie zdecydowana interwencja wyższych dowódców armii, dla których

Kierownictwa partii komunistycznych z państw bloku otrzymały tekst referatu bez prawa publikacji, ale ze zgodą na zapoznanie aktywu.

Edwarda Ochaba (20 marca). W tym czasie dał Ochabowi zgodę na zapoznanie z tym referatem całej polskiej partii, co w praktyce wykluczało poufność. 18 marca 1956 r. na spotkaniu z kilkusetosobowym centralnym aktywnym PZPR wylewnie dzielił się treścią, uzupełniając ją szczegółami, i pogodnie komentował doniesienia prasy zachodniej. Był z nich wyraźnie zadowolony, mówił: „Choć raz muszę mnie chwalić!”. Robił wrażenie wręcz zainteresowanego „wyciekami” tego „tajnego” referatu do opinii światowej. Widział w tym zapewne atut

pośmiertna degradacja „generalissimusa” oznaczała wywyższenie i bezpieczeństwo. W tym zamęcie jednakże referat „O kulcie jednostki i jego następstwach” z XX Zjazdu został na długo schowany pod sukno. Przypomniano o nim epizodycznie w okresie XXII Zjazdu KPZR (październik 1961 r.), a bardziej zasadniczo dopiero w czasie pierestrojki pod rządami Michaiła Gorbaczowa.

Niniejszy tekst pochodzi z II tomu zbioru prac prof. Andrzeja Werblana pt. *Prawda i realizm*, wydanego przez „Przegląd”.

WYDARZENIA, KTÓRE ODMIENIŁY LOSY POLSKI

Historia zrywania Polski ze stalinizmem:

- Uwolnienie Władysława Gomułki i prymasa Wyszyńskiego
- Stenogram dramatycznych rozmów Władysława Gomułki z Nikitą Chruszczowem w Belwederze
- Poparcie Wyszyńskiego dla odnowy
- Złote lata kultury

47-zł 17 zł



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Rozmawia Wojciech Tutaj

Zajmuje się pan najróżniejszymi gatunkami i stylami. To świadoma twórcza strategia, ciągle pragnienie wyzwań czy przypadek?

– Można powiedzieć, że czysty przypadek, choć w przypadki nie wierzę. Wydaje mi się, że filmy bardziej do mnie przychodzą, niż sam je wybieram. A gdy jakaś historia trafi w moje ręce, staram się dobrać do niej odpowiednią formę. Biografia Jerzego Kuleja siłą rzeczy nie może wyglądać jak „Mowa ptaków” czy „Apokawixa”, bo jest epickim kinem o dwukrotnym mistrzu olimpijskim. Myślałem przede wszystkim o zrobieniu filmu dla szerokiej widowni, która będzie na nim dobrze się bawić. Część osób przypomni sobie lata 60. i odbędzie podróż sentymentalną, a inni dopiero odkryją te czasy i zderzą się z realiami PRL. Zresztą to tylko jedna z warstw filmu, który opowiada o wzlotach i upadkach młodej pary, jaką byli wtedy Jerzy i Helena Kulejowie.

XAWERY ŻUŁAWSKI

– reżyser i scenarzysta filmowy

Podobno pomysł na film przyniósł Waldemar Kulej, syn Jerzego. Gdzie się zaczyna ta przegoda i jak pan do niej dołączył?

– Od prawie 10 lat jestem związany z firmą Watchout Studio. Pięć czy sześć lat temu do producenta Krzysztofa Tereja zgłosił się Waldemar Kulej. Po obejrzeniu „Bogów” i „Sztuki kochania. Historii Michaliny Wiślockiej” stwierdził, że tylko Watchout będzie w stanie zrealizować biografię jego ojca. Pomysł na film o dwukrotnym złotym medalistrze igrzysk olimpijskich i prawdziwej legendzie polskiego sportu nie pozwalał nam na chwilę zawahania. Około czterech lat trwało napisanie scenariusza, zebranie środków na film i ukończenie go.

Kim był dla pana Jerzy Kulej przed realizacją filmu i czy w ogóle lubi pan boks?

– Kulej oczywiście istniał w mojej świadomości, tak jak w świadomości wielu ludzi interesujących się sportem i śledzących wyczyny polskich zawodników. Widziałem też jego rolę w kultowym filmie „Przepraszam, czy tu biją?”, gdzie grał pokiereszowanego gliniarza. O Kuleju ogólnie było głośno, wszyscy wiedzieli, kim jest. Pod koniec życia komentował nawet walki bokserskie, można powiedzieć, że na

Boks i kino idą w parze

Wierność i troska Heleny pomogły Jerzemu Kulejowi zdobyć drugi złoty medal olimpijski



Xawery Żuławski – (ur. w 1971 r.) absolwent Wydziału Reżyserii PWSFTviT w Łodzi. „Chaos” przyniósł mu nagrodę za debiut reżyzerski lub drugi film w Gdyni oraz Wielkiego Jantara w Koszalinie. Jego największym sukcesem komercyjnym i artystycznym pozostaje „Wojna polsko-ruska”, za którą zdobył wiele wyróżnień, w tym Srebrne Lwy i Paszport „Polityki”. Za „Apokawixę” nagrodzony Złotym Pazurem w kategorii Inne Spojrzenie w Gdyni.

stare lata szukał też swojego miejsca w polityce. Miał charakterystyczny styl mówienia i wyjątkową charyzmę. Prywatnie jestem kibicem boks i innych sportów walki. Z kolei Krzysztof Terej amatorsko boksuje. Pomysł na film trafił więc na podatny grunt. Realizacja tej biografii nie należała do łatwych, ale dość gładko pokonywaliśmy kolejne przeszkody, jakby wspierani przez niewidzialną siłę.

Boks jest atrakcyjny dla kina?

– Boks i kino to dwie dyscypliny, które idą w parze. Jedna i druga sprowadza się do ruchu. Pomyślmy, skąd się bierze walka na ekranie. Właśnie z boks, który jest archetypem, początkiem, korzeniem. Wiele scenariuszy opowiada zresztą o jakiejś walce, której stawką może być życie albo miłość. Gdyby dłużej nad tym się zastanowić, mnóstwo filmów zawiera też sceny bokserskie, czyli sceny walki.

Paradoksalnie w „Kuleju. Dwóch stronach medalu” nie oglądaliśmy aż tak wielu scen z ringu.

– W filmie pokazaliśmy zaledwie 12 z 300 walk, które stoczył Kulej. Razem ze scenarzystą Rafałem Lipskim długo się nad tym zastanawialiśmy, ale odkrywając historię Jurka i spotykając się z jego żoną, zaczęliśmy dostrzegać nową perspektywę. Zaintrygowana nas Helena Kulej jako osoba żyjąca w absolutnym cieniu mistrza. Właśnie dlatego powoli rozbudowywaliśmy w scenariuszu kobiecy punkt widzenia i same walki traciły na znaczeniu. Dodatkowo walki olimpijskie trwają trzy rundy po trzy minuty i ich dramaturgia jest dość skąpa. Trzeba w krótkim czasie zdominować przeciwnika, zebrać punkty i wygrać. Kiedy bokserzy pojedynkują się przez 10 lub 12 rund i mają przed sobą istny maraton do pokonania, wtedy napięcie rośnie i można pokazać wzloty i upadki w ringu.

Zgodzi się pan z tezą, że najlepsze filmy biograficzne obejmują tylko wycinek życia postaci?

– Dużo zależy od oczekiwań twórców wobec filmu. Na początku wybraliśmy z Krzysztofem Terejem lata 1964-1968, o których chcieliśmy opowiadać. Miało to ścisły związek z planowanym charakterem filmu. Jeżeli próbujemy zrobić hit kinowy



Kulej. Dwóch stronach medalu

o wielkim sportowcu, ustalamy, że musi dostarczyć pozytywnych emocji. Bierzymy więc z biografii Jurka ten okres, który zawiera najwięcej jasnych momentów. Im Kulej był starszy, tym więcej odcieni nabierała jego kariera. Pokazując dalsze losy sportowca, rozminęlibyśmy się jednak z naszymi intencjami. Chcieliśmy, żeby widzowie wyszli z kina zbudowani dobrą energią i szczerze wzruszyli się losami Jerzego i Heleny, którzy tworzyli niezwykłą parę. Tę myśl wielokrotnie powtarzał śp. Piotrek Woźniak-Starak, producent i współwłaściciel Watchout Studio. Zależało mu, aby ludzie czuli się lepiej po seansie i wypełnili się dobrymi emocjami. Dzisiaj uważamy, że „Kulej...” to świetny film zarówno na randkę, jak i na wspólne wyjście z rodzicami. Opowieść może zainteresować nie tylko kibiców, ale też ich partnerów.

Wybraliście okres od 1964 do 1968 roku nie tylko dlatego, że Kulej zdobył wtedy dwa złota olimpijskie.

– Chcieliśmy uchwycić młodość i opowiedzieć o młodych ludziach, którzy nie są jeszcze ustawieni w życiu, ale już muszą odgrywać w nim poważne role. Skończyli 23, 24 lata, opiekują się małym dzieckiem i nadal mieszkają z matką. Nie mają własnego miejsca, nie mają też do końca pomysłu na siebie. Nagle Jerzy staje się gwiazdą, wszyscy go dopingują, a do niedawna Kulejowie byli nikim. Dochodzi wtedy do zderzenia osobowości, bo Helena zaczyna walczyć o siebie.

Jak zgłębialiście biografie Kuleja?

– Scenarzysta Rafał Lipski spotykał się z żyjącymi świadkami historii Jurka i rozmawiał przede wszystkim z jego żoną. Czytaliśmy także wszelkie możliwe opracowania i książki, ►

► w których pojawiało się nazwisko Kulej albo Stamm. Interesujące są zawirowania w biografii mistrza. Chcąc boksować i uczestniczyć w zawodach w państwie, które wszystko kontrolowało, Jurek musiał być milicjantem. Reprezentował milicyjny klub Gwardia Warszawa. Związek sportowca z MO otwierał kolejny wachlarz anegdot. Nasz film bazuje na faktach, lecz niektóre pozwoliliśmy sobie uprościć, a inne skomplikować na potrzeby spójnej narracji.

Jurek nie wygrał dwóch złotych medali olimpijskich psim swędem, musiał postawić całe swoje życie na szali i bezwzględnie dążyć do celu.

Wszystkie sytuacje, które pokazujemy na ekranie, wydarzyły się naprawdę, ale niekoniecznie w takim samym kontekście.

Ogromną rolę odgrywa żona Kuleja.

– Od rozmów z nią się zaczęło, choć już po przeczytaniu biografii Kuleja uświadomiliśmy sobie, jak ważna była obecność Heleny. Zastanawialiśmy się, co ona przeszła i dlaczego pominięto ją w szepcanej legendzie Jurka. Kiedy Rafał podpytywał Helenę, czy coś w swoim życiu wygrała, odpowiadała: „No tak, wygraliśmy z Jurkiem parę konkursów

tanecznych”. Helena wspomniała również o zdobyciu korony Miss Balu na Balu Mistrzów Sportu. Udzieliła nawet jakiegoś wywiadu, ale nigdzie nie mogliśmy go znaleźć. Wtedy zrozumieliśmy, że ona żyła głęboko w cieniu Jerzego. Robiąc film, staraliśmy się cały czas myśleć o perspektywie bohaterki. Naszym zadaniem było zrobić z niej prostą dziewczynę, którą sukces męża przerasta, zaskakuje i na końcu jednak buduje, bo odkrywa ona swoją siłę i siłę miłości.

Mimo wszystko to właśnie jej obecność, wierność i troska pomogły Kulejowi zdobyć drugi złoty medal olimpijski.

Film jest atrakcyjnym widowiskiem, ale nie robi z Kuleja superbohatera. Zależało panu na tym, żeby trochę zachwiać jego mitem?

– To podejście wywodzi się od Waldemara Kuleja, który nie pada na kolana przed pomnikiem ojca. Wręcz przeciwnie. Wspomina rodzica z pełną świadomością dobrych i złych momentów. Waldek często powtarza, że tata stawiał boks na pierwszym

miejsu, przed rodziną. Tymczasem my staraliśmy się nie szkodzić Jurkowi. Chcieliśmy go pokazać przede wszystkim jako młodego chłopaka targanego różnymi emocjami. A sam film opowiada o zwycięstwach i wielkim sukcesie polskiego sportu, którego dotąd nie udało się powtórzyć. Zależało nam, żeby to zabrzmiało. Jurek nie wygrał dwóch złotych medali psim swędem, musiał postawić całe swoje życie na szali i bezwzględnie dążyć do celu.

Ekran wypełniają humor, taniec i vitalność. Lata 60. w PRL nie-kórzy wyobrażają sobie zwykle bardziej szaro i pesymistycznie.

– Lata 60. były specyficznym okresem. Nastąpił wtedy rozkwit muzyki rockandrollowej, wybuchła młodzieżowa rewolta, pojawiły się ruchy kontrkulturowe i hipisowskie. W Polsce te zjawiska także miały miejsce, ale zyskiwały inny kontekst niż na Zachodzie. U nas wszystko zaczęło się od protestów studenckich po zdjęciu „Dziadów” z repertuaru Teatru Narodowego. Rok 1968 stanowi kwintesencję młodości i buntu. Sam jestem fanem rock and rolla od czasów nastoletnich, mam więc ogromny sentyment do lat 60. I w trakcie realizacji „Kuleja...” mogłem trochę się wyżyć. Zwłaszcza kiedy kręciliśmy sceny taneczno-muzyczne i korzystałem ze swoich ulubionych piosenek z tamtego czasu.

Wcześniej nie zajmował się pan kinem historycznym. Odtwarzanie PRL było pewnym wyzwaniem?

– Odtwarzanie minionej epoki nigdy nie jest łatwym zadaniem. Kiedy kręcimy film o biedniejszych czasach – w tym przypadku o latach 60. w Polsce Ludowej – musimy być szczególnie ostrożni, używając współczesnych narzędzi. Mam na myśli nie tylko kostiumy i scenografię, ale też sposób opowiadania i prowadzenia kamery. Żyjemy już w tak zaawansowanym świecie i jesteśmy tak przyzwyczajeni do wielkiej dostępności produktów, że trudno było się cofnąć do epoki, w której wielu rzeczy brakowało. Mam jednak nadzieję, że nasz wysiłek sprawi, że widzowie będą mogli odbyć niezwykłą podróż w czasie.

Wojciech Tutaj



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Niemoralna propozycja

Dwie konwencje, jedna po drugiej, Platformy i PiS. Dwa osobne światy, to widać nawet po twarzach. Media liberalne transmitowały obie, pisowskie oczywiście tylko swoją. Połączenie paranoików z PiS z kółkami z Suwerennej Polski – a niech się tączą w obłędzie. PiS jeszcze się ukołtuni. Ujawniono 10 pisowskich przykazań. Na końcu realizacja wielkiego marzenia prezesa – rozliczenie rządów Tuska. Tym żyje prezes, który ma już plany na wprowadzenie dyktatury w Polsce, jak wygra wybory. Rozsierdzony i rozmarzony.

Tusk rozpoczął niebezpieczną grę o rząd polskich dusz, sugerując „zawieszenie w Polsce prawa do azylu” i postawienie tamy imigracji. Obiecując Polakom, że zatrzyma napływ imigrantów, zabiera propagandowe pole prawicy. Rozumiem tych, nie tylko z lewicy, którzy się oburzają. To walka premiera z populizmem przy użyciu populizmu, ryzykowna taktyka. Ale usypiam swoją empatię wobec biednych i prześladowanych, którzy próbują dostać się do Europy przez Polskę. Premier musi też balansować między bezpieczeństwem granic a losem często nieszczęsnych uciekinierów zwolonych przez Łukaszenkę na granicę. Polacy boją się imigracji innej niż ukraińska, a poczucie bezpieczeństwa to miliony głosów, więc Tusk uznał, że ta mała „niemoralność imigracyjna” to kwestia naszej racji stanu. Wszak nie ma przyszłości dla Polski bez klęski PiS, a to, co Tusk proponuje, jest mniejszym złem. Mniejsze zło, jak wiadomo, lubi rosnąć, ale nie jest to nieuchronne. Wędrówki ludów zaś, wymuszane przez zmiany klimatyczne, to przerażająca perspektywa. Mamy tego tylko przedsmak.

Jak posłucha się bredni prezesa, że Tusk wezwał do Polski wojska niemieckie (do powodzi), że będzie kolejny zabór pruski, to jest czego się bać. Znowu ta nienawiść prawicy do polskich elit i oświadczenie prezesa, że tylko ludzie PiS to prawdziwa elita. Inne elity są parszywe, proniemieckie. Czarnek, Błaszczak, Kamiński, Maciejewicz i lud radiomaryjny – oto polska elita. Właściwie bardzo to komiczne. Ale trochę strach się śmiać. Prezes nawołuje, by gryźć trawę, musimy gryźć trawę – woła – walcząc z liberalną dżumą. Już widzę, jak prezes, Czarnek i mój ulubieniec Błaszczak chodzą na czworakach po poblądłej łące i gryzą trawę. Z tego, towarzysze partyjni, mleka nie będzie.

U Krzysztofa Zanussiego, dom na pograniczu Puszczy Kampinoskiej, wielki leśny ogród, zmierzch. Wnętrze tego

obszernego domu, pełnego tajemnych zaułków, pogrążone w półmroku. Jest wśród gości jeszcze prof. Jerzy Bralczyk. W domowym kinie oglądamy ostatni film reżysera „Liczb doskonała”. Wcześniej powitanie z żoną, która nie może chodzić, więc leży w półmroku, w białej pościeli, w burzy siwych włosów, podaje serdecznie skuloną dłoń, to wszystko pachnie jakąś sztuką Czechowa. Potem kolacja przy dużym, okrągłym stole, w wielkiej oranżerii, gdzie sufit znajduje się wiele metrów nad drewnianą podłogą i są nawet kolumny, ale chyba nie z marmuru, wszędzie pną się rośliny, niektóre już wiekowe. W kominku płonie ogień, przy nim gruby kot i taki pies. Rozmawiamy o życiu i śmierci, o sensie i bezsensie istnienia, o tym też jest obejrany film. Cytowane świetne słowa jakiegoś papieża: „Bóg, wyganiając Adama i Ewę z raju, zostawił im orgazm, by wiedzieli, co tracą”.

Obiecując Polakom, że zatrzyma napływ imigrantów, Tusk zabiera propagandowe pole prawicy.

Miałem mieszane uczucia, film zdawał mi się za bardzo ilustracyjny. Ale z filmami tak bywa, niektóre ogromnie się podobają, po czym po kilku dniach wiadną, z tym filmem jest inaczej, krzepnie w pamięci. Dla mnie obraz uzyskał nagle drugie, przejmujące dno. Mało znany młody aktor, który grał obok Andrzeja Seweryna, to Jan Marczewski. Zdawała mi się znajoma jego ładna, delikatna twarz. Potem z rozmowy dowiaduję się, że to syn Doroty, jakże podobny do mamy, zmarłej niedawno, tak mi bliskiej wiele lat temu. I myśl, że gdybym nie podjął wtedy pewnej decyzji, nie byłoby go na świecie. Milion zbiegów okoliczności pracuje na każde zdarzenie, o tym też rozmawialiśmy.

Film nie został zakwalifikowany na festiwal w Gdyni, reżyser mówi o tym z bólem, przeżył traumę i prezentuje go znajomym, by pokazać, jak został skrzywdzony. Dostał cios w puencie swojego życia. Był mitem mojego pokolenia, a od roku 2000 cisza lub pisze się o nim krytycznie i bez entuzjazmu. Ma 85 lat, jest w genialnej formie intelektualnej, głos niezmienny i nadal jest bardzo podobny do siebie. Więcej nie mogę pisać, bo okazuje się, że prof. Jerzy Bralczyk, który jak zawsze w rozmowie genialnie obnaża korzenie słów i ich źródła, czyta PRZEGLĄD. To jest polska elita, a nie Kaczyński, Błaszczak i Mejza. ■

Rozmawia Rafał Piłkuła

Po „Sezonie na truskawki” i „Frajdzie” czas na jeżyny, dynie, cierpkie winogrona? Na „Babie lato”?

– Po opowieści o wiośnie kobiecości, gdy ta kiełkuje, czas na jesień, tę wczesną jesień, gdy życie ma dojrzały smak. „Babie lato” to książka, która nie narodziłaby się w 25-letniej dziewczynie. Tamta dziewczyna napisała „Małża”. Także kobieta przed czterdziestką, która napisała „Frajdę” – opowieść o ludziach, którym wciąż wydaje się, że są nieśmiertelni – nie nosi w sobie „Babiego lata”. Ta opowieść musiała poczekać, dojrzeć. Wymagała ode mnie przejścia w kolejny etap, w którym jest miejsce na akceptację przemijania, starzenia się, zrozumienia kruchości bytu. Pisałam „Babie lato” w czasie pandemii, zaraz po niej i w momencie wojny tuż obok, gdy poczucie kresu, śmierci stało się jeszcze mocniejsze. Pandemia i wojna to doświadczenia formacyjne dla naszego pokolenia. Wielu osobom bardzo zmieniły myślenie. W tym czasie odeszło kilka bliskich mi osób. Sama byłam chora na dziwne choroby, doświadczyłam przykrych stanów i lęków.

Ale zostałaś także babcią, weszłaś w nową kobiecą rolę.

– Tak, pojawiła się osoba, która mówi do mnie: babciu. Zaczęłam uczyć się tej nowej roli, zonglować słowem babcia, baba, słowem, które obrosło wieloma stereotypami i budzi konkretne skojarzenia, stąd „Babie lato”. Wychowałam córkę, która ma teraz córkę, a ja jestem babcią. Czuję, że przechodzę w stan, w którym nic nie muszę. Z niewiasty staję się wiedźmą, czyli tą, która wie.

Czy można być wiedźmą, tą, która wie, bez doświadczenia bycia matką?

– Można, można dojść do tego innymi drogami. Nie musisz mieć doświadczenia macierzyństwa, by być dojrzałą, świadomą kobietą. Możesz rodzić metaforycznie, np. dając światu swoją twórczość. Możesz dawać wsparcie innym,

JESZCZE W ZIELONE GRAMY

Czyli miłość dojrzała

MARTA DZIDO

– pisarka i reżyserka, autorka zbioru opowiadań „Babie lato”



uprawiać siostrzeństwo, dzielić się doświadczeniem. Kobiecość to przecież też rozwój duchowy, tworzenie wspólnoty, do której nie są niezbędne więzy krwi. Żyjąc, nadpisujesz różne formy kobiecości, jesteś więc i dziewczynką, i młodą kobietą, i dojrzałą panią. Możesz być wszystkimi naraz. Zrozumiałam to, pisząc „Babie lato”. Wchodząc w kolejne etapy, wcale nie rozstałam się z poprzednimi wersjami siebie. Tamta dziewczynka, którą dawniej byłam, wciąż jest we mnie. To tak jak z drzewem, gdy patrzysz w przekroju na pień, widzisz słoje. Podobnie jest ze mną – obrastam w warstwy.

Czyli nie ma żadnej grubej kreski?

– Jest taka pierwotna figura bogini uosabiającej kobiecość, składa się z trzech postaci: młodej dziewczyny, dojrzałej kobiety i staruszki. Ja identyfikuję się z tą świętą trójcą jak najbardziej. Ale oczywiście każdy ma swój sposób przeżywania tych etapów i nie jest moją rolą mówienie, że coś jest tylko dla młodej dziewczyny, a coś tylko dla staruszki. Zresztą u mnie to zawsze było płynne, bo

zostałam mamą bardzo wcześnie, mając 19 lat, a babcią już wieku 41 lat. Bardzo możliwe, że zostanę i prababcią. Kolejne etapy mojego życia następowały szybko po sobie, więc siłą rzeczy musiałam dojrzeć. Dało mi to jednak ogromną siłę. Pierwsze książki pisałam, wykradając czas pomiędzy obowiązkami domowymi i opieką nad dzieckiem a studiowaniem, które jeszcze musiałam łączyć z pracą, by się utrzymać. To mnie zbudowało jako pisarkę i jako kobietę.

Dziś pisanie książki jest projektem, życie jest projektem, wszystko zapisane i zaplanowane. „Baby, oto moja tajemnica wiary, wielka jest, wreszcie umiem latać”. Tak piszesz w książce. Czujesz się wolna?

– Zawsze miałam apetyt na życie, dużo robiłam, by nie dać się stłamsić, wtłoczyć w ramy. Wiele rzeczy mnie fascynowało, ciekawiło, pielegnowałam swoje marzenia, starałam się je realizować. Dalej chcę żyć pełnią życia, ale nie skupiam się na tym, że coś muszę. Dlatego „Babie lato” można odczytywać jako opowieść o wyzwoleniu. Rób to,

czego pragniesz, nie rozmieniaj się na drobne.

Czyli, pisząc tę książkę i dojrzewając do niej, poczułaś, że już nic nie musisz? Jesteś kobietą spełnioną?

– Uczucie spełnienia towarzyszy mi od jakiegoś czasu, czuję, że mam coraz więcej swobody, możliwości wyboru, ale też umiejętności odpuszczania, nienapinania się. Myślę, że jest to wspólne dla ludzi, którzy osiągnęli w życiu moment, w którym np. wypuścili dzieci w świat. I jeśli mają to szczęście, że są w tym momencie zdrowi, sprawni, czemu by mieli sami w ten świat się nie wypuścić?

Wiele kobiet po 40. roku życia uświadamia sobie, że nic nie muszą. Jednak są i takie, które przerwają to stawanie się niewidzialnymi.

– Tak, wiemy już, że nie jesteśmy wszechmogące, zdajemy sobie sprawę z własnej kruchości, widzimy swoje blizny. Każda z tych blizn to jednak jakaś historia, jakaś opowieść, przeżycie. Ja widzę w tym siłę, doświadczenie, które przekuwam w moc. Owszem, z wiekiem stajemy się niewidzialne, niezauważalne i to może być oczyszczające. Mniej jesteśmy narażone na niechciane zaloty, na zaczepki, na ciągłe obserwowanie. Możesz czuć się swobodnie.

Tym samym twoja książka uderza w powszechny kult młodości.

– Tak, bo starość, czy raczej dojrzewanie, przydarzy się każdej z nas i to może być piękne. Opowiadam o tym, że wraz z utratą (energii, świeżości, sprężystości) przychodzi coś w zamian (mądrość, dystans, siła ducha płynąca z doświadczeń). Kobieta, stając się niewidzialną, ma tę przewagę, że nie bierze już udziału w wyścigach, konkursach piękności, zgrabności, powabu. Jej dobrostan, samopoczucie są o niebo lepsze niż kondycja psychiczna pięknie wyfiltrowanych osób, które swój nastrój uzależniły od liczby serduszek pod zdjęciem.

Starość kojarzy się z mądrością, ale obserwuję, że szacunek do tej mądrości jest coraz mniejszy. Powszechne jest kpienie z osób starszych, wyzywanie od boomerów.

– Faktycznie ludzie starsi przestali być autorytetami, a jeśli chodzi o wiedzę, to one nigdy nie były powszechnie szanowane, wręcz

przeciwnie, rozprawiano się z nimi brutalnie, bo stanowiły zagrożenie dla patriarchalnego ładu. Inna rzecz, że stajemy się społeczeństwem osób starszych. I warto się z tym oswajać.

Twoje opowiadania uderzają także w tony publicystyczne: zahaczasz o Strajk Kobiet, o aborcję, gwałt, chorobę nowotworową. O tych trudnych sprawach nie piszesz jednak wprost, to opowieści raczej liryczne, poetyckie wręcz. Dlaczego tak o tym opowiadasz? Budujesz sobie dystans?

– Gdybym chciała uprawiać publicystykę, pisałabym felietony do gazet. Literatura w moim przekonaniu polega na tym, że staram się opowiadać coś, co ma ponadczasowy wymiar, jest uniwersalne, ma piękną formę. Nie chcę mówić wprost, jednoznacznie, bawić się w dosłowności, wolę czerpać z bogactwa języka.

Jak piszę o Strajku Kobiet, to w żadnym miejscu nie pada nazwa protestu, ale myślę, że każdy polski czytelnik wie, o co chodzi. Nie piszę wprost o nowotworze, ale o doświadczeniu choroby, lęku. Moje pisarstwo to pewnego rodzaju

Stajemy się społeczeństwem osób starszych. I warto się z tym oswajać.

gra z wyobraźnią, z poezją, z metaforą. Jest po to, żeby uruchamiać w ludziach emocje. Jeśli to do kogoś trafia, to dobrze.

Lubię się bawić tym wszystkim, co nam język polski przynosi, i tym wszystkim, z czego ja się składam. Z piosenek, przysłów, cytatów, powiedzonek, zabaw słownych, popkultury, ze zdań, które od dzieciństwa siedzą we mnie wryte, nauczone na pamięć, z wierszyków, lektur szkolnych, różnych treści zasłyszanych, zapamiętanych, przetworzonych. **Jerzy Pilch mawiał, że pisze i myśli pełnymi zdaniami, Marta Dzido myśli zdaniami...**

– ...pełnymi, ale też urwanymi, poszarpanymi, fragmentami. Ogromną radość sprawia mi znajdowanie formy dla moich myśli. Jak mówiłam, lubię bawić się językiem. To nie są opowiadania z których łatwo można

zrobić serial na Netfliksa, raczej jakieś kino arthouse'owe.

Nie lubisz, gdy klasyfikuje się twoje książki jako literaturę kobiecą.

– Tak, bo literatura jest albo dobra, albo zła, a nie męska czy kobieca. Co niby ma znaczyć literatura kobieca? Że napisana jest przez kobietę, czy może to, że podejmuje kobiece tematy? A kto decyduje, jakie tematy są kobiece, a jakie męskie?

Ten podział jest sztuczny i przede wszystkim szkodliwy. Wyrasta z niego cały nurt maczystowskiej literatury, gdzie bohater pije i uwodzi.

– Jest silna romantyzacja takich bohaterów, ale i autorów, którzy przecież walczą z demonami. Ta cała literatura wpędza wielu męskich czytelników w kolejny kanał i chore wzorce. Kobiety wyzwoliły się z toksycznych narracji, a mężczyźni wciąż są w procesie.

Kobiety bardziej się wspierają, mężczyźni częściej zostawieni są sami sobie.

– Bardzo przyklejamy się do swoich łańcuchów, ról. Nie potrafimy wydobyć się ze schematów. Ja uważam, że przede wszystkim jesteśmy ludźmi,

polecam każdemu spróbować wyjść poza tę oczywistą binarność, balansować. W jednym opowiadaniu z tomu „Babie lato” kobieta odkrywa w sobie jedność z naturą, jej ręce stają się gałęziami, w żyłach zaczyna płynąć żywica, włosy zmieniają się w nici babiego lata. Jednoczy się z przyrodą, wychodzi poza kulturę, która jest zbiorem zakazów i nakazów.

Nie dostrzegamy tego świata, gdzie rosną poziomy i słyszą tylko wiatr.

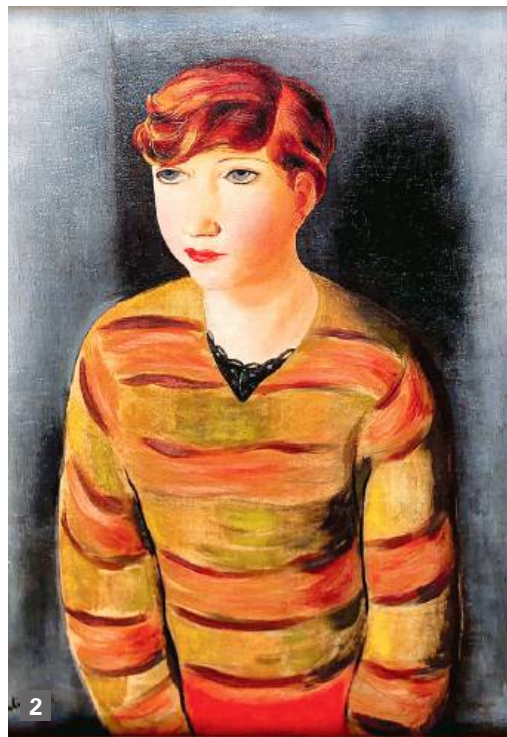
– Gdy miałam dwadzieścia kilka lat, wołałam miasto, gdzie dużo się działo, gdzie była energia. Teraz coraz częściej uciekam do natury, leżę na leżaczku i po prostu patrzę na płynące leniwie chmury, na niebo – to film, którego nie pokażą w żadnym kinie, w żadnym smartfonie. Cieszę się czasem, cieszę się latem, nawet jeśli jest to już babie lato. A może tym bardziej, właśnie dlatego, że jest ono babie. ■

Daniel Wójtowicz

Mojżesz Kisling jest dla nas, Polaków, doskonałym kandydatem na idola, swego czasu bowiem w Paryżu właśnie jego jako jedyne go twórcę znad Wisły równano z Pabłem Picassem, który zresztą sam ocenił, że „Kisling jest malarzem wielkim”.

Paryż w początkach XX w. był zachwycony Kislingiem. Współczesna mu rzeźbiarka Chana Orloff orzekła, że malarz „przynosi zaszczyt naszej epoce”. Zapraszany był na większość paryskich saloonów malarstwa. Uznano go za jednego z twórców École de Paris i jednocześnie, w rozrywkowym znaczeniu, za księcia Montparnasse’u. „To mój najlepszy klient”, miał stwierdzić Victor Libion, założyciel słynnej w tamtych czasach knajpy La Rotonde. Malarz zadowolony był we wszystkich ważniejszych lokalach tej dzielnicy, które wypełniali artyści znani dziś z podręczników o sztuce XX w. Uchodził za duszę towarzystwa, wesołego hulakę. „Bardzo kocham tego malarza, ale jeszcze bardziej kocham tego pijaka”, żartował Charley Iles, słynny kłown z paryskiego cyrku. Jedno i drugie wcielenie złożyło się na wielką popularność Kislinga czy wręcz mit barwnej postaci, legendy paryskiej bohemy. Artysta umiał jednak utrzymać nad sobą kontrolę i nie przekraczać granic w nocnym życiu. Codziennie rano sumiennie zasiadał do sztalug i tworzył obraz za obrazem.

Villa La Fleur w podwarszawskim Konstancinie, stylowe muzeum prywatne w rezydencyjnej okolicy, zaaranżowała bodaj pierwszą w historii przekrojową wystawę malarstwa Mojżesza Kislinga (ur. w 1891 r., zm. w 1953). Ekspozycja gromadzi 150 dzieł artysty pochodzących ze zbiorów własnych oraz ściągniętych z różnych muzeów Europy i z kolekcji prywatnych. Otwierają ją krajobrazy, w których malarz nawiązywał do



Kislinga obrazy kobiety

Codziennie rano
sumiennie zasiadał
do sztalug i tworzył
obraz za obrazem

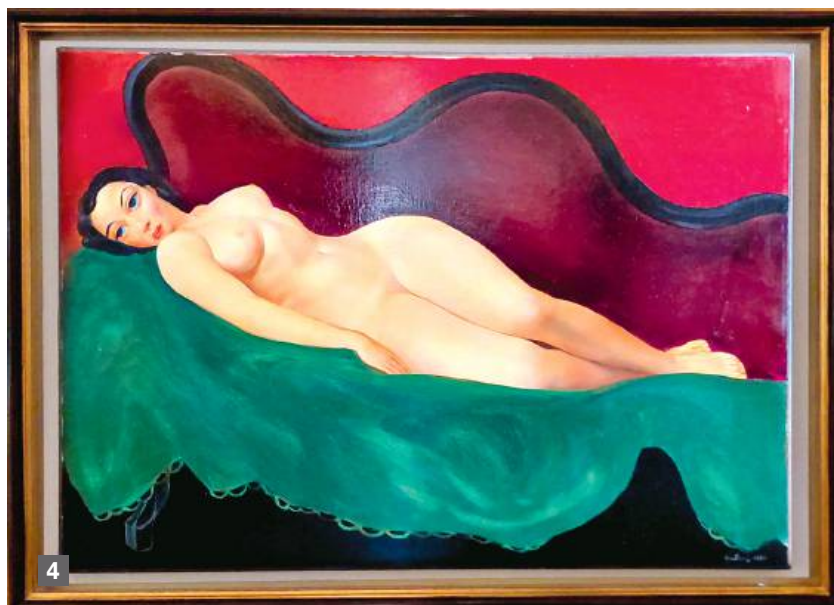
ulubionego Cézanne’a, ale nie pozostał mu długo wierny. Przybliżając się do Picassa i otaczających go kubistów, szybko dokonywał zauważalnej geometryzacji brył, co nadawało obrazom oryginalność. Szedł z wiatrem, ale własnym kursem. W pejzażach nadmorskich miejscowości południa Francji dokonywał nienaturalnego rozjaśnienia palety barw, co czyniło obrazy bardziej eterycznymi

i magicznymi. „Brawo, Kisling i jego brawurowe malarstwo”, wykrzyczał Georges Braque, współtwórca kubizmu.

W dalszej kolejności Moïse Kisling (jego imię nabiera w tym czasie już francuskiego brzmienia) na warsztat malarski bierze akty.

W tamtych czasach malowanie, jak i oglądanie aktów musiało być ekscytujące, jako że działo się to na granicy obyczajowości. Wystawa z aktami autorstwa przyjaciela Kislinga, Amedea Modiglianiego (obaj malarze we wspólniej pracowni malowali te same modelki, tymi samymi pędzlami), została w 1917 r. z hukiem zamknięta przez policję, pod zarzutem obrazy moralności. Dziś nie znaleźlibyśmy żadnego uzasadnienia takiej oceny.

Akty Kislinga wydają się spokojne i powściągliwe, podporządkowane ukazywaniu piękna. Widać, że one również odchodzą od ścisłej dosłowności dawnej szkoły malarstwa i koncentrują się na znajdowaniu skrótów, które prowadzą do syntezy obrazu. Tak jakby artysta mówił do oglądających: wytłumaczę wam, co mi się w niej podoba. Wygląda na to, że malarskie zainteresowanie Kislinga kobietami było



1. Dziewczyna w apaszcze (1939)
2. Dziewczyna w pasiastym swetrze (1935)
3. Akt (1927)
4. Akt na kanapie (1950)

ściśle związane z jego miłością do płci pięknej. „Kocha brunetki, kocha blondynki i wszystkie piękne kolory”, miał podsumować współczesny mu malarz Per Krohg.

Ale kwintesencją malarstwa Kislinga są nie akty, lecz portrety. W muzeum Villa La Fleur możemy ich zobaczyć kilkadziesiąt – barwnych, zróżnicowanych i kryjących jakąś zagadkę. Choć wykonał je zdeklarowany miłośnik kobiecych wdzięków, są bardzo spokojne, układne, pozbawione erotyzmu czy zalotności obrazu. W wielu autor dużo uwagi poświęcił regionalnym strojom z rodzinnych stron modelek: z Bretanii, Rzymu, Holandii, Rumunii, czy charakterystycznym elementom ubioru: koronkom, ozdobnym chustom i szalom. To piękne kompozycje, ale dość zwyczajne. Znamy twierdzą, że w taki sposób nawiązywał do malarstwa klasycznego, podtrzymując do słowność obrazu. Do czego zatem zmierzał w swojej twórczości, skoro ambitnie zaliczał siebie do tych, którzy światowe malarstwo mają całkowicie odmienić?

Wybrane na wystawę portrety ukazują, że Kisling poszedł w stronę wnikliwej, nowatorskiej analizy twarzy, zwłaszcza kobiecej. Efekt

wzmacnia zastosowanie specyficznej sztuki malowania, zwanej – jak czytam w fachowych komentarzach – modelowaniem walorowym, sprzyjającej uproszczeniu wizerunku, kontrastowaniu i uwypukleniu jego najistotniejszych cech. Kobiety portretowane przez Kislinga w większości nie są bezsprzecznymi pięknościami – raczej się mówi, że mają urodę nietypową, oryginalną.

Można odnieść wrażenie, że malarz postawił sobie pytanie o kształt piękna i jego granice.

Zauważam, że i żona Kislinga, Renée, miała twarz odległą od standardów kobiecości, trochę jakby męską.

Można odnieść wrażenie, że malarz postawił sobie pytanie o kształt piękna i jego granice. Co decyduje, że daną twarz uznajemy za piękną, a od którego momentu ona taką być przestaje? Gdzie w twarzach normalnych, powściągliwych i subtelnych kobiet ulokowana czy ukryta jest prawda o ich seksualności? Pełnego temperamentu i doświadczonego mężczyznę musiało to intrygować. Kto wie, może całe

malowanie było dla Kislinga odśrogoną jego flirtu z kobiecością? Wiele na to wskazuje.

W każdym razie dla nas swobodna i śmiała interpretacja oglądanych obrazów, rozwiązywanie pojawiających się przy tym zagadek jest zawsze uatrakcyjnieniem wizyt w galeriach. Villa La Fleur ekspozycją prac Kislinga pretekstów do tego daje sporo.

PS Dla miłośników kwiatów gratką będą róże, bratki i dalie widziane oczami artysty. Obrazowanie kwiatów stało się drugą jego specjalnością. Obie zresztą łączył. „Wszystkie kwiaty są piękne, a ponieważ jestem również malarzem kobiet, lubię tak samo rudowłose, blondynki i brunetki”, powie w wywiadzie dla francuskiego radia.

Kisling. Lśnienie Montparnasse'u
Villa La Fleur
Konstancin-Jeziorna, ul. Szpitalna 14/16
do 31 stycznia 2025

Listy bez odpowiedzi

„Pragnienie życia kryje się w rozpacz”, pisze Maria w ostatnim (?) liście do ukochanego. Pisze do niego uporczywie przez całe życie, mimo że mężczyzna jej nie odpowiada, zmienia adresy i milczy. Ona jednak nie ustaje, ani przez chwilę nie żywiąc nadziei, że się spotkają i zejdą. Zresztą ułożyła sobie życie, ma dobrego męża, którego nie kocha, i dzieci, które kocha. Pnie się po szczeblach kariery, jako ceniona pediatra zostaje ordynatorem. Ale szczęścia nie zaznaje. On też nie, wciąż szuka sobie miejsca, a choć odnosi sukcesy finansowe, niesie przez życie poczucie niespełnienia. Oboje nie wiedzą, dlaczego tak się stało. Tak czy owak, los nie będzie dla obojga łaskawy, bo to los jest głównym bohaterem powieści Wiesława Myśliwskiego „Ostatnie rozdanie”.

Ta głęboka psychologiczna opowieść z licznymi warstwami obserwacji społecznych to prawdziwa przygoda czytelnicza – w teatrze niełatwa do przekazania, zwłaszcza jeśli z dramatu dwojgą pozostanie tylko Ona. Bo wprawdzie w monodramie Grażyny Barszczewskiej pojawia się także jej Ukochany (Andrzej Seweryn), ale tylko na nagraniach wideo. Niemal idealna postać kobiety zakochanej na wieki groziła powołaniem do istnienia bohaterki nieznośnie sentymentalnej. Tymczasem Barszczewska potrafiła z nostalgicznych i cieplejszych tonów listów Marii wydobyc portret kobiety stęsknionej za pełnią życia, ale przecież ze swoim życiem pogodzonej.

Artystka nie pierwszy raz obcuje na scenie z prozą Myśliwskiego – przed kilku laty dała mistrzowski duodram „Niezatańczone tango” (2017), też zrealizowany w Teatrze Polskim, wspólnie z Dominikiem Łosiem. Teraz czyni krok dalej w kierunku teatru jednoosobowego, zachowując jednak szansę choćby tylko pozorowanego dialogu z adresatem listów. Odpowiada to zresztą strukturze powieści, w której mężczyzna nigdy nie decyduje się odpisać ukochanej, tak więc jego obecność na scenie pozostaje iluzją.

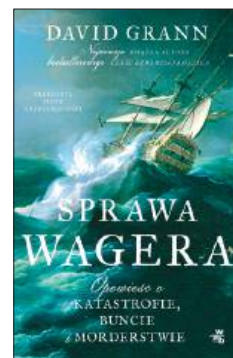
Tomasz Miłkowski



Wiesław Myśliwski, „Kochany, najukochańszy”, scenariusz Grażyna Barszczewska, reżyseria Magda Umer, Scena Kameralna Teatru Polskiego im. Arnolda Szyfmana, premiera 26 września 2024

David Grann
Sprawa Wagera
tłum. Piotr Grzegorzewski
W.A.B., Warszawa 2024

Wojna o ucho Jenkinsa – brzmi to zgola komediowo. Ale ten konflikt brytyjsko-hispański, zapoczątkowany w 1738 r., toczony tak naprawdę nie o pomstę krzywdy kapitału statku ani o honor mocarstwa, lecz o zyski z handlu, przełożył się na zupełnie niepotrzebną męczarnię i śmierć setek ludzi. Były to czasy, gdy szkorbut na okrętach zbierał straszliwe żniwo, a profesjonalizacja marynarki wojennej następowała dopiero po zrelacjonowanych tu wydarzeniach. Gdy komodora Ansona wysyłano z misją opłynięcia przylądka Horn i obrabowania hiszpańskiego galeonu, załogi jego eskadry, w tym Wagera, kompletowano z łapanek.



NA POWAŻNIE



Adolphe Adam, „Giselle”, kierownictwo muzyczne Andriy Yurkevych, opracowanie klasycznej choreografii Zofia Rudnicka, Teatr Wielki w Łodzi, premiera 12 października 2024

Klasyczna delikatność Giselle

Kto chce zobaczyć balet absolutnie klasyczny, niech jedzie do Łodzi. Historia nieszczęśliwej miłości pięknej wieśniaczki opowiedziana jest bez jednego słowa, tylko tańcem na puentach. Gdy uczucia się rozwijają, książę Albert podnosi Giselle, jednak kiedy dziewczyna dowiady się, że partner ją oszukał, pada martwa. Reszta opowieści odbywa się wśród duchów. Piękno, romantyzm, wdzięk ruchu. Rewelacyjni soliści.

Bronisław Tumiłowicz

Już sam ten opis jest szokujący, wręcz oskarżycielski. „Jedynym bezstronnym świadkiem było słońce” – tak zaczyna się niezwykle sugestywna opowieść o rozbitkach z Wagera. Ci, którzy ocalili i cudem wrócili do kraju, przedstawiali korzystne dla siebie wersje zdarzeń. Grann (autor „Czasu krwawego księżyca”) starał się, jak zaznacza, oddać racje wszystkich stron i jeśli chodzi o postacie, to mu się udało. Książkę jednak czyta się jako oskarżenie właśnie – koszt ekspansji kolonialnej to wyniszczanie rdzennych ludów, „dzikusów” traktowanych z niczym nieuzasadnioną wyższością, ale też szafowano ludzkim życiem w ogóle. Dla bogactw i nietrwałego w sumie mitu.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała
Agata Gogólkiewicz

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Końska dawka Chełmońskiego

Nieprawdopodobne tłumy weekendowe na wystawie Chełmońskiego – ja rozumiem, że ludzie w tygodniu nie mają czasu, żeby pójść do muzeum, ale nie daję wiary słowom Bywalczyń, że tak to wygląda zawsze w sobotnie popołudnia. Działka Chełmońskiego, to jest malarstwo oswojone, wszyscy znamy tych kilka płócien kanonicznych od kotłyski; Polak słyszy: obraz polski i jeśli nie staje mu przed oczyma „Bitwa pod Grunwaldem”, widzi „Babie lato” albo „Bociany”. W dodatku Chełmoński od Matejki zdolniejszy i wszechstronniejszy, no i nie dość, że arcykowski, to arcychłopski.

Jest zatem to stadne wizytowanie wystawy także pokłosiem nowej chłopomanii, którą zbudował nurt historyczno-reportażowy w naszej literaturze, zwieńczony niebywałym sukcesem „Chłopek” Joanny Kuciel-Frydryszak. Ludowe rewizje historii Polski spod pióra Kacpra Pobłockiego czy Adama Leszczyńskiego, naświetlające chłopskie korzenie społeczeństwa i wypartą traumę pańszczyzny, też zrobiły swoje. PiS próbowało zaszczerpić w narodzie modę na chamsko; lewica sprytniej, subtelniej i skuteczniej przekształciła to w modę na chłopstwo – jak się kiedyś grzebało w pamiętkach rodzinnych, szukając szlacheckich protoplastów, tak teraz każdy z dumą przywołuje swoich dziadów świniopasów. Tym razem już nie wiadomo, czy ludziska przychodzą do galerii się „odchamić”, czy „dochamić” właśnie, rozpoznając w którymś parobczaku malowanym swojego praszczura. No i malowana wersja Reymontowej epopei (z niezapomnianą, zjawiskową Kamilą Urzędowską w roli Jagny) gęsto korzystała z kanonu malarskiego, ożywiając najśłynniejsze płótna – to już dość powodów, by wytłumaczyć popularność ekspozycji w Muzeum Narodowym.

Ciżba w salach jest spotęgowana ciżbą namalowaną przed karczmami, na targach, folwarkach, nie ma gdzie przysiąść, do obrazów trzeba się przedzierać, a i tak tylko na chwilę, bo zaraz ktoś mruknie złowrogo, że też by chciał, że teraz jego kolej – tłum tych obrazów nie ogląda, lecz się w nich przegląda z przejęciem. Czy sobie pastereczka leży beztrósko, czy się rodzina ewakuuje z pola przed burzą – mam wrażenie, że to teatrum ludowe jest podziwiane, by tak rzec, tożsamościowo, tym bardziej że to chłopstwo podolskie malarz portretował

najchętniej – nasza największa mniejszość narodowa również wystawę nawiedza.

Poza ludowymi scenkami rodzajowymi jest dość monotonna, zwłaszcza za sprawą zaprzężonych trójek, czwórek i truchającej kawalerii; konie się najlepiej sprzedawały, to je artysta malował na potęgę, drugie piętro Muzeum Narodowego to teraz jedna wielka stadnina, Michałowski i Kossaki mogą się schować, takiej końskiej dawki jeszcze tu nie aplikowano. Do tego psy w zaiste nadzwyczaj precyzyjnych studiach zwierzęcej psychologii, działka się cieszy, bo rozpoznaje Azorka lub Korka, jeśli nie w rasie, to w ruchach i spojrzeniach – tyle że te psy to głównie do nagonki lub aportowania upolowanego drobiu.

Był Chełmoński perfekcyjnym warsztatowo nuzdżarzem – jeśli gdzieś w tych obrazach dopatrywać się tajemnicy, to chyba w jednym „Wieczorze letnim” z 1875 r., o nastroju bez mała strindbergowskim: zrezygnowane dziewczę siedzi u okna i spogląda w pół-

Tym razem już nie wiadomo, czy ludziska przychodzą do galerii się „odchamić”, czy „dochamić” właśnie.

mrok za otwartymi drzwiami, gdzie majaczy męska postać, w progu zaś czuwa mefistofeliczne czarne psisko. Nostalgia za bezpowrotnie utraconą przestrzenią mogą też budzić niezabudowane pustkowia w tle – zobaczyć dziś łań po horyzont nie sposób, za to gdziekolwiek spojrzeć, łańowe osiedla się ścielą.

Na stare lata malarz się uduchowiał, w tym czasie powstał m.in. bogoojczyźniany arcykicz „Pod Twoją obronę”: kontur Madonny z Dzieciątkiem na chmurze nad miasteczkiem, wyjątkowo jaskrawy przykład tego, jak wiara może przynieść talent. Ale ludność wychodzi zadowolona, bo lubi piosenki, które zna, i obrazy, które pamięta – tu dostała je masowo, nerw patriotyczny został połączony, komentarze kuratorskie były przystępne i zrozumiałe na poziomie gimnazjalnym. Wystawa ma przewędrować jeszcze przez Poznań i Kraków – być może tam odezwie się jakiś dyskurs krytyczny, który pozwoli spojrzeć na chełmońszczyznę z ukosa.

Alessandro Leogrande

Aamir był jednym z pierwszych, którzy przebyli trasę przez Bałkany. Z Grecji dotarł do Węgier, nie przechodząc przez Włochy. Od razu po tym, jak go poznałem, dał mi plik spiętych kartek w plastikowej koszulce. Zawierały historię jego podróży. Napisał ją najpierw po persku, a potem za pomocą słownika przetłumaczył na włoski. Zabrało mu to dużo czasu. Linijka po linijce, strona po stronie opowiadanie potoczyło się w innym języku. Spróbował swoich sił w tłumaczeniu, aby uwolnić się od ciężaru przygniatającego mu pierś. Ale również aby przekazać „innym” to, co przeżył, tym, którzy będą chcieli słuchać go po tej stronie świata.

Spędziłem wiele wieczorów na czytaniu raz po raz kartek spisanych przez Aamira po włosku. Próbowałem wyobrazić sobie trasę, jaką przebył autor, na mapach geograficznych próbowałem umiejscowić skoki w przód i kroki w tył, razy, kiedy musiał zawracać, i razy, gdy groziła mu śmierć.

Choć ma niewiele ponad 20 lat, Aamir przeszedł przez wiele światów i wiele żyć. W podróży jedynie ledwo zahacza o Patras. Omija to greckie miasto, aby dotrzeć gdzieś indziej. Ale przede wszystkim zaczyna się dużo wcześniej. Podczas gdy przekartkowuję zapiski, dochodzi do mnie, że wyruszył w 2010 r.

Aamir urodził się w jednej z tych wielu rodzin afgańskich, które wyemigrowały do Iranu podczas niszczącej ich kraj wojny i które były stopniowo zsuwane na margines społeczności irańskiej. Tacy jak on, należący do drugiego pokolenia uchodźców, zarzucają ojcom, że wybrali właśnie to państwo jako cel emigracji. Dla nich irańska rzeczywistość stała się nie do wytrzymania. Składają się na nią bezlitosny, przewijający się wszędzie rasizm, dotkliwie, złożone formy apartheidu, które ograniczają dostęp do szkolnictwa i rynku pracy. Są uważani za obywateli drugiej kategorii, choć przecież mówią i piszą po persku. I to właśnie temu językowi, jako pierwszemu, powierzył Aamir swoje wspomnienia.

Jedna z zasad ucieczki: po dotarciu do Grecji ponton, na którym się przypłynęło, należy przekłuć i schować, dzięki czemu policja ich nie odkryje. Lesbos, 2 marca 2020 r.



SZLAK PRZEZ BAŁKANY

Do tej pory nikt
nie odważył się
przejść tą drogą
samodzielnie,
bez pomocy
przewodników
lub przemytników

Pewnego pięknego dnia postanowił wyruszyć razem ze swoim przyjacielem Ansorim. Przeszli przez granicę między Iranem a Turcją, ryzykując, że zostaną złapani przez wojskowych, którzy gonili za nimi przez wzgórza. Po drodze spali na podłodze w różnych domach. Jedli to, co mogli. Wszystkie te etapy podróży odbyły się pod kontrolą organizatora, w tym podróż samochodem do Smirne. Tutaj opowieść się rozwija,

zatrzymuje na wielu szczegółach i detalach. Wreszcie zaczyna się wyczerpująca bitwa o wejście do Europy.

Celem jest dotarcie na Lesbos, wyspę na Morzu Egejskim, znajdującą się przed Półwyspem Anatolijskim. Przez wiele dni ten, którego w całej pierwszej części swojego opowiadania Aamir nazywa „przewodnikiem”, poucza jego i innych, jak stawić czoła podróży. Stworzyła się już mała grupa chłopców-uchodźców. „Istnieją reguły, których trzeba przestrzegać”, powtarza cały czas. Pierwsza to ta, że trzeba włożyć czyste ubrania do plastikowej torby, aby nie zmoczyły się podczas podróży i aby móc je założyć po przybyciu na stały ląd. Druga to ta, że po dotarciu do Grecji ponton, na którym się przypłynęło, należy przekłuć i schować, dzięki czemu policja ich nie odkryje i nie będzie mogła do nich dotrzeć. Trzecia jest oczywista: należy wyłączyć telefony. Czwarta reguła jest łatwa do odgadnięcia: gdy tylko się wylądzuje, nie można palić papierosów ani używać zapalniczek. W ciemności można zostać zauważonym. Po czym pewnego wieczoru zostają wrzuceni do samochodu i zawiezieni wzdłuż tureckiego wybrzeża, trochę bardziej na północ od miasteczka Altinova. Przed nimi – choć w tej chwili jej nie widzą – jest wyspa Lesbos. (...)

Pierwszego wieczoru nie udaje im się wyruszyć. Po tym, jak nadmuchali

ponton, przekonują się, że silnik nie chce zapalić. Zaciął się, więc zawraca ją. Drugiego wieczoru „przewodnik” stara się go wymienić, ale nowy silnik też nie działa. Wraz z Aamirem badają bak, starają się zrozumieć, co tak naprawdę nie działa. I w tym momencie słyszą wystrzały, turecka policja jest za ich plecami.

Dwóch chłopców zostaje zatrzymanych, podczas gdy Aamir ucieka, jak tylko może najszybciej, zabierając sflaczały ponton. Biegnie przez las, nie odwracając się za siebie. Potyka się, upada, wstaje, podtrzymuje się rękami. Kuleje, ale się nie zatrzymuje, aż dociera do niego, że jest sam. Gdy tylko odzyskuje trochę sił, widzi, że zgubił torbę z nowymi ubraniami. Ma na sobie tylko podkoszulek z krótkim rękawkiem i nienadmuchany ponton. Nie ma wyjścia, owija się nim i tak spędza noc, otulony gumą, która miała go zabrać do Europy.

Następnego dnia zostaje dobrą godzinę na słońcu, aby się rozgrzać. Potem postanawia wrócić do Smirne, mając nadzieję, że „przewodnik” nie został aresztowany. Po drodze kierowca ciężarówki zatrzymuje się i go podwozi. W Smirne dzwoni od razu do mężczyzny, który zorganizował podróż. Gdy słyszy jego głos, wie, że jest uratowany. Nie jest w więzieniu, jest nadal na wolności. Zatem nie wszystko stracone. Potem dzwoni do Ansoriego i odkrywa, że on też nie został złapany przez policjantów. Po tygodniu są ponownie na tureckim wybrzeżu, aby spróbować szczęścia. Po tym, jak przynajmniej dwa razy unikają kontroli policji, udaje im się wyruszyć. Aamir ściska w rękach nowy pakunek. Do plastikowej torby włożył starannie nieskalane ubrania.

Jest noc. Nadmuchują ponton, sześciu, siedmiu chłopców wchodzi na jego pokład i wypycha rękami na pełne morze. Potem zapalają silnik. „Przewodnika” z nimi nie ma. Zostaje na wybrzeżu, mówi im tylko, że mają płynąć prosto, nie mogą się pomylić. Chłopcy boją się, ale Aamir nabiera odwagi i postanawia przejąć dowodzenie przy sterze. To on będzie prowadził, choć zalecenie „cały czas prosto” na morzu może być dość niejasne. Po dwóch godzinach żeglugi, podczas której mija ich tylko

jedna łódź w odległości kilku dziesiątek metrów, światła wyspy stają się coraz bardziej wyraźne. Wybrzeże jest niskie, nie mają trudności z wysiadaniem. Aamir jest ostatnim, który zanurza nogi w wodzie, to on odpowiada za przekłucie pontonu. Ale nie daje rady, guma jest zbyt twarda (...). W końcu decyduje, że jedynym możliwym rozwiązaniem jest zatopienie go naprędce, obciążając go uprzednio silnikiem.

Już z głowy, myśli. Teraz może sobie pójść... Ale gdy tylko się odwraca, aby dogonić innych, uświadamia sobie, że jest na bosaka i że zostawił buty w pontonie. A w ferworze pośpiechu ubrania, te dobrze przechowywane w nowej plastikowej torbie, zmoczyły się. Ratuje go Ansori, przyjaciel, który z nim podróżuje. Przez cały czas żeglugi ufał na ślepo

Choć ma niewiele ponad 20 lat, Aamir przeszedł przez wiele światów i wiele żyć.

temu, jak trzymał kurs, teraz mówi mu, że ma się nie martwić. Pożycza mu buty, które ma w swojej plastikowej torbie. (...)

Zza wydmy wyłania się miasteczko, którego nazwy nie znają. Postanawiają spędzić noc w krzakach, w pewnej odległości od pierwszych domów, żeby nikt ich nie znalazł. O świcie wyruszają do Mitilene. Idą drogą wzdłuż wybrzeża, zajmuje im to dwie-trzy godziny. Celem jest wejście na prom do Aten. Myślałem, że ten etap jest trudny, że promy są kontrolowane. Ale zgodnie z tym, co spisał Aamir, przynajmniej w momencie, w którym on odbywał tę podróż, wystarczyło tylko kupić bilet. (...)

Żegluga przez Morze Egejskie trwa nieskończenie długo, ale wszystko idzie po ich myśli. Gdy orientują się, że dotarli do Pireusu, oddychają z ulgą. Kiedy tylko wysiadają, on i Ansori zostają sami. Inni się rozchodzą, każdy swoją drogą.

Aamir jest jednym z tych, którzy potrafią wyczuć sytuację. Po dotarciu do Patrasu rozumie od razu, że są dwa prawa, które regulują życie w miasteczku namiotowym,

kartonach i blachach wokół portu. Pierwsze pokrywa się mniej więcej z zasadami sformułowanymi przez poprzedniego „przewodnika”: gdy widzisz policję, uciekaj. Musisz uciekać tak szybko, jak tylko potrafisz, aby cię nie złapali. Pierwsze prawo jest oczywiście nierozdzielnie związane z napaściami faszystowskimi. Druga reguła dotyczy wielkiego skoku: musisz się go jak najszybciej nauczyć.

Zatem Aamir ćwiczy. Uczy się rzucać pod ciężarówkę w ruchu. Uczą go też, jak rozpoznać odjeżdżające ciężarówki. Na przykład te, które transportują pomarańcze i mandarynki, na pewno jadą do Włoch. Ale za każdym razem, gdy próbuje skoczyć pod koła lub pod naczepę ciężarówki, jest zawsze zbyt dużo policjantów lub podejrzliwych kierowców, którzy go demaskują. Przez trzy miesiące

nie udaje mu się wyruszyć. Widzi na własne oczy trzech chłopców rozjechanych przez koła.

Jego przyjacielowi Ansoriemu też nie udaje się dokonać wielkiego skoku. Podczas tych dni pełnych niecierpliwości i nudy zaprzyjaźnili się z innymi dwoma chłopcami w takiej samej sytuacji. (...)

I tak postanawiają dotrzeć do Europy Środkowej drogą naziemną. To bez sensu czekać na okazję wejścia na prom, która może nigdy nie nadejść. Lepiej iść na północ. Przez Bałkany. Aamir nie pamięta już, kto pierwszy wpadł na ten pomysł. Ale w chwili, gdy ktoś wypowiedział te słowa w ich baraku, pozostali od razu przyjęli je entuzjastycznie. Po dniach apatii ich głowy znowu się rozpalają. Nawiązuje się rozmowa, która szybko staje się gwałtowna, wybucha śmiechami i krzykami. (...)

Bałkany stają się obsesją. A przecież nic nie wiedzą o krajach, przez które mają przejść, o językach, w których się tam mówi, o prawach, które rządzą życiem, a przede wszystkim o polityce migracyjnej. Nie wiedzą nic o ranach, jakie zadały tej ziemi wojny etniczne. Nie wiedzą nic o górach, ▶

► które napotkają, ani o klimacie, który będzie towarzyszył ich podróży. Ale dodając sobie nawzajem odwagi, z niewinnością i nieświadomością gołowąsów wyruszają i tak.

Przez tydzień studiują trasę na Google Maps, skupieni przed monitorem starego komputera w internetowej kawiarence w Patrasie. Studiują mapy i zdjęcia satelitarne. Patrzą z bliska na drogi, góry i małe miasteczka, przez które będą musieli przejść. Gdy czują się gotowi, wsiadają do autokaru do Salonik. To stamtąd rozpoczną wędrówkę.

Do tej pory nikt nie odważył się przejść tą drogą samodzielnie, bez pomocy przewodników lub przemytników. Co dopiero małe, nieznający regionu. Ale podczas gdy wszyscy tłoczą się wokół sieci portu w Patrasie, Aamir wie, co muszą zrobić: będą podróżować autokarem lub taksówką od granicy do granicy, dzieląc się kosztami. Gdy tylko dotrą parę kilometrów od granicy, będą poruszać się pieszo. I za każdym razem piechotą, sami, będą próbować przez nią przejść, unikając możliwych kontroli.

I tak robią. Po tym, jak kupili cieplejsze ubrania i trochę jedzenia w puszkach, układają plecaki w stos

i jadą na granicę między Grecją a Macedonią, wzdłuż drogi E75, która od Salonik przecina kraj w kierunku północnym. Jak ustalili, wysiadają trochę przed granicą i idą dalej pieszo. Idą całą noc. Wchodzą na teren nowego państwa w niekontrolowanym punkcie w szczerym polu, nad ranem docierają do małego miasteczka Bogorodica. Wszystko poszło względnie łatwo, granica macedońska była tylko niezamieszkanym polem. Tutaj spotykają od razu taksówkarza, który jest gotowy zawieźć ich na północ. (...)

W 2015 r. fala imigrantów wzdłuż nowego szlaku przybrała wielkie rozmiary. Miesiąc po miesiącu do Afgańczyków dołączyły rodziny syryjskie uciekające przed wojną.

Po dotarciu do Skopje postanawiają od razu jechać dalej. Śpieszą się z dotarciem na granicę z Serbią. We czwórkę dają taksówkarzowi 160 euro – mniej więcej tyle, ile macedoński robotnik zarabia w miesiąc – i jadą do miejsca, które zaznaczyli na mapie. Kierowca nie zadaje im pytań, choć zrozumiał, że nie są tutejsi i że najprawdopodobniej są nielegalnymi imigrantami. Co więcej, to on sugeruje im, żeby pojechali w kierunku Kumanowa, aby szybko dostać się do

granicy serbskiej. W innym wypadku, po dotarciu prosto do Kosowa, utknęliby tam na pewno.

Wysiadają parę kilometrów przed granicą i tak jak za pierwszym razem, idą dalej pieszo, szukając szczeliny daleko od celników. Ale tym razem wszystko jest trudniejsze. Od razu rozumieją, że z policją serbską nie ma żartów. Dwa razy udaje im się przejść i dwa razy zostają odesłani. Więc postanawiają poczekać, aż zapadnie noc, w nadziei, że w tej ciemności policjantów ogarnie sen.

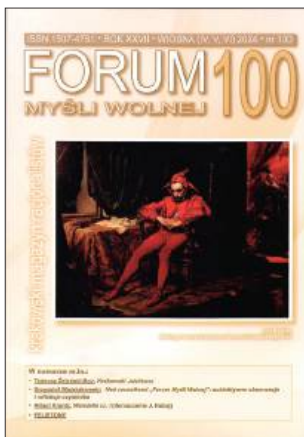
Dalej maszerują, ale są przytłoczeni zmęczeniem i zimnem. (...) Postanawiają zatrzymać się na noc, mają tylko jedną kołdrę na ich czwórkę. Nie chcą zasnąć przy tym zimnie, boją się, że nigdy się nie obudzą. I tak czuwają, opowiadając sobie różne historie, jeden obok drugiego pod wełnianą kołdrą. Aby oszukać czas i zmęczenie, otwierają jedzenie w puszcze i się nim dzielą.

Aamir nigdy nie zapomni tej nocy w kraju, o którym nie wiedzieli absolutnie nic, u wrót miasta, które zniknęło. (...) Włóczą się kolejny dzień, aż wreszcie pojawia się Čukarka, a po niej inne miasto, którego nazwy dobrze nie rozumieją. Tam wsiadają do autokaru do stolicy. Potem tylko dowiedzą się, że teren, na którym spędzili noc, jest pełen wilków. (...) W Belgradzie, gdy tylko wysiadają z autokaru, zostają zatrzymani przez policję i wrzuceni do więzienia. Gdy policjanci rozumieją, że są małe, przenoszą ich najpierw do więzienia dla nieletnich, a potem na parę miesięcy do domu dziecka przy granicy z Bośnią. Aamir zostaje z innymi pięć miesięcy w Bośni, ale jest to czas, który spływa po nim jak po kaczce, nie zostawia najmniejszego śladu. Jego jedynym celem jest kontynuacja podróży.

Kiedy tylko wychodzą z domu dziecka z czymś w rodzaju nakazu deportacji, od razu kierują się na północ, w stronę Węgier. Wyjechali

Forum Myśli Wolnej. Krakowski Magazyn Racjonalistów Numer 100, wiosna 2024

Prof. Krzysztof Woźniakowski, literaturoznawca: „Ukazanie się setnego numeru popularnonaukowego kwartalnika Rady Wojewódzkiej Towarzystwa Kultury Świeckiej w Krakowie »Forum Myśli Wolnej«, obecnie jednego z nader dziś nielicznych periodyków otwarcie deklarujących się jako laickie, wolnomyślicielskie i antyklerykalne, skłania do refleksji rocznicowych. Autor tych słów, aktualnie przewodniczący rady programowej pisma, ciała doradczego wobec właściwej redakcji, od czasu objęcia tej funkcji w 2020 r. przygotowuje coroczne syntetyczne oceny kwartalnika. 25 jak dotąd, niekiedy trudnych i burzliwych lat obecności »Forum« na rynku wydawniczym niewątpliwie zasługuje na fachowe ujęcie historycznoprasowe i precyzyjne określenie miejsca kwartalnika na mapie powojennego czasopiśmiennictwa laickiego (...). A wszystko zaczęło się od skromniutkiego 32-stronicowego zeszytu wydanego w III kwartale 1999 r. pod redakcją znanego już wówczas krajowego literata, działacza kulturalnego i wydawcy Stanisława Franczaka”.



z Grecji pod koniec października. Gdy decydują się wyruszyć w kierunku Wojwodiny, jest już wiosna. Temperatury są wyższe. Przez cały ten czas Aamir przechowywał niczym relikwie mapy wydrukowane w kafejce internetowej w Patrasie. Są pogniecione, ale nadal czytelne. Na ostatniej mapie jest miasto, które zaznaczyli kółkiem: Subotica. Parę kilometrów od niego są Węgry, a razem z nimi szansa na wejście do Unii Europejskiej.

Tym razem przejście przez granicę zajmuje im trzy dni. Za dnia śpią, a nocą próbują tego dokonać, jak drapieżnicy oczekujący na najlepszy moment. (...) Strona serbska jest dość dobrze chroniona. I tym razem udaje im się przejść granicę między tym, co już jest Unią, a tym, co nią nie jest, w nieokreślonym punkcie w szczerym polu, niedaleko od wcześniej ustalonego miejsca. Aamir przechodzi ostatnie metry z zamkniętymi oczami. Jest tak zmęczony, że idzie jak we śnie. (...)

Myślą, że im się udało, ale jak tylko wchodzą do Węgier, zostają zatrzymani przez policję i odesłani do ośrodka dla uchodźców. I tym razem wszyscy myślą, że są pełnoletni: małoletni nie mogliby przejść tej trasy, którą twierdzą, że przeszli. Nie udaje im się przekonać policji do swoich racji i dlatego zostają odesłani razem z dorosłymi do ośrodka recepcyjnego w Debreczynie.

Pozostają tam siedem miesięcy. Nie był to z pewnością ostateczny cel ich marzeń, ale wtedy byli zmuszeni się tu zatrzymać. Muszą przekazać swoje odciski palców. Dla Aamira i Ansorigo jest to pierwszy raz. Ale policja odkrywa, że linie papilarne jednego z dwóch chłopców, z którymi zaprzyjaźnili się w Patrasie, są już w greckiej bazie danych, zostaje zatem odesłany z powrotem.

Grupa, która przeszła razem przez Bałkany, rzucając wyzwanie losowi, strachowi, zimnu, pułapkom, celnikom, policjantom, granicom, wilkom i górcom, zaczyna się rozpadać. Po opuszczeniu ośrodka trójka próbuje od razu przeprowadzić się do Austrii. Ale tylko jednemu udaje się dotrzeć do wujka mieszkającego w Salzburgu.

Pozostała dwójka, Aamir i Ansori, musi wrócić do Węgier.

Ansori postanawia się zatrzymać, nie ma już sił biegać z jednego miejsca do drugiego. Aamir nie, nie ufa Węgom, krajowi, gdzie zostawił swoje odciski.

I tak, po miesiącach dzielenia się wszystkim, drogi dwóch przyjaciół, którzy wyruszyli razem z Iranu, rozdzielają się i dziwi mnie, że Aamir poświęca temu rozstaniu tylko parę linijek w swoim dzienniku. Zamiast ruszyć do Holandii lub Norwegii, gdzie tak bardzo chciał trafić, postanawia udać się do Włoch. W tym momencie myśli, że jest to kraj bardziej tolerancyjny od tych na północy Europy, jedyny, który nie odesła go z powrotem. Pewnego wieczoru żegna się z przyjacielem, który podarował mu

zwłaszcza gdy chodzi o podróż drogą morską. (...)

Po jego podróży trasy przez Bałkany zaczęły być kontrolowane przez przemytników. Dzisiaj w celu przeprowadzenia uciekinierów do Węgier przewodnicy każą sobie płacić 3-4 tys. euro za osobę. Jest to względnie łatwy szlak, jeśli przebywasz go z przemytnikiem, ale ryzykowny, bo jeśli zostaje się odkrytym na Węgrzech i zostawi się tam odciski palców, jest się zmuszonym zostać w kraju, gdzie rasizm wobec obcokrajowców staje się coraz bardziej gwałtowny.

Jeśli Aamirowi udało się dotrzeć do Włoch i potem osiąść w Rzymie, gdzie w końcu go spotkałem, zadzwadźca to tylko temu, że mógł udowodnić, że był małoletni, w przeciwieństwie do tego, co utrzymywali

Rząd węgierski postanowił postawić swój własny mur z drutu kolczastego, aby ograniczyć przybywanie nowych uchodźców.

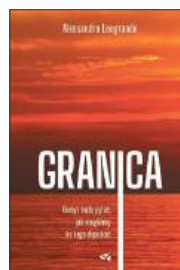
na Lesbos parę suchych butów, po raz ostatni ściska jego dłoń i idzie na dworzec. Znowu próbuje swojego szczęścia. Ale po raz pierwszy jest naprawdę sam.

Gdy poznałem Aamira, pomyślałem, że na jego twarzy maluje się wyraz nie do rozszyfrowania. (...) Podczas gdy czytałem kartki, które mu dał, podejrzewałem, że wyolbrzymił niektóre wydarzenia i pominął inne. Często przejście przez granicę wydawało się zbyt proste. Jeden raz pomyślałem wręcz, że mnie nabiera. A jednak ślady, które zostawił po sobie w komputerach biura imigracyjnego, mówią, że przyjechał do Węgier z Serbii. A potem do Włoch z Węgier. I żeby tego dokonać, musiał przejść przez całe Bałkany w sposób, na który może nikt nigdy przed nim i grupką jego przyjaciół nie wpadł.

W sumie na tę samodzielnie zorganizowaną podróż wydał 200-300 euro. Nic więcej. Śmieszna kwota, jeśli porównamy ją z tym, co zwykle bierze przemytnik za swoje usługi,

funkcjonariusze w Debreczynie. Adwokaci, którzy zajęli się jego sprawą, przekazali nowy wniosek o azyl, który – w związku z tym, że był małoletnim bez opieki – otrzymał.

W 2015 r. fala imigrantów wzdłuż nowego szlaku przybrała wielkie rozmiary. Miesiąc po miesiącu do Afganczyków – którzy chcieli ominąć mierzliwy portowe w Patrasie – dołączały rodziny syryjskie uciekające przed wojną. I one, wraz z upływem czasu, zaczęły preferować trasę lądową wobec ryzykownych podróży na wielkich statkach handlowych z Turcji lub na kutrach z Egiptu. I tak przynajmniej 4 tys. osób tygodniowo poszło w ślady Aamira i Ansorigo. Przeszły przez Macedonię, Serbię, lasy i doliny, próbując dostać się do Węgier, do tego stopnia, że rząd węgierski postanowił postawić swój własny mur z drutu kolczastego, aby ograniczyć przybywanie nowych uchodźców.



Fragmenty książki Alessandra Leograndego *Granica. Kiedyś będą pytać, jak mogliśmy do tego dopuścić*, przeł. Zuzanna Krasnopolka, Grupa Wydawnicza Relacja, Warszawa 2024

Michał Skoczek

Na stronie Suwalskiej Organizacji Turystycznej możemy przeczytać, że „dawniej tradycyjna kuchnia Suwalszczyzny była »ostra, tłusta, kwaśna, słona, wędzona«. Nie można jej sobie wyobrazić bez ziemniaka. Ziemia suwalska jest górzysta, kamienista, jeziorna, schowana w lasach, z siedliskami ludzkimi przytulonymi do zboczy, powitykanymi za wodą. Wszystko tu trzeba było mieć swoje. Kuchnia czerpała wprost z natury, a naturalne dary – aby je dłużej przechowywać i dodać im smaku – musiała wędzić, solić, kisić, smażyć. Nie była to kuchnia wyszukana, oparta na mnogości przepisów, ale też nie była »sztuczna«. Ciężka praca w surowym suwalskim klimacie, na terenach w większości nieróżniących się od obszarów podgórskich, wymagała jedzenia »konkretnego«, a nie frykasów. Razowy chleb, mięso i ziemniaki musiały być podstawą. Wypijano ogromne ilości mleka, w sadach nie brakowało owoców, w ogrodach warzyw, w pasiekach miodu. Wszystko było zdrowe, bez »chemii«.

Naszym zdaniem niewiele się w tym względzie zmieniło – tradycyjna kuchnia suwalska nadal opiera się na tym, co na polu, w lesie i jeziorze; nadal smakuje tak, jak zapamiętaliśmy z dzieciństwa, kiedy chleby pieczono bez spulchniaczy i polepszaczy, za to na zakwasie, mięso smakowało mięsem, a nie antybiotykami, warzywa z pola wręcz tryskały sokami uzyskanymi z czystej ziemi i słońca, a nie z oprysków, i jadło się je zerwane prosto z krzaka lub wyciągnięte z ziemi.

W wielu lokalach na Suwalszczyźnie często spotkamy dania spoza regionu, czasami wręcz z całego świata, nas jednak najbardziej interesują te miejsca, które serwują kuchnię regionalną. Bo to dla tych smaków jedziemy kilka razy do roku ponad 500 km.

O ile na Podlasiu dominują kartacze, o tyle na Suwalszczyźnie dużo częściej niż gdzie indziej spotkamy kiskę ziemniaczaną. A także ryby, bo przecież jezior tutaj jak „mrówek“!



Przepisy z pokolenia na pokolenie

Tradycyjna kuchnia suwalska nadal opiera się na tym, co na polu, w lesie i jeziorze



Podlasie i Suwalszczyzna to rejony wyjątkowe, ponieważ tutaj lokali z regionalnymi daniami w menu jest chyba najwięcej w Polsce. Z lokalnej kuchni mieszkańcy tych terenów uczynili swój turystyczny atut. Korzystajmy więc z tego, bo kuchnia ta może i jest do bólu prosta, ale za to przepyszna. Ciężka? No ciężka, bo miała nasycić i dać energię do

wyższej pracy. Monotonna? Nie! Nie ma bowiem dwóch takich samych kartaczy, nie ma dwóch takich samych kisk ziemniaczanych. Choć orbitujemy wokół kilku zaledwie dań, zawsze nas cieszy każdy kęs lepkiego od skrobi ciasta kartaczowego, chrupiącej sielawy czy pieroga z rybą. To typowa kuchnia domowa, gdzie przepisy dziedziczy się z pokolenia

na pokolenie. I chociaż spotkamy miejsca, w których ta suwalska klasyka podawana jest z nowoczesnym twistem, nadal mamy poczucie, że obcujemy z tradycją kulinarną. To jest siła tej kuchni i tego regionu.

Weźmy np. dawne tradycje wigilijne Suwalszczyzny – taki kisiel owsiany. Jedliśmy go już w innych rejonach Polski, ale na Suwalszczyźnie tenże słodki, bo zaprawiony makiem, kisiel w Boże Narodzenie... odsmażało się ze skwarkami! Przyznacie, że to niecodzienna potrawa. Albo ziemniaki gotowane w kwasie z kiszonej kapusty. W całości, w mundurkach. Takie ziemniaki podawano ze śledziem.

Kiedy w dużych miastach czas pędzi jak oszalały i w gastronomii ścierają się nowe trendy, tutaj czas się zatrzymał i pozwala nam na nowo odkrywać dawne smaki i zwyczaje. Uwielbiamy smak smażonej, świeżo złowionej ryby – spożywanej w sezonie nad brzegiem jeziora. Doceniamy rozgrzewającą moc kartacza zimą. Kochamy tutejsze kiszonki, tak różne od tych serwowanych w innych rejonach Polski. Nigdy nie przejdziemy obojętnie obok stoiska z lokalnym chlebem, warzywami czy miodem. Żadna siła nie powstrzyma nas przed spróbowaniem kolejnej wersji marcinka czy sękacza. Z każdego wyjazdu wracamy obładowani zakupami, by jeszcze choć przez kilka dni czuć ten smak i aromat, jakie charakteryzują tutejsze wędliny i potrawy. Niecierpliwie wypatrujemy okazji, by znowu na Podlasie i Suwalszczyznę ruszyć i znowu zajądać się kiskami, babkami, kartaczami, pierogami z jagodami i rybami. Mamy nadzieję, że i wy pokochacie tę kuchnię. (...)

Dania charakterystyczne dla regionu:

Kiszka ziemniaczana – czyli ciasto z tartych, doprawionych ziemniaków, wciśnięte w jelita, jak kiełbasa. Czasami ziemniaki zagęszcza się kaszą manną.

Kartacze – zwane także cepelinami. To w zasadzie to samo danie, różniące się kształtem, bowiem kartacze są podłużne, jak ośelka masła, natomiast cepeliny powinny mieć kształt cygara. Kartacze robi się z tartych ziemniaków w proporcjach: trzy części surowych i jedna część

gotowanych. Farsz – najczęściej z mielonego, surowego mięsa – powinien być różowawy i zwarty. Kartacze podaje się okraszone skwarkami i cebulą lub odsmażane.

Kołoduny litewskie – czyli pierogi. Według mistrza Wańkowicza prawdziwy kołodun musi mieć taką wielkość, by idealnie mieścił się na łyżce do zupy. Kołoduny wypełnione są siekaną, a nie mieloną surową baraniną, która podczas gotowania puszcza sok. O baraninę obecnie trudno, więc najczęściej używa się mięsa wołowego lub wieprzowego. Można jeść je jak zwykłe pierogi, jedynie okraszone lub ze śmietaną, ale zaleca się, by serwować je w głębokim talerzu podlane bulionem, w którym się gotowały.

Sękacza można jeść nawet pół roku po upieczeniu i nie traci przy tym swoich walorów smakowych.

Babka ziemniaczana – starte drobno ziemniaki miesza się z jajkiem i przyprawami, można je też wymieszać z kawałkami mięsa lub kiełbasy, następnie przekłada się do blaszek i piecze około półtorej godziny w piecu. Świetnie smakuje także odsmażana w plastrach. Podaje się ją z sosami – grzybowym lub mięsnym, ale doskonale smakuje również ze śmietaną lub chłodnikiem.

Soczewiaki – przygotowuje się je z ziemniaków, które powinny zostać ugotowane w mundurkach, później obrane i zmielone. Soczewicę należy namoczyć, potem ugotować, zemleć i przypawić, dodając usmażoną cebulkę. Tak przygotowany farsz wkładać do ciasta, formując kształt placków (ale spotykane są również w formie pierogów). Obtoczyć w mące, ułożyć na blaszce i upiec, niektórzy robią również smażone. Soczewiaki podajemy okraszone tłuszczem z cebulką i skwarczkami, ale i z gęstą śmietaną smakuja wyśmienicie.

Kakory – robi się je z gotowanych ziemniaków, nadziewa mięsem mielonym i soczewicą, czasem samą soczewicą

(ale dopuszczalne są właściwie dowolne nadzienia), następnie zapieka się je w piecu i serwuje z sutą okrasą.

Bliny litewskie – czyli placki ziemniaczane nadziane surowym mielonym mięsem.

Bliny żmudzkie – czyli placki z gotowanych ziemniaków, nadziane mięsem.

Czenaki – danie jednogarnkowe, mające litewskie korzenie, chociaż obecnie podawane jest w wielu krajach na Wschodzie, szczególną popularność zdobyło w Gruzji. Można powiedzieć, że to coś w rodzaju zapiekanki z gęstej zupy. Mięso, ziemniaki, warzywa sezonowe, często grzyby, a na Litwie również kiszone ogórki, układa się warstwami w glinianym garnuszku i zapieka w piecu.

Przed podaniem zaprawiamy śmietaną i serwujemy w garnuszkach, w których danie się zapiekało.

Ryby – mnogość czystych jezior Suwalszczyzny pozwala czerpać garściami z ich bogactwa. Smażonych lub wędzonych siei, sielaw, stynek, troci, linów, sandaczy, raków czy szczupaków szuka tutaj latem każdy miłośnik dobrego jedzenia.

Sękacz – tego pracowitego ciasta nie mogło zabraknąć w naszym zestawieniu. Można go jeść nawet pół roku po upieczeniu i nie traci przy tym swoich walorów smakowych. Obecnie wypieka się go w maszynce elektrycznej, która składa się z drewnianego wałka umieszczonego na widelkach umożliwiających jego obracanie. Z boku grzeją elektryczne spirale, a na dole stoi miska, do której skapują resztki ciasta. Kiedyś sękacze wypiekano na ruszcie nad naturalnym ogniem. Podobno do dziś w niektórych miejscach piecze się sękacze na żywym ogniu!



Fragmenty książki Michała Skoczka *U Pana Boga przy stole 2. Suwalszczyzna. Przewodnik po lokalnych przysmakach i smakach...*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- rozpięzchle kwitnące lub w pasmanterii
- glin
- ozdobny układ otworów
- drożdżowa wielkanocna
- potrzebne statkom obciążenie
- dla nich „Elegia” J.D. Vance’a
- bardzo szybki pies

- imię aktorki Domińczyk
- prominent, od którego zależy
- ogółu lub śledztwa trzeba mieć na uwadze
- sklejka
- okres w geologii, w dziejach
- alkohol etylowy
- w nim okulary, wieczne pióro

- miasto z domem Kolumba
- turyści pod mostem Westchnień nią przepłyną
- i dzieje, i opowieść
- dolina erozyjna o wąskim dnie
- żółtoczerwony barwnik roślinny
- dom bez nich – wariatkowo
- by wyłonić najlepszych
- pomysłów, wiedzy albo węgla, złota
- w greckim alfabecie przed omikronem
- pisklę kwoki
- tumany pyłu, zamieć
- miasto nad Łebą
- ślad rdzy jak wykwit skóry

- efekt trefienia włosów
- przywódca zbuntowanych aniołów
- ...Jędrzejewiczowa, siostra Chopina
- gilgotki, łaskotki
- włóczenie się lub powsinoga
- doczepia i odczepia wagony, lokomotywy
- mały szkodnik na liściach, pędach
- imię karierowicza grane-go przez Wilhelmię
- akt powierzenia urzędu duchownego
- drewno drzew z rodzaju dalbergia
- Dożów lub Buckingham
- idą tam duże grzeszników
- pomocnik kierowcy rajdowego
- św. Marka albo Zamkowy
- brutalny, zbiorowy atak lub kompletna kłeska

- ...bogów to ambrozja
- czarci... – fajdak
- brudna woda z resztkami jedzenia
- czynnie uprawia zawód
- część zdania określająca rzeczownik
- bezludzie
- „...rozstajny” Leśmiana
- sposób pozyskania surowców wtórnych
- woń spalenizny
- rodak, krewniak, nasz człowiek
- ptak wyjadający czereśnie
- okrucieństwo stosowane, by zastraszać
- silnik z wirnikiem łopatkowym
- malec przy losze
- stan politycznego uzależnienia
- uchodzi w Świeciu do Wisły
- nie wszystkie jadowite

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1192”. Do rozlosowania książki „Z tego się nie wyrasta. Kompedium ADHD” ufundowane przez sklep kompediumADHD.pl. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ. XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 27 października 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1189” z nr. 40: W naturze nic nie ginie.
Nagrody otrzymują: Alina Jamroga ze Szczecina, Janusz Koćwin z Opola, Stanisław Sawicki z Wydmín.

Im te ambasady się należą

Są rzeczy śmieszne, które śmiesznymi być nie powinny. Możemy właśnie obserwować męki ambasadorów, których minister Sikorski ściągnął z placówek do Warszawy. Oni nadal uważają się za ambasadorów, choć żadnych funkcji nie pełnią. Chodzą teraz po prawicowych mediach i opowiadają o swoim nieszczęściu. Na przykład o tym, że nikt w ambasadach, z których zostali odwołani, już ich nie słucha. Albo o tym, że wprawdzie biorą z MSZ pensję, ale nie dostają dodatku zagranicznego, więc nie mają za co żyć.

Ktoś zapyta, dlaczego biorą pensję, choć wielu z nich nie zalicza się do etatowych pracowników ministerstwa. Ano dlatego, że tylko prezydent może odwołać ambasadora, trzeba zatem im płacić.

Ale brak podpisu prezydenta na akcie odwołania nie oznacza, że ta osoba może na placówce urzędować. Minister ma bowiem prawo ściągnąć ambasadora do kraju i zamrozić jego działania. Sikorski tak zrobił.

Co oczywiście nie podoba się Dudzie. Prezydent woła, z fałszywą troską, że brak ambasadorów to nie jego wina, tylko rządu. I nawet zaprosił tych odwołanych przez Sikorskiego na spotkanie do swojego pałacu. Ale impreza się nie udała, minister zabronił im udziału. Tak ich prześladuje.

O tych prześladowaniach opowiada w prawicowych mediach Jarosław Guzy, lat 69, który rok temu wyjechał na Ukrainę pełnić tam funkcję ambasadora RP. To była jego pierwsza praca w MSZ, wcześniej z tym ministerstwem nie miał nic wspólnego.

Guzy, gdy otrzymał od Sikorskiego polecenie powrotu do kraju, zbuntował się i po pobycie w Warszawie

wrócił do Kijowa. A tam spotkało go zaskoczenie. „Okazało się, że moja karta dostępową do ambasady jest unieważniona, więc stałem przed furtką i czekałem, aż ktoś mnie wpuści – opowiadał w Kanale Zero. – Jeśli chodzi o mój gabinet, to również był problem, bo ja go zaplombowałem przed wyjazdem, wiedząc, że mogą się dziać różne rzeczy. I było polecenie z Warszawy, że ma mi towarzyszyć funkcjonariusz SOP (Służby Ochrony Państwa)”.

„No i jeszcze tam cała lista szykan – skarżył się dalej – bo w konsekwencji skonfiskowano moją korespondencję, tzn. nie mam dostępu do korespondencji, która przychodzi do ambasady, również do mnie imiennie, personalnie. Wyjątkowo czasami coś do mnie trafia na skrzynkę mejlową. Pracownicy ambasady dostali zakaz kontaktowania się ze mną w sprawach służbowych. Nie pozwolono mi na spotkanie z pracownikami ambasady przed wyjazdem z Kijowa, co nastąpiło 19 lipca”. Innymi słowy, Guzy od 19 lipca nie jest pracownikiem ambasady ani MSZ (nigdy nim nie był), ale chciałby wydawać polecenia jej pracownikom i nią kierować. Po co?

W Kijowie urzęduje już jego następca – Piotr Łukasiewicz. Wcześniej był ambasadorem w Afganistanie. To dyplomata i wojskowy w stopniu pułkownika – na czas wojny wybór raczej logiczny. I teraz porównajmy: mamy czas wojny, mamy kompetentnego szefa placówki, któremu ufają premier i szef MSZ, a tu przyjeżdża szef wcześniejszy, z pisowskiego nadania, który nigdy nie miał nic wspólnego ani z dyplomacją, ani z wojskiem, i się awanturuje. Ministrowi Sikorskiemu wyrazi współczucia.

Attaché



Jesienny redyk, czyli spęd owiec z letnich pastwisk. W Szczawnicy pierwszy odbył się w 1948 r.



POLITYKA JERZY BACZYŃSKI, REDAKTOR NACZELNY

W exposé Tusk zapowiadał comiesięczne otwarte spotkania w różnych rejonach kraju, miały być poważne konsultacje wszystkich ważniejszych projektów ustaw; niedawno obiecywano publiczne „spowiedzi” kolejnych ministrów – a nadal nie ma nawet rzecznika rządu, brak regularnych wspólnych występów liderów koalicji, komunikacja medialna szefa rządu sprowadza się zaś głównie do X/Twittera i rzadkich konferencji. (...) Można już chlapać wszystko na każdy temat, że wspomnę ostatnie hity: deklarację Jarosława Kaczyńskiego o stworzeniu (po ewentualnie wygranych wyborach) rodzaju junty wojskowej („Rada Stanu”), która wprowadziłaby własną konstytucję, „nie czekając na większość dwóch trzecich”, czy komiczne, odlotowe wypowiedzi Andrzeja Dudy, który uznał siebie za wcielenie Państwa Polskiego, a swoje domniemane kompetencje wywiódł z monarchii absolutnej.

VIVA! MARIUSZ SZCZYGIEL, REPORTER, PISARZ

W rozmowie z Tomaszem Raczkim mówiliście o coming outcie.

– I to w telewizji publicznej, która przez osiem lat szczuła na gejów i lesbijki. Zawsze się Raczka trochę bałem, jego inteligencji i czytania. A tutaj mój lęk odpuścił i mogliśmy szczerze porozmawiać. Otóż coming out daje wolność. I ważne, żeby w życiu być odważnym, stosując własne zasady. Oczywiście zaraz potem nas obu zaatakowali, że afiszujemy się z naszą orientacją. Mogę na to odpowiedzieć tylko, że zrobiliśmy to również dlatego, żeby mniej młodych ludzi się zabiło. 70% młodych ludzi LGBT myśli o samobójstwie, a 80 ma za sobą już jedną próbę. Trzeba dodawać odwagi, pokazywać, że gej czy lesbijka też mogą coś w życiu osiągnąć i nie jest to żadne afiszowanie się. Cieszę się, że Tomek tak szczerze o tym opowiedział i jeszcze dodał zdanie, że zrobił coming out z miłości do swojego partnera Marcina Szczygileńskiego.

ANGORA MAREK PALCZEWSKI, MEDIOZNAWCA

Maciej Świrski wrócił na czołówki. Tym razem jako pan na włościach w Polskiej Fundacji Narodowej. Onet doniósł, że w latach 2017-2022, korzystając ze służbowej karty, jako członek zarządu PFN wydał ponad 400 tys. zł. Spał w drogich hotelach, latał klasą biznes, wynajmował limuzyny i uczładował w eleganckich restauracjach, bo pracował – jak tłumaczy – „nad strategicznymi projektami”. Wszystko to za publiczne pieniądze. Na posiłki w ciągu jednego dnia potrafił wydać na siebie 3 tys. zł, a bilet lotniczy do Nowego Jorku kosztował go „jedne” 7,3 tys. Żył po pańsku, a z plebsem w samolocie się nie brał. Później został przewodniczącym KRRiT i jest nim do dziś. Po raz kolejny pytam: jak długo jeszcze ten człowiek będzie pełnił funkcję publiczną? Jak długo jeszcze ten cwany gość będzie unikał Trybunału Stanu i śmiał się w nos wszystkim uczciwym ludziom?

na szczycie GRZEGORZ BRYNIARSKI, LEŚNICZY Z MORSKIEGO OKA

Dlaczego do Tatrzańskiego Parku Narodowego nie można wejść z psem?

– Bo pies może wnieść chorobę niebezpieczną dla dzikich zwierząt i vice versa, może zarazić się od nich. Bo dzikie zwierzęta doskonale wyczuwają psa z bardzo dużej odległości, a pies wyczuwa dzikie zwierzę, co może spowodować u niego reakcję, której nie spodziewa się właściciel. Wielokrotnie spokojne na co dzień psy urywały się tutaj ze smyczy. A my nie możemy polegać na zapewnieniach, że ten jamnik ma za sobą Bieg Rzeźnika, pielgrzymkę na Jasną Górę i nigdy nikogo nie ugryzł. Bo właśnie jamnik atakował i ploszył kiedyś wszystkie konie na drodze. Do tego stopnia, że właścicielka wpadła w histerię, gdyż – jak mówiła – jej pupil nigdy tak się nie zachowywał. Innym razem potulny na co dzień terier zagryzł młodego świstaka w Dolince za Mnichem.

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów. Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błęd, a następnie odgadnij hasło.



					T
--	--	--	--	--	---

* rodzaj literatki

		R				
--	--	---	--	--	--	--

* groźna rysa

						M		
--	--	--	--	--	--	---	--	--

* roczne w starym zamku

ROZWIĄZANIA: DRAMAT, PIRANIA, PODZIEMIA



Aby język giętki...

PROF. ANDRZEJ FRISZKE
O KAROLU NAWROCKIM

Jest bardziej działaczem PiS i apologetą skrajnej prawicy niż historykiem.

DARIUSZ KORNELUK O ANDRZEJU DUDZIE

Stan wiedzy prawniczej prezydenta był wielokrotnie analizowany przez prawdziwe autorytety i delikatnie mówiąc, nie jest właściwy.

MAGDALENA BIEJAT O PAULINIE MATYSIAK

Gdyby to ode mnie zależało, to zagłosowałabym za zakończeniem tej współpracy.

KUBA WOJEWÓDZKI O MACIEJU ŚWIRSKIM

Nazywał siebie „talibem PiS”. Czyli będzie przesłuchiwany w Starych Kiejkutach.

ALEKSANDER HALL 0 PSL

Jedyne ugrupowanie, za które trzymam obecnie kciuki, to jest PSL i jego prezes Władysław Kosiniak-Kamysz.

KRZYSZTOF ZANUSSI

O ULUBIONEJ POTRAWIE

Majonez nieustannie mnie zadziwia. Ktoś, kto wymyślił ten smak, powinien dostać Nagrodę Nobla.

CVETA DIMITROVA

O SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Czy możemy oswajać się z przeżywaniem różnych uczuć, gdy po drugiej stronie uczucia nie występują?

MAJA OSTASZEWSKA O CZERWIENI

Kojarzy mi się z siłą. Lubię co jakiś czas pomalować usta wyrazistą, czerwoną szminką. To mi dodaje mocy.

**ADRES REDAKCJI**

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
 +48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji:
 Agata Gogółkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
 Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Lech, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodan, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,
Bronisław Tumitowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczkowski, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkała
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzytorzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział Wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karna.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuską 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Budynek Muzeum Sztuki
Nowoczesnej w Warszawie,
widok od ulicy Marszałkowskiej.

Muzeum otwiera się tylko raz

MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Po dwóch dekadach tymczasowego, „nomadycznego” funkcjonowania MSN przenosi się do własnej siedziby przy Marszałkowskiej 103. Przez trzy tygodnie, od 25 października do 10 listopada, odbędzie się z tej okazji ponad 100 wydarzeń. Bogaty program dni otwarcia umożliwi poznanie walorów nowego budynku podczas zwiedzania wystaw, udziału w spacerach architektonicznych, koncertach, m.in. Kim Gordon, 700 Bliss i Hani Rani, wykładach, warsztatach, pokazach kinowych czy performansach. A wszystko rozpocznie się barwną, świetlistą paradą. Nowe prace na otwarcie zaprezentują Agnieszka Polska, Zbigniew Libera, Karolina Jabłońska, Wojciech Bąkowski. Można też będzie zobaczyć wielkoskalowe rzeźby i instalacje polskich i światowych artystek, m.in. Magdaleny Abakanowicz, Aliny Szapocznikow, Zanny Kadyrowej czy Marieli Scafati.

Szczegółowe informacje na: artmuseum.pl.

1. Kim Gordon, 700 Bliss.

2. Karolina Jabłońska,
Słoiki 2024 (II część).

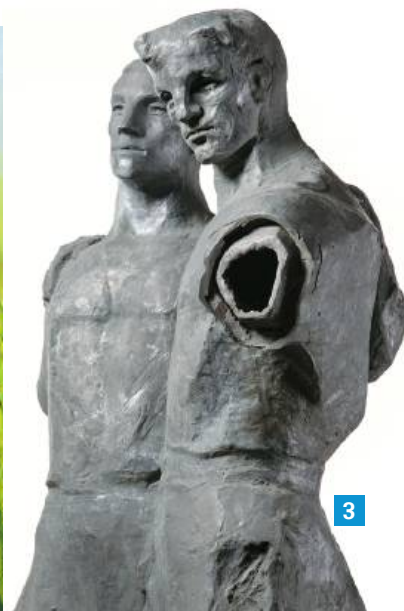
3. Alina Szapocznikow,
Przyjaźń, 1953-1954.



1



2



3

VICKY KRIEPS **THE** VIGGO MORTENSEN
DEAD DON'T HURT

REŻYSERIA VIGGO MORTENSEN

TALIPOT STUDIOS PRESENTS A PANWAY FILMS AND PERCEVAL PICTURES PRODUCTION A TALIPOT STUDIOS FILM "THE DEAD DON'T HURT" WRITTEN BY MANNY PERCEVAL PICTURES PRESENTS
VIGGO MORTENSEN AND VICKY KRIEPS VIGGO MORTENSEN SOLLY MCLEOD GARRETOULLAUNT COLIN MORGAN GAI VICKINNON LIKE REILLY ATLAS GREEN AND DANNY LINDEN
DIRECTED BY VIGGO MORTENSEN PRODUCED BY MARCEL ZYSKIND DITZ PRODUCED BY CAROL SPIER JASON CLARKE AND PEDER PEDERSEN COSTUME DESIGNER ANNE DIXON EDITOR VIGGO MORTENSEN
EXECUTIVE PRODUCERS MONTEN GROTH BRANDT PRODUCED BY ROBERTO PAXSON GABRIEL TERRAZAS IVAN RELAWA DANIEL BERERMAN JESPER MONTROIST PETER WATSON
EXECUTIVE PRODUCERS REGINA SOLOZANO JEREMY THOMAS VIGGO MORTENSEN WRITTEN BY VIGGO MORTENSEN

Talipot HamNey T SCYTHIA M

W KINACH OD 18 PAŹDZIERNIKA



FILM|ORG|PL



zwierciadło

eprasa.pl c24ceecd08

• TEATR CAPITOL •

DISCO

Sylwester
2024/25

ŁÓŻKO AUTOR DAVE FREEMAN
REŻYSERIA JERZY BOŃCZAK PRZEBUDOWA
PEŁNE PRZEBUDOWA
CUDZO- WŁADZA
ZIEMCÓW

AUTOR Marc Caplette
REŻYSERIA
PRZEBUDOWA
Boeing Boeing

RAZEM
CZY
OSOBNO?

DUŻA SCENA

Wystąpią:

Jacek Bończyk, Marta Bryła,
Igor Obłoz, Waldemar Obłoz,
Radosław Pazura, Karolina Piwosz,
Daria Widawska.

START GODZ. 17:00

- welcome drink
- życzenia noworoczne od Aktorów
- słodki upominek od Manufaktury Cukierków

START GODZ. 21:00

- welcome drink
- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu impreza z DJ Shine do samego rana!
- open bar do godziny 5:00

SCENA MNIEJSZA

Wystąpią:

Dorota Chotecka, Maria Dejmek,
Barbara Garstka, Katarzyna Kołeczek,
Mikołaj Krawczyk, Józef Pawłowski.

START GODZ. 17:00

- welcome drink
- życzenia noworoczne od Aktorów
- słodki upominek od Manufaktury Cukierków

START GODZ. 21:00

- welcome drink
- życzenia noworoczne od Aktorów

SCENA AMFITEATR

Wystąpią:

Adrianna Kućmierz,
Monika Łopuszyńska, Kaja Paschalska,
oraz Mateusz Dębski.

START GODZ. 20:00

- spektakl w ramach cyklu Capitol by Night
- butelka Bottega Gold Prosecco (0,2l)
- życzenia noworoczne od Aktorów
- słodki upominek od Manufaktury Cukierków

Bilety i szczegóły: www.teatrcapitol.pl/sylwester

Patroni Medialni



Partnerzy Teatru